

Józef Wiłkomirski
pozostaje
wśród nas

Uroczyste pożegnanie Wałbrzych



Wicemarszałek Województwa
Dolnośląskiego



Prezydent Wałbrzycha



Maestro Józefa Wilkomirskiego

Plac Magistracki, 16 sierpnia 2020 roku





FILHARMONIA WAŁBRZYSKA

ul. Słowackiego 4

24 listopada 1978 r.

25 listopada 1978 r.

godz. 19.00

Koncert Inauguracyjny

ORKIESTRA SYMFONICZNA

Filharmonii Wałbrzyskiej

CHÓR AKADEMICKI

Politechniki Szczecińskiej

JÓZEF WILKOMIRSKI - dyrygent

HALINA CZERNY-STEFAŃSKA - pianistka

ANDRZEJ BACHLEDA - tenor

JAN SZYROCKI - kierownik chóru

Program: St. Moniuszko - Uwertura do opery „HALKA” – F. Chopin - Koncert fortepianowy e-moll
K. Szymanowski - II obraz z baletu „Harnasie” – St. Moniuszko - Mazur z opery „Straszny dwór”

Bilety do nabycia w kasie Filharmonii w godz. od 13.00 do 17.00 z wyjątkiem poniedziałków oraz w dniu koncertu od godz. 17.00



Ilustracje: ze zbiorów Biblioteki pod Atlantami

Józef Wiłkomirski pozostaje wśród nas

w 1. rocznicę śmierci

Wałbrzych, sierpień 2021

Szanowni Państwo

PiMBP „Biblioteka pod Atlantami” ma zaszczyt i ogromną satysfakcję być wydawcą publikacji, która została przygotowana dla uczczenia pierwszej rocznicy śmierci Pana Józefa Wiłkomirskiego - twórcy i wieloletniego dyrektora Filharmonii Sudeckiej w Wałbrzychu, światowej sławy dyrygenta, kompozytora znanego w wielu krajach, wiolonczelisty, publicysty, wielkiego Polaka i Wałbrzyszanina.

Zrealizowane wydawnictwo pt. „Józef Wiłkomirski pozostaje wśród nas” jest tym bardziej dla nas istotne, że Maestro Wiłkomirski przez wiele lat odbywał autorskie spotkania w Bibliotece pod Atlantami, w jej Multimedialnej Filii Bibliotecznej na Podzamczu, zyskując szerokie grono uczestników. Tam też, wraz z małżonką Małgorzatą, zainicjował i artystycznie wspierał działanie chóru dziecięcego, bodaj pierwszego w Polsce. Przez wiele lat publikował felietony w wydawanej przez nas „In-Formatce”, ciesząc się niesłabnącym zainteresowaniem.

Felietony, wybrane z setek innych zamieszczonych w naszej „In-Formatce” i „Dwutygodniczku” publikowanym przez Cafe Galerię Ogród Sztuki w Szczawnie-Zdroju, stanowią w naszym wydawnictwie odrębny dział. Kolejnym, interesującym i szczególnym są wspomnienia osób reprezentujących różne środowiska i pokolenia, członków rodziny, kolegów i przyjaciół, którzy współpracowali i spotykali się z Maestro. Pokazujemy też na barwnych fotografiach Pana Józefa Wiłkomirskiego w gronie rodzinnym oraz podczas Jego rozlicznych działań i uroczystych spotkań, których był bohaterem. Na zdjęciach przypominamy również uroczyste pożegnanie w sierpniu 2020 roku tego wyjątkowego człowieka kultury i mieszkańca Wałbrzycha.

Gratuluję panu dr. Maciejowi Żakowi pomysłu wydawnictwa, co było pierwszym krokiem jego powstania. Wydawca dziękuje wszystkim autorom, którzy odpowiedzieli na zaproszenie i podzielili się swoimi wspomnieniami o Mistrzu. Szczególnie dziękuje za współpracę i ogromne zaangażowanie w powstanie tej publikacji Pani Małgorzacie Wiłkomirskiej, która, jak nikt inny, знаła Maestro i bliskie mu osoby ze środowiska muzycznego. Dziękuje redaktor Elżbiecie Marii Kokowskiej za opracowanie koncepcji merytorycznej wydawnictwa oraz sprawną i kompetentną realizację prac redakcyjnych.

Wydawca składa podziękowania Prezydentowi Wałbrzycha dr. Romanowi Szelemiejowi oraz Gminie Wałbrzych za sfinansowanie tego wydawnictwa wspomnieniowego. Dziękuje wszystkim, którzy w różnej formie przyczynili się do powstania publikacji.

Wydawnictwo „Józef Wiłkomirski pozostaje wśród nas” stanowi czwartą część cyklu związanego z osobą Pana Józefa Wiłkomirskiego. Trzy poprzednie tomy: „Lata 1926 -2006. Wspomnienia nie tylko muzyczne” (2009) oraz „Minęło 10 lat...2007 - 2016 w 90. rocznicę urodzin” (2016) to autobiografia Maestro wydana pod redakcją Elżbiety M. Kokowskiej przez Stowarzyszenie Inteligencji Twórczej w Wałbrzychu. Stąd obecny tom ma ten sam format i analogiczne cechy graficzne, jak wcześniejsze. Podobnie jak w poprzednich pozycjach przyjęliśmy zasadę nieingerowania w treść wspomnień autorów oraz tekstów napisanych przez Józefa Wiłkomirskiego.

Zapraszam do lektury. W wersji papierowej wydawnictwo będzie dostępne w bibliotekach, udostępniemy je również w wersji elektronicznej.

Renata Nowicka
Dyrektor PiMBP
„Biblioteki pod Atlantami” w Wałbrzychu
Wydawca

Słowo wstępne

Rocznice obchodzone w świecie kultury zazwyczaj owocują książką, spektaklem lub koncertem - szczególnym świadectwem każdego jubileuszu. Taka jest też geneza niniejszej publikacji. Tom, który oddajemy do rąk Czytelników, powstał dla uczczenia pamięci wybitnego dyrygenta, wiolonczelisty i kompozytora Józefa Wiłkomirskiego, którego pierwszą rocznicę śmierci celebруем w ten sposób.

Bohater naszej publikacji, oglądany z perspektywy dziesięcioleci, zdumiewa i przyciąga uwagę różnorodnością i bogactwem swych wyborów życiowych. Jako młodzieniec urodzony w Kaliszu, wychowany w rodzinie o bogatych muzycznych tradycjach, podejmuje naukę gry na wiolonczeli w Konserwatorium Muzycznym w Łodzi, później zaś w Warszawie. Jego pierwsze sukcesy muzyczne przerywa brutalnie II wojna światowa, podczas której walczył jako żołnierz podziemnej Armii Krajowej i był uczestnikiem Powstania Warszawskiego. Warto także zaakcentować, że był więźniem stalagu w Sandbostel. Tuż po zakończeniu wojny podejmuje studia na Uniwersytecie Łódzkim (historia, archeologia), równocześnie niemalże studiując dyrygenturę w Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej w Łodzi, a później w Warszawie. Jego bogate życie zawodowe toczyło się długo między Łodzią, Warszawą, Kaliszem (zaznaczone godnością Obywatela Honorowego tego miasta), Krakowem, Poznaniem i Szczecinem, zdominowane przez dyrygenturę, podzielone na wytrwałe animowanie różnorodnych zdarzeń muzycznych i kulturalnych jako organizator i prelegent jednocześnie, na działalność dyrektora i kierownika artystycznego, którego zwieńczeniem była praca w Filharmonii w Szczecinie. Patrząc retrospektywnie na pięćdziesięciopięcioletnią karierę zawodową bohatera tej monografii, dostrzec można współistnienie różnorodnych ról, jakże charakterystycznych dla Józefa Wiłkomirskiego, wybitnego muzyka, erudyty i pasjonata literatury, który czuł się zobowiązany, aby wciąż „myśleć o tym, co i ile może dać innym ludziom”. Kiedy odnalazł warunki do wielokierunkowych działań nie bał się nowych wyzwań, w których centrum pozostawała muzyka w całej swojej złożoności. W swojej pracy zawodowej dotarł do najdalszych obszarów występując niemal we wszystkich filharmoniach krajowych, a także w wielu krajach Europy, Ameryki i Azji. Jego kompozycje brzmiały w licznych salach koncertowych, potwierdzając ponadczasową wszechobecność muzyki.

Spośród tych licznych ról chcemy jednak zaakcentować najbliższą nam. W sposób nieoczekiwany i - jak wydawałoby się z punktu widzenia logiki wypadków - niekonieczny, trafił do naszego miasta, gdzie w 1977 r. powie-

rzono mu odpowiedzialną rolę stworzenia przyszłej Filharmonii Sudeckiej. Ta przypadkowa wizyta zaowocowała trwałym, rozwijającym się sukcesywnie, w latach liczonym przedsięwzięciem. Wydarzenia potoczyły się błyskawicznie - łamiąc opór nieprzychylnych uwarunkowań stał się charyzmatycznym dyrektorem naczelnym i artystycznym placówki emanującej nie tylko na miasto, ale i na region. Od tej pory wałbrzyska filharmonia stała się myślą przewodnią całej twórczości zawodowej Józefa Wiłkomirskiego, który do współpracy zaprosił zaprzyjaźnionych oraz sympatyzujących z naszym miastem muzyków - reprezentantów różnych pokoleń i środowisk. Ważną tradycją zespołu muzycznego filharmonii stały się spotkania z zagranicznymi gośćmi przyjeżdżającymi na koncerty oraz inspirujące konfrontacje. Maestro udzielał się także jako publicysta czy też prelegent współpracując z Telewizją Polską i regionalnymi rozgłośniami Polskiego Radia. Historia wałbrzyskiej filharmonii aż do 2005 r. ściśle wpisuje się w działalność swojego założyciela - działalność, na którą składało się niemało: m.in. długoletnie kierowanie Zespołem Szkół Muzycznych w Wałbrzychu, pełnienie społecznych funkcji prezesa w wielu stowarzyszeniach kulturalnych na terenie miasta oraz wieloletnie pełnienie funkcji radnego w Wałbrzychu oraz województwie wałbrzyskim.

Jego życie przez wiele lat związane było z Wałbrzychem, gdzie stworzył warunki do istnienia i funkcjonowania doskonałej filharmonii, otwartej na dokonania, pomysły i idee również rodzące się na gruncie współczesnej muzyki. Kolejne wydarzenia toczyły się w myśl jego własnej myśli przewodniej, którą zwykł często powtarzać „jestem od tego, żeby ludziom dawać muzykę, bo ludzie tej muzyki potrzebują”. Przy uważniejszym spojrzeniu dostrzegamy w wielobarwnym życiu i działalności Józefa Wiłkomirskiego niezwykle ład, który przypomina układ planetarny. Jego centrum była muzyka w całej swojej złożoności, pełnej rozpiętości i w zasięgu globalnym. Tę różnorodność odzwierciedla także niniejsza publikacja. Do jej współautorstwa zaprosiliśmy zaprzyjaźnionych oraz sympatyzujących z naszym miastem i naszą filharmonią miłośników muzyki - uczniów, kolegów, przyjaciół - reprezentantów różnych (nie tylko muzycznych) pokoleń i środowisk. Dzięki ich współpracy powstała publikacja, która mieni się wielobarwnością ujęć, w których intertekstualne gry i wspomnienia splatają się z tropieniem biograficznych śladów. Dziękujemy autorom, którzy zechcieli odpowiedzieć na nasze zaproszenie i uczestniczyć w powstaniu książki. Książkę tę dedykujemy Józefowi Wiłkomirskiemu, za sprawą którego wałbrzyska filharmonia aktywnie współtworzyła oraz promowała muzykę klasyczną, a także nasze miasto. Mam nadzieję, że publikacja ta przyniesie radość z lektury oraz intelektualną satysfakcję nie tylko rodzinie

i miłośnikom talentu i osiągnięć Mistrza, ale że okaże się też przydatna w badaniach na temat historii i kultury muzycznej kraju.

Roman Szełemej
Prezydent Miasta Wałbrzycha

Szanowni Państwo,

przez lata o sile Kalisza - najstarszego z polskich miast - decydowali jego mieszkańcy. To ludzie tworzyli, tworzą i pewnie zawsze tworzyć będą miasto, nadawać mu ducha i rytm życia. W XIX i na początku XX wieku złotymi zgłoskami na kartach historii Kalisza zapisywały się całe szanowane rody - kupieckie, fabrykanckie, nauczycielskie... I jeden wybitny ród muzyczny.

Rodzina Wiłkomirskich sprowadziła się do Kalisza po I wojnie światowej. Alfred, senior rodu objął w naszym mieście klasę skrzypiec w szkole muzycznej, niedługo później zostając dyrektorem placówki. Alfred Wiłkomirski z żoną Anielą oraz trójką dzieci - Kazimierzem, Michałem i Marią - zamieszkali z niewielkim drewnianym domu, dobudowanym do Baszty Dorotki, pozostałości murów miejskich. Do szkoły muzycznej mieli stąd kilka kroków. Rodzinny dom przesiąknięty był muzyką. Oprócz seniora rodu, parały się nią także dzieci, tworząc słynne trio Wiłkomirskich.

Z Kaliszem nierozzerwalnie związani są jeszcze kolejni Wiłkomirscy. Urodzony tutaj Józef oraz jego siostra Wanda - dzieci Alfreda i jego drugiej żony, kaliszanki, Debory Temkin. Wedle rodzinnej legendy, to w kaliskim szpitalu, gdy Debora leżała tam jeszcze z nowo narodzonym Józefem, Alfred namaścił najmłodszego syna na wiolonczelistę. Proroctwo to częściowo spełniło się, gdyż Maestro, zanim został cenionym dyrygentem, grał właśnie na wiolonczeli. Ale nie tylko ta jedna historia sprawia, że cały jego życiorys to gotowy scenariusz na książkę czy film. Józef Wiłkomirski osiągnął sukcesy muzyczne - jako wiolonczelista i dyrygent, organizacyjne - jako człowiek, który od podstaw stworzył Filharmonię Sudecką oraz samorządowe - jako radny Rady Miasta Wałbrzycha oraz działacz Wałbrzyskiej Rady Seniorów. Wszystko to osiągnął ciężką pracą, wszak musiał zarabiać na siebie od piętnastego roku życia. Ciężko także doświadczyła go wojna. Walczył w Powstaniu Warszawskim, przebywał w obozie jenieckim. Przetrwanie tego pokazuje, że był człowiekiem o niezwyklej sile. Wielkim, wspaniałym synem Kalisza.

Profesor Wanda Wiłkomirska wielokrotnie koncertowała w mieście swoich rodziców.

Oboje najmłodszych z rodzeństwa Wiłkomirskich to Honorowi Obywatele Miasta Kalisza. Rok 2015 w naszym mieście obchodzony był jako Rok Rodziny Wiłkomirskich. Obfitował w wydarzenia kulturalne związane z muzycznym rodem. Wtedy to, właśnie w Kaliszu, Wanda i Józef spotkali się po wielu latach. Było to niezwykle, pełne emocji wydarzenie.

Maestro Józef Wiłkomirski pozostaje w naszej pamięci jako człowiek niezwykle otwarty, serdeczny, pełen ciepła i życzliwości. Błyskotliwy erudyta. Było dla nas zaszczytem móc gościć Go, jego małżonkę i krewnych w naszym mieście.

W Kaliszu pamiętamy o Wiłkomirskich. Świadczą o tym pomniki w przestrzeni miasta - Park im. Rodziny Wiłkomirskich oraz sala koncertowa w Państwowej Szkole Muzycznej I i II stopnia w Kaliszu, której patronuje Alfred Wiłkomirski - oraz świadomość mieszkańców, ile ten ród wniósł w historię naszego miasta. Kalisz jest dumny, że mógł być częścią życia rodziny Wiłkomirskich.

Krystian Kinastowski
Prezydent Miasta Kalisza

Wojna i batuta

1 sierpnia 2021 roku przypada 77. rocznica wybuchu Powstania Warszawskiego oraz 1. rocznica śmierci Józefa Wiłkomirskiego, wybitnego człowieka kultury, kompozytora, dyrygenta, wiolonczelisty, popularyzatora muzyki oraz - jakże symbolicznie - żołnierza podziemnej Armii Krajowej i uczestnika Powstania Warszawskiego.

Józef Wiłkomirski urodził się 15 maja 1926 roku w Kaliszu w rodzinie o dużych tradycjach muzycznych. Jako dziecko uczył się gry na wiolonczeli. Edukację muzyczną rozpoczął w Łodzi w Konserwatorium Muzycznym Heleny Kijeńskiej - Dobkiewiczowej. Od 1943 roku kontynuował naukę pod kierunkiem Dezyderiusza Danczowskiego w Staatliche Musikschule w Warszawie, gdzie zastał go wybuch Powstania. Lata spędzone w Warszawie nie należały do najłatwiejszych. Dotkliwa okupacja, konieczność łączenia nauki na tajnych kompletach z pracą, by mieć pieniądze na życie, opieka nad młodszą siostrą Wandą. Wszystko to od najmłodszych lat kształtowało charakter Józefa Wiłkomirskiego.

Decyzja o wzięciu udziału w powstańczym zrywie była - by tak rzec - naturalną konsekwencją wyznawanych przez niego wartości, wielkiego patriotyzmu i gotowości oddania życia dla sprawy Polski. Zaryzykował także swoją karierę. Jako młody, dobrze zapowiadający się muzyk nie wahał się poświęcić swojego talentu nadrzędnym wartościom. Podobnie jak inni artyści (Jan Ekier, Jan Markowski, Roman Padlewski, Eugenia Umińska) ochoczo - zbytnio nie analizując sytuacji polityczno-militarnej, a tym bardziej jej konsekwencji - ruszył do walki z VIS-em w dłoni, nie myśląc o tym, że nawet jeśli przeżyje, to w wyniku poniesionych ran być może już nigdy nie zagra koncertu. 1 sierpnia 1944 roku rozpoczęła się jego wojenna uwertura. Jako pełnoletni mężczyzna kończy kurs podchorążych przy batalionie „Kiliński”. Szkolenie odbywało się w mieszkaniu, które zajmował z rodziną, ponieważ przychodzili tam uczniowie na lekcje muzyki i broń z łatwością można było ukryć w futerale na skrzypce czy pudle rezonansowym pianina. Tajne koncerty w Warszawie z jego udziałem, to nie tylko część polskiej historii muzyki, lecz także świadectwo oporu młodego muzyka przeciwko Niemcom.

W czasie Powstania, pod pseudonimem „Szłom”, walczy jako strzelec w batalionie „Gustaw-Harnaś” na terenie Śródmieścia Północnego i Południowego. Pod koniec zrywu awansowany na stopień kaprała, a w latach 90. otrzymał stopień oficerski. - „Nie wiem, na czym polegały moje wojskowe zasługi,

ale to ładnie ze strony ówczesnych władz”¹ - komentował po latach z dystansem i właściwym sobie poczuciem humoru. Z dwoma granatami za pasem i zdobycznym pistoletem brał udział w walkach na Krakowskim Przedmieściu o kościół Św. Krzyża, komendę niemiecką czy Uniwersytet Warszawski. Pomagał również w wyciąganiu powstańców z wjazdu na ulicy Wareckiej, którzy ze Starego Miasta przechodzili kanałami na Śródmieście. Po kapitulacji zostaje więźniem obozu Sandbostel Stalag X B w Dolnej Saksonii.

W wywiadzie udzielonym Muzeum Powstania Warszawskiego w 2013 roku Wilkomirski przyznał, że czas okupacji był dla niego pełen grozy i niepewności. Wspomnienie likwidacji getta czy dymy nieustannie unoszące się nad niszczonym miastem pozostały w jego pamięci na zawsze. Natomiast pierwsze dni Powstania, odczuwana radość, a wręcz euforia, poczucie, że jest się kimś szczególnym i walczy o coś najważniejszego w życiu, czyli wolność i niepodległość, to najpiękniejsze wspomnienie jego młodości. Emocje pierwszych godzin zrywu powstańczego były niepowtarzalne i niezapomniane przez resztę jego życia. Doświadczenie okupacji, a szczególnie Powstania, odcisnęło się na jego biografii, wykrystalizowało w nim takie cechy charakteru jak hart ducha, determinację i umiejętność nie poddawania się w trudnych chwilach. Najpewniej już wtedy zrodziło się w nim przekonanie - które konsekwentnie realizował w dalszej drodze jako człowiek i artysta - że najwyższą wartością jednostki jest to, co może uczynić dla bliźniego, co może z siebie dać i co może po sobie pozostawić. Motywacją do twórczego działania stały się dla niego również słowa jednego z oficerów, który powiedział mu, że będzie jeszcze Polsce potrzebny i by wykorzystał darowane mu życie.

Po wojnie Wilkomirski ponownie zamieszkał w Łodzi, potem w Warszawie, gdzie kontynuował edukację. Przez cały ten okres, podobnie jak podczas wojny, łączył naukę z pracą muzyka. Od 1946 roku był wiolonczelistą w Orkiestrze Państwowej Filharmonii Łódzkiej i orkiestrze operowej w Warszawie. Po studiach pracował jako dyrygent Państwowej Filharmonii w Krakowie i Poznaniu. Przez 14 lat pełnił funkcję dyrektora i kierownika artystycznego Filharmonii w Szczecinie.

W II połowie lat 70. wyjechał do Wałbrzycha, z którym był związany do końca życia, ponieważ otrzymał propozycję utworzenia tam Filharmonii Sudeckiej. Był jej dyrektorem naczelnym i artystycznym od 1978 do 2005 roku.

1 <https://www.1944.pl/archiwum-historii-mowionej/jozef-wilkomirski,3220.html> (dostęp: 22.04.2021) Archiwum Historii Mówionej, Muzeum Powstania Warszawskiego. Wywiad z Józefem Wilkomirskim przeprowadzony przez Krystynę Cedro-Ceremużyńską, 27 listopada 2013 rok.

Trzeba było być wizjonerem, człowiekiem, który widzi dalej i szerzej, by w górniczym mieście stworzyć orkiestrę symfoniczną i wziąć odpowiedzialność za instytucję, jak i jej muzyków. Był też swego rodzaju managerem kultury, łącząc pracę artystyczną z umiejętnością kierowania placówką.

Podczas 55-letniej kariery za pulpitem dyrygenckim występował we wszystkich filharmoniach krajowych, także w Europie, Azji i Ameryce, gdzie w kilkudziesięciu krajach koncertował i gdzie wykonano jego kompozycje. Był erudytą, człowiekiem o renesansowym umyśle, co sprawnie wykorzystywał jako popularyzator kultury. Był dziennikarzem, nie tylko muzycznym, prelegentem, przygotowywał audycje radiowe i telewizyjne. Jego talent pisarski zaowocował trzutomową autobiografią. Odbił setki spotkań autorskich z mieszkańcami Wałbrzycha i okolic. Maestro był szczególnie zaangażowany w popularyzację muzyki wśród dzieci, dla których skomponował wiele utworów. Wśród licznych aktywności dyrygenta nie można nie wspomnieć o jego działalności społecznej w Wałbrzychu i byłym województwie wałbrzyskim. Został wyróżniony wieloma wysokimi państwowymi odznaczeniami, nagrodami i odznakami.

Erudyta, wielki artysta, wiolonczelista, dyrygent, społecznik zaangażowany w rozwój miasta. Człowiek symbol, ucieleśnienie kultury i Filharmonii Sudeckiej, legenda i część historii Wałbrzycha. To tylko kilka określeń, które charakteryzują Maestro Wilkomirskiego.

Dodać jeszcze należy, że przez całe życie był przede wszystkim patriotą, choć po wojnie już w innym wymiarze niż podczas wojny. W wymiarze rozwijania i upowszechniania kultury polskiej, a przede wszystkim muzyki. Jeszcze raz odwołam się do doświadczenia Powstania Warszawskiego, które miało przemożny wpływ na powojenne życie dyrygenta. Powstanie - by tak rzec - było w nim i z nim do końca. Zaryzykuję stwierdzenie, że w jakimś sensie przeżycia z powstańczej barykady doprowadziły go do tak spektakularnych osiągnięć życia. W jednym z wywiadów wyznał, że musiał wyprzeć ze świadomości dramatyczne wspomnienia, by móc żyć i pracować. Starał się nie zmarnować tego, że przetrwał Powstanie i miał poczucie, że musi dać ludziom coś z siebie, skoro sam otrzymał tak wiele. Zacytujmy fragment wypowiedzi muzyka, w którym zawarł credo człowieka i artysty: „Refleksja jest taka, że najważniejszą rzeczą dla człowieka (dla mnie nie ma ważniejszej), mało tego, najwyższą wartością każdego człowieka jest to, co może zrobić dla ludzi, to, co może dać ludziom, to, co może po sobie zostawić. To było dla mnie zawsze najważniejsze. Wszystko inne było wtórne. Ja byłem gotów podporządkować moje zachowanie i mnóstwo innych rzeczy temu nadrzędnemu celowi.

„Ty jesteś od tego, żeby ludziom dawać muzykę, bo ludzie tej muzyki potrzebują.” To ją dawałem. A potem, jak wyłoniła się szansa w roku siedemdziesiątym siódmym, że mogę - to się zdarza raz na tysiąc - że mogę założyć (nową) instytucję, stworzyć instytucję muzyczną, filharmonię, orkiestrę, to było dla mnie nadrzędne. (...) Teraz niedawno było trzydziestopięciolecie i sobie pomyślałem: „Józiu, ty już schodzisz z tego (świata), ale coś po sobie tutaj zostawiłeś”. I to będzie ciągle dla mnie najważniejsze. I to jest, jakby to powiedzieć, chyba najlepsze podsumowanie całego mojego światopoglądu. Nie ma rzeczy ważniejszych (od pracy dla ludzi), w każdym spotkaniu o tym ciągle mówię. (...) Myślcie, co i ile możecie dać innym ludziom. Okazuje się, że ja byłem w tym szczęśliwym położeniu, że mogłem coś takiego zrobić. Nie chcę używać wielkich słów, (ale pozostaje faktem) że mogłem odcisnąć swój ślad na kulturze muzycznej kraju. Tego się już nie wymaże. Ja to zrobiłem, wobec tego (moje) życie nie było zmarnowane. Czy może być coś piękniejszego w moim wieku? ²

Kres życia Maestra nastąpił bardzo symbolicznego dnia. Równie symboliczne jest to, że o wałbrzyszaninie walczącym w Powstaniu Warszawskim, pisze wałbrzyszanka pracująca w Muzeum Powstania Warszawskiego, która pamięta działalność artysty w swoim rodzinnym mieście.

Paulina Urbańska
Muzeum Powstania Warszawskiego
Warszawa, 23 kwietnia 2021

2 <https://www.1944.pl/archiwum-historii-mowionej/jozef-wilkomirski,3220.html>
(dostęp: 22.04.2021) Archiwum Historii Mówionej,
Muzeum Powstania Warszawskiego. Wywiad z Józefem Wilkomirskim
przeprowadzony przez Krystynę Cedro-Ceremużyńską, 27 listopada 2013 rok.

Józef Wiłkomirski w Stowarzyszeniu Polskich Artystów Muzyków

Znakomici przedstawiciele Rodziny Wiłkomirskich zapisali się złotymi zgłoskami w ponad sześćdziesięcioletniej historii Stowarzyszenia Polskich Artystów Muzyków. Wśród nich jest Józef - wybitny dyrygent i organizator życia muzycznego, zasłużony dla polskiej kultury muzycznej. W dniach 11 - 13 czerwca 1956 roku w Warszawie odbył się Organizacyjny Walny Zjazd SPAM, na którym zostały wybrane władze pierwszego Zarządu Głównego oraz sekcji. Sekcja I - to Sekcja Solistów i Dyrygentów i właśnie jako członek jej zarządu Józef Wiłkomirski rozpoczął społeczną działalność na rzecz muzyków w naszym Stowarzyszeniu. Trzy lata później (tym razem z Wandą i Kazimierzem Wiłkomirskimi) objął tę samą funkcję w zarządzie I Sekcji i pełnił ją do zakończenia kadencji w 1962 roku. Z pewnością liczne obowiązki zawodowe spowodowały, że formalne kontakty Maestro Józefa Wiłkomirskiego ze SPAM-em uległy osłabieniu, ale nadal był obecny w życiu Stowarzyszenia, czego dowodem jest między innymi fakt, że w kwietniu 1964 roku został zaproszony na rozszerzone Plenum Zarządu Głównego - jako dyrektor Filharmonii Szczecińskiej. Tematem Plenum było między innymi upowszechnienie muzyki oraz ochrona praw artystów - wykonawców i udział w tym wydarzeniu świadczy zarówno o uznanych kompetencjach, jak i dokonaniach Dyrektora Józefa Wiłkomirskiego.

Pomimo że w pewnym momencie wygasły formalne kontakty J. Wiłkomirskiego ze Stowarzyszeniem Polskich Artystów Muzyków, do końca swego życia był związany ze środowiskiem muzycznym - nie tylko z racji obowiązków zawodowych, ale także z racji autorytetu i zasług położonych dla polskiej kultury.

dr Katarzyna Janczewska-Sołomko
Wiceprezes Stowarzyszenia Polskich Artystów Muzyków

Szanowni Państwo,

Z ogromną przyjemnością pragnę poinformować, że w dniu 29 października 2020 r. Filharmonia Sudecka w Wałbrzychu otrzymała imię jej założyciela, dyrygenta i długoletniego Dyrektora - Józefa Wiłkomirskiego.

Ogrom pracy oraz determinacja, z jaką Dyktor Wiłkomirski konsekwentnie realizował swoją wizję - od zaadoptowania sali kinowej „Polonia” na potrzeby Sali koncertowej, poprzez skompletowanie pełnego składu orkiestry i zorganizowanie biura koncertowego w niespełna 11 miesięcy - zasługuje na najwyższe uznanie i podziw.

Dzięki tej tytanicznej pracy orkiestra osiągała coraz wyższy poziom wrastając głęboko w pejzaż kulturalny miasta, Dolnego Śląska i całej Polski oraz upowszechniając polską muzykę także poza jej granicami.

Priorytetem Maestro Wiłkomirskiego było to, aby tzw. kultura wysoka była powszechnie dostępna zarówno wyrobionym muzycznie melomanom, jak i czekającym na muzykę dzieciom z małych miast i ze wsi Dolnego Śląska. Ta uparcie realizowana idea sprawiła, że ówczesne dzieci przyprowadzają teraz do Sali koncertowej swoje pociechy, zaszczepiają im miłość do muzyki.

Dziś nasza instytucja ma już ponad 40 - letnią historię i chociaż nie zawsze było łatwo, to jesteśmy dumni, że nasze istnienie zawdzięczamy wspaniałemu artyście, patriocie, społecznikowi, człowiekowi ogromnej kultury, po prostu Wielkiemu Człowiekowi.

Dlatego, kiedy żegnaliśmy Józefa Wiłkomirskiego na ostatnim „ziemskim” koncercie postanowiłam wystosować pismo do Urzędu Marszałkowskiego we Wrocławiu o nadanie naszej Filharmonii imienia jej założyciela. Taka była wola wielu muzyków, (wśród których kilkoro pracuje od inauguracji pierwszego sezonu artystycznego w 1978 r.) oraz melomanów.

Myślę, że była to jedyna, słuszna koncepcja, aby patronem naszej Filharmonii był człowiek niezwykle wysokiej kultury, wspaniały erudyta, kompozytor, publicysta, jednym słowem człowiek o wielu talentach, który mówił o niej, jak o swoim dziecku - z miłością i troską.

Cieszę się, że mogłam poznać osobiście Maestro Wiłkomirskiego i mam nadzieję, że jako Patron naszej instytucji sprawi, iż Filharmonia będzie się nadal prężnie rozwijać, nie dając się pokonać nawet największym przeciwnościom losu.

Elżbieta Łaganowska
Dyrektor Filharmonii Sudeckiej
im. Józefa Wiłkomirskiego w Wałbrzychu



Pozostaje
we wspomnieniach



Z przyszłą żoną Małgorzatą
na koncercie dyplomantów
PSM II st. w Wałbrzychu,
13 czerwca 1980 r.



Ślub, 16 sierpnia 1980 r.



Córka Wiosna z tatą w czasie przerwy
w festiwalowych koncertach w Szczawnie-Zdroju



Szczęśliwi małżonkowie po latach

Józio i ja

Nie sposób, przy pomocy kilku zdań, podzielić się wspomnieniami ze wspólnego życia. Myślę, że mogłyby się stać materiałem do obszernej książki. Może ją kiedyś napisać.

Miałam zaledwie 20 lat a Józio 54, kiedy podjęliśmy decyzję o ślubie. Decyzję wbrew konwenansom, opinii otoczenia i rodziny czy... zdrowemu rozsądkowi. Pozwolę sobie przypomnieć, że był to rok 1980! Wieszczono rychły koniec tego małżeństwa. Ale my, jakby na przekór wszystkim, zbudowaliśmy związek, który trwał przecież 40 lat. Związek niekonwencjonalny, ale niezwykle bogaty. Józio był dla mnie mężem-ojcem, ja dla Niego żoną-córką. (Od razu niemal „zabrał się” za mój rozwój intelektualny. Stworzył spis książek, które „... każdy kulturalny człowiek znać powinien”. Przez parę lat wędrowałam przez światową literaturę).

Na pewno nie było łatwo żyć z człowiekiem z tak wielkim bagażem doświadczeń. Który miał swoje zasady, często dziwne przyzwyczajenia. I tak ogromną wiedzę. Bardzo wymagającym od siebie i innych. Który pracował bez wytchnienia tworząc Filharmonię, a potem walcząc o jej przetrwanie.

Zwolnił nieco tempo, kiedy urodziła się nasza córka Wiosna (1982). Stał się wspaniałym, oddanym bez reszty tatą, poświęcając dziecku nie tylko czas, ale i tzw. karierę. Coraz częściej rezygnował z wyjazdów koncertowych, bo żał było każdej chwili spędzonej poza domem. Pamiętam z jaką radością obserwował rozwój malej, jak cieszył się z jej postępów.

Oczywiście nigdy nie miał czasu, aby zadbać o swoje zdrowie. Wreszcie organizm zaczął się buntować. Kolejne szpitale, kolejne operacje i kolejne, coraz większe ograniczenia fizyczne. I to - przyznam - było najtrudniejsze. Bo trzeba było walczyć o Niego z Nim samym. Żeby zrozumiał, że ułomności fizyczne są bez znaczenia przy tym, co może ofiarować Jego głowa. Że będę przy Nim. I znowu daliśmy radę. Wyrwaliśmy jeszcze kilkanaście lat. Lat obfitujących w rozmaite działania i wydarzenia. Doczekaliśmy narodzin naszego wnuka Piotrusia (2016). Spędzaliśmy piękne urlopy w Bawarii. W 2019 byliśmy tam razem z dziećmi po raz ostatni.

Zawdzięczam Mu naprawdę bardzo wiele. Pracowaliśmy razem przy tworzeniu cykli koncertów edukacyjnych dla dzieci, które prowadziłam. Najwięcej radości dawały nam pisane przez Józia baśnie muzyczne dla przedszkolaków. A potem pomagałam w Jego publicystycznej działalności. Przepisując na komputerze felietony (Józio pisał wyłącznie długopisem), stawiałam się surowym często recenzentem. Zwykle przyznawał mi rację.

To On namawiał mnie do tworzenia i prowadzenia różnych zespołów. Wytaczał mi drogi zawodowego rozwoju. I zawsze służył pomocą.

Był moim nauczycielem, doradcą, opiekunem a przede wszystkim przyjacielem. Został mi bagaż wspomnień, wiedzy i doświadczeń. I choć Józio umarł - nie odszedł. Jest cały czas ze mną, w naszym domu.

Cieszę się, że powstała ta książka. Bardzo dziękuję pomysłodawcom, wydawcom i sponsorom publikacji. I tym wszystkim, którzy zechcieli podzielić się swoimi wspomnieniami o Józiu. Z wielką radością czytam ile inni zawdzięczają Maestro (tak do Niego mówiono). Myślę, że zostawił po sobie trwałe ślady w ich życiu. Jak w Wałbrzychu zostało dzieło Jego życia - Filharmonia Sudecka, która od jesieni 2020 nosi imię Józefa Wiłkomirskiego.

Małgorzata Wiłkomirska

„A młodszym kolegom muszę przypomnieć, że forte gra się całym smyczkiem!” - głos dyrygenta natychmiast wybudził mnie z chwilowego zamyślenia, tym bardziej, że szybko zdałem sobie sprawę, że owi „młodszy koledzy” to byliśmy my - dwóch studentów skrzypiec z Akademii Muzycznej, którzy mieliśmy zaszczyt zastępować muzyków ze stałego składu, podczas jednego z koncertów w Filharmonii Sudeckiej. Tubalny bas-baryton należał do Maestro Józefa Wiłkomirskiego. Jego wpatrzone w nas oczy, jak i spojrzenia pozostałych członków orkiestry również nie pozostawiały złudzeń, że granie forte będziemy musieli jeszcze poćwiczyć...

Jednak owe „wypomóżki”, jak zwykli wtedy nazywać takie zastępstwa muzycy, to nie było pierwsze spotkanie z Mistrzem. Nie była nim także pogadanka na temat odpowiedniego zachowywania się w filharmonii, którą we trzech z kolegami w pokorze wysłuchaliśmy po jednym z koncertów dla szkoły muzycznej, kiedy to musieliśmy naprawdę dokazywać, nie wiedząc, że dyrektor Wiłkomirski (którego zresztą już wtedy darzyliśmy szacunkiem!) siedzi tuż za nami. Na skromne usprawiedliwienie dodam tylko, że na wszystkich innych koncertach, zarówno poprzednich, jak i, czego łatwo się domyślić, również następnych byliśmy grzecznymi i oddanymi słuchaczami.

Czytelnikom, którzy nie znają tak dobrze historii Filharmonii Sudeckiej trzeba nadmienić, że Maestro Wiłkomirski był wielkim orędownikiem i dalekowzrocznym organizatorem koncertów dla dzieci i młodzieży - nie tylko tych kameralnych, które odbywały się w szkołach, lecz także tych w gmachu Filharmonii, gdzie w soboty wykonywano dla uczniów ze szkoły muzycznej dzieła symfoniczne. Koncerty te były praktycznie powtórką koncertów piątkowych, takich dla dorosłych, jak wtedy uważaliśmy. Och, to było naprawdę coś!

Wróćmy jednak do pierwszego spotkania z Mistrzem, choć tak naprawdę nie jestem w stanie powiedzieć, kiedy zetknąłem się z Nim po raz pierwszy. Jako dziecko muzyka pracującego w Filharmonii w wieku trzech, czterech lat byłem przyprowadzany co jakiś czas na próby, co można chyba przyrównać do wspomnień dzieci aktorów, dorastających na deskach scen teatralnych.

Zresztą nie trwało to chyba zbyt długo, gdyż do rodzinnych historii przeszło, przytaczane już parę razy, zdarzenie, kiedy to ja, jako mały brzdąc, na jednej z takich prób stanąłem za Mistrzem i zacząłem - tak po dziecięcemu - dyrygować. Przypadek? Proroctwo? Tak czy owak - podobno w związku z ogólną

wesołością - zarządzono przerwę, a do tego padł zakaz uczestnictwa dzieci w próbach, co obowiązywało przez pewien czas. Czy to prawda? - dziś pewnie już nikt nie mógłby tego potwierdzić.

Tak naprawdę mogłem bardziej poznać Mistrza, doświadczyć Jego geniuszu po wielu, wielu latach, kiedy sam wielokrotnie stawałem na podium dyrygenckim. On sam - z racji ograniczeń wynikających z wieku - stawał na nim coraz rzadziej. Było zresztą dla mnie czymś zdumiewającym i godnym podziwu to z jaką pogodą ducha i stoickim nastawieniem podchodził do faktu, że wraz z latami nasze ciało zdradza nas coraz bardziej.

Cała ta pełna emocji współpraca zaczęła się w związku z corocznymi koncertami charytatywnymi, jakie Mistrz prowadził dla członków Rotary Klub Świdnica - Wałbrzych, a później dla Stowarzyszenia Przedsiębiorców i Kupców Świdnickich. Koncerty te cieszyły się niesłychanym powodzeniem, myślę, że przede wszystkim ze względu na osobę Prowadzącego. Ale też i program - największe dzieła symfoniczne, operowe i baletowe - był przez Niego starannie dobrany i korelował z tematem przewodnim.

Zrzędzeniem losu, a może uśmiechem niebios, mogę nazwać fakt, że po latach organizacji tych koncertów Maestro zwrócił się do mnie z propozycją czy nie chciałbym być, jak to sam pięknie ujął, „jego rękami”.

Nie trzeba chyba tłumaczyć, że tego rodzaju propozycja wzbudziła moje zarówno niedowierzanie, jak i entuzjazm, a przede wszystkim wdzięczność. Oto ktoś podziwiany od dzieciństwa, mając do wyboru tak wielu znakomitych dyrygentów wybrał właśnie mnie.

No i się zaczęło...

A zaczęło się tak, że Maestro Wiłkomirski ustalał zawsze przed koncertami cykl wspólnych spotkań, podczas których ponownie wracałem w uczniowskie buty i musiałem wykazać się znajomością dzieła, kompozytora, jak i epoki. Wspaniałe były to spotkania!

Mistrz przyjmował zawsze w gabinecie, gdzie w otoczeniu partytur i książek (cóż za biblioteka!) omawiał drobiazgowo każdy z wybranych utworów. Każde z tych omówień stanowić mogło zresztą odrębną mini prelekcję. Dzięki Jego słowom ożywały dawne, jak i nieodległe zdarzenia, padały nazwiska wielkich kompozytorów, którzy okazywali się być po prostu Jego kolegami i znajomymi, pojawiały się w otoczeniu równie wielkich nazwisk profesorów Mistrza!

„No, tak!” - jak zwykł dobitnie podkreślać zakończony właśnie wywód i przechodził legato do omawiania zagadnień filozoficznych czy religijnych, co zresztą czynił z wyjątkową łatwością. I tak oto spotkania półtoragodzinne cudownie stawały się trzygodzinnymi.

Podziwiać tu trzeba było Małżonkę Mistrza, Małgorzatę Wiłkomirską, która w wiadomy tylko sobie, tajemny sposób, pilnowała, by opóźnienia suplementacji nie odbiły się poważnie na Jego zdrowiu! Myślę, że o takich właśnie ludziach mówi się, że są chodzącymi aniołami.

Nie sposób na koniec nie przywołać obrazu Mistrza na prowadzonych przez siebie koncertach. Dzisiaj, po latach, mogę tylko powiedzieć, że podczas prelekcji słuchacze mieli okazję podziwiać wystąpienie, którego wcześniejszą wersję, pełną znakomitych anegdot i dygresji, miałem okazję słyszeć podczas naszych spotkań. I wszyscy bez wyjątku słuchaliśmy go z zapartym tchem.

Nie zapominajmy jednak, że Dyrektor Józef Wiłkomirski był z jednej strony uosobieniem elegancji, erudycji i charyzmy, a z drugiej strony - wciąż pełnym temperamentu dyrygentem!

Podziwiałem więc tę Jego skromność i pokorę, że oto siedzący na scenie On - wielki Mistrz - wsłuchuje się tylko w wykonania swojej orkiestry, a przecież serce z pewnością omal Mu nie wyskoczyło! Więc kiedy podczas koncertu skromnie powiedział: „Może młodszy kolega da mi poprowadzić ostatni utwór...” jedyne, co mogłem zrobić to z radością pomóc Mu zająć miejsce na dyrygenckim podeście.

Ach, cóż to było za wykonanie „Lezginki”! Jak Oni razem zagraли! Oto ów mędrzec, który jawi mi się jako ucieleśnienie skończonego, kompletnego dyrygenta i równie wielkiego filozofa, odrodził się jak feniks i wyczarował z orkiestry najpiękniejsze dźwięki, które będzie się wspominać, póki pamięć świadkom pozwoli! Tu skończę. Bo bardzo trudno jest opisać coś, czego tak naprawdę opisać się nie da.

Mam głęboką nadzieję, że to, co dał nam Mistrz Wiłkomirski pozostanie w nas i stanie się zaczynem tworzenia czegoś jeszcze piękniejszego. I że, dodające mi otuchy, ważne dla mnie słowa Maestro - recenzujące moje dyrygowanie po jednym z koncertów - okażą się prorocze.

Szczególnie mam nadzieję, że Wałbrzych będzie o Nim pamiętał. Że pozostanie On w pamięci nas wszystkich.

ALEKSANDER CZAJKOWSKI

Wiolonczelista, kameralista, pedagog

Od wielu lat marzeniem muzyków wałbrzyskich oraz całego środowiska kultury było utworzenie w naszym mieście zawodowej orkiestry symfonicznej, a mówiąc ściśle instytucji muzycznej - filharmonii. Udało nam się w nowo powstałym województwie wałbrzyskim stworzyć korzystny klimat, aby nadać bieg tej inicjatywie. Zarząd Wałbrzyskiego Towarzystwa Muzycznego im. H. Wieniawskiego aktywnie działał w tym kierunku. Ważne było, aby kandydatem na organizatora filharmonii była osoba z dużym doświadczeniem i o znanym nazwisku, która w efektywny sposób podejmąby inicjatywę. Pan Józef Wiłkomirski wywodzący się z znanej w kraju i za granicą rodziny muzycznej, sam znany i doświadczony dyrygent oraz dyrektor takich instytucji, był jak najbardziej odpowiednim kandydatem na dyrektora.

11 września 1977 roku witałem Maestro Wiłkomirskiego na Dworcu Wałbrzych Miasto, gdy przyjechał tutaj po raz pierwszy, aby prowadzić rozmowy o tworzeniu u nas filharmonii. Po przywitaniu i zakwaterowaniu w Hotelu Sudety, zaprosiłem Maestra na kolację do mojego skromnego mieszkania na Piskowej Górze.

W trakcie kolacji zaczęliśmy wspólnie snuć wizję przyszłej filharmonii w Wałbrzychu, jako instytucji o szerokim polu działania w upowszechnianiu kultury muzycznej nie tylko w województwie wałbrzyskim, ale i na całym Dolnym Śląsku. Byłem bardzo zaskoczony, kiedy okazało się, że nasze wizje względem przyszłej filharmonii w Wałbrzychu były wyjątkowo spójne. Wiedziałem, jak działają takie państwowe instytucje muzyczne, ponieważ już wcześniej pracowałem przez dwa lata w orkiestrze Opery Wrocławskiej i rok w Filharmonii Wrocławskiej, więc zdawałem sobie sprawę, jak skomplikowana organizacyjnie jest struktura takiej instytucji. Niemniej jednak po rozmowie z Maestro uwierzyłem, że utworzenie filharmonii w Wałbrzychu jest możliwe. Nie będę opisywał w szczegółach całej procedury i ogromu działań organizacyjnych, jakie musieliśmy wspólnie podjąć, by dotrzeć do historycznego dnia inauguracji Filharmonii Wałbrzyskiej. Nadmienię tylko, że byłem pełen podziwu z jaką pasją i zaangażowaniem rozpoczął Maestro ten trudny proces organizacyjny. Codziennie spotykaliśmy się w jego biurze, gdzie każdego dnia Maestro miał przygotowany plan działania na dany dzień. Wszystko wypisane skrupulatnie na kartkach papieru, leżało przygotowane na biurku. Jednym z pierwszych działań było utworzenie orkiestry symfonicznej, skompletowanie składu co

najmniej 70 muzyków potrzebnych i gotowych do wykonania pierwszego inauguracyjnego koncertu. Rozpoczęły się przesłuchania muzyków.

Na pierwszy „ogień” poszli muzycy z byłej już Wałbrzyskiej Orkiestry Symfonicznej, wśród których byłem i ja. Pamiętam jak dzisiaj owo przesłuchanie, na którym wykonałem, z akompaniamentem Pani Alicji Janusz, mój ulubiony wirtuozowski utwór wiolonczelowy „Pezzo capriccioso” Piotra Czajkowskiego. Ocena, którą usłyszałem brzmiała: - „Dźwięk jest, technika również, a doświadczenie orkiestrowe przyjdzie z czasem. Będziesz koncertmistrzem grupy wiolonczel w mojej orkiestrze”. Po przesłuchaniach, z Wałbrzyskiej Orkiestry Symfonicznej do nowej orkiestry przyjętych zostało 18 muzyków.

Szybko rozeszły się wieści, że w Wałbrzychu powstaje filharmonia i potrzebni są muzycy. Zaczęli się zjeżdżać z całego kraju młodzi muzycy, głównie studenci ostatnich lat studiów muzycznych. Trwały przesłuchania, a w międzyczasie już zatrudnieni muzycy uczestniczyli w próbach. Miejszem tych wstępnych działań i prób nowej orkiestry symfonicznej była aula szkoły muzycznej przy ul. St. Moniuszki. W tym samym czasie w sali dawnego kina Polonia trwał intensywny remont nowej siedziby filharmonii. Przez kilka miesięcy „Filharmonia Wałbrzyska w organizacji” przygotowywała się do swojego koncertu inauguracyjnego. Obok remontu samodzielnej siedziby, zakupiono potrzebne instrumenty muzyczne, pulpity dla orkiestry oraz uszyto suknie i fraki dla muzyków. Odbływały się również koncerty publiczne orkiestry w dostępnych salach w Wałbrzychu.

Nadszedł wielki dzień inauguracji - 24 listopada 1978 roku. Uroczystość odbyła się w nowo zaadoptowanej i wyremontowanej sali Filharmonii. Jak przystało na takie historyczne wydarzenie, repertuar koncertu był wyjątkowy. Wykonaliśmy dwa wielkie dzieła: „Koncert e-moll” Fryderyka Chopina oraz koncertowe wykonanie „Harnasi” Karola Szymanowskiego, z udziałem znakomitych solistów: Haliny Czerny - Stefańskiej, Andrzeja Bachledy oraz Chóru Politechniki Szczecińskiej. Był to znakomity koncert i niezapomniana uroczystość.

Po tym wydarzeniu Filharmonia Wałbrzyska rozpoczęła działalność, do jakiej została powołana. Były to cykliczne koncerty abonamentowe, uczestnictwo Orkiestry w muzycznych festiwalach na terenie Dolnego Śląska: w Szczawnie-Zdroju, Kudowie, Dusznikach, Łądku-Zdroju oraz innych miastach regionu. Kontynuowana była też współpraca z orkiestrą w Riesa NRD oraz w Pardubicach i Hradec Kralove w Czechosłowacji.

Niezwykle ważną sferą działalności Filharmonii Wałbrzyskiej były koncerty szkolne. Młodzież szkół wałbrzyskich zapraszana była na koncerty symfoniczne do siedziby Filharmonii, gdzie prezentowane były utwory z koncertów abona-

mentowych odpowiednio przygotowane oraz omawiane bardzo często przez samego Maestra. Należy tu podkreślić, że miał do tego niezwykle dar i wiedzę.

Z programów koncertów szkolnych szczególnie zapamiętałem poemat symfoniczny Richarda Straussa „Przygody Dyla Sowizdrzała” oraz suitę „Karnawał Zwierząt” Camila Saint-Saensa. Jedną z części tej suity jest „Łabędź”, utwór solowy na wiolonczelę z fortepianem. Maestro Józef Wiłkomirski zaproponował akompaniament harfowy z towarzyszeniem kwintetu, co tworzyło specyficzny i niepowtarzalny klimat. Wersję Maestra wykonywałem później w czasie mojego kontraktu w Hiszpanii na kilku koncertach z moją orkiestrą kameralną. Także tę wersję „Łabędzia” wykonywali moi studenci z dużym powodzeniem.

Pragnę podkreślić, że program koncertowy planowany przez Maestro Józefa Wiłkomirskiego pozwolił muzykom orkiestry poznawać wielkie dzieła literatury muzycznej, dzięki czemu orkiestra nabierała doświadczenia i podnosiła swój poziom, co doceniane było w recenzjach muzycznych.

Maestro Józef Wiłkomirski był również świetnym kompozytorem. Ponieważ wcześniej był też wiolonczelistą, skomponował kilka utworów na ten instrument. Między innymi „Suitę tańców polskich”. Kilka tańców z tej suity wykonywali moi uczniowie na koncertach szkolnych.

Warto wspomnieć w tym miejscu o innym ważnym wydarzeniu, które potwierdziło kolejny raz ogromne zaangażowanie Maestro w popularyzowanie muzyki wśród młodzieży, jak również ogromną łatwość nawiązywania z nią bezpośredniego kontaktu. Wspomniane wydarzenie to Letnie Warsztaty Muzyczne dla uczniów starszych klas szkół muzycznych I stopnia, które organizowałem w Jedlinie-Zdroju w latach 2004 - 2006. Inicjatywa ta była wynikiem doświadczeń pedagogicznych w trakcie mojego kontraktu w Hiszpanii. Wspominam o II edycji Warsztatów, w sierpniu 2005 roku. Mogę powiedzieć, że były one międzynarodowe, ponieważ przyjechali na nie również młodzi ludzie z Ingolstadt w Niemczech, uczniowie mojego przyjaciela, byłego skrzypka naszej Filharmonii, Zygmunta Geferta. Maestro Józef Wiłkomirski bardzo się interesował moimi warsztatami i je wspierał. Jeden ze swoich utworów zadedykował ich uczestnikom. Były to „Wesołe wariacje na temat „Happy Birthday”. Utwór edukacyjny, gdyż znana melodia grana była niemal we wszystkich muzycznych stylach. Oczywiście zaprosiłem Maestra na warsztaty, gdzie poprowadził próby, a także miał interesujące spotkania z muzyczną młodzieżą.

Po raz ostatni spotkałem Maestro dnia 17 maja 2019 roku, w nowo wyremontowanej sali Filharmonii Sudeckiej na koncercie z okazji jej jubileuszu 40-lecia. Po uroczystym koncercie wspólnie podziwialiśmy piękny wystrój sali oraz wspaniałą akustykę. Ostatnie zdanie, które wypowiedział Maestro

w moim kierunku brzmiało: -„Olku, napisz jakieś wspomnienia o tym wszystkim, co razem przeżyliśmy w tym miejscu”.

Spełniam zatem ostatnią wolę Maestro Józefa Wiłkomirskiego z wielką satysfakcją, sentymentem oraz ogromnym dla Niego szacunkiem i podziwem. Maestro, którego poznałem ponad 40 lat temu, był dla mnie nie tylko dyrektorem. Był również nauczycielem, mentorem, wzorem artysty i kreatorem, a także, ośmielę się dodać, przyjacielem.

WOJCIECH CZEPIEL

Dyrygent, kompozytor

Zdarzają się w naszym życiu sytuacje, które w momencie ich zaistnienia wydają się mało istotne, ale kiedy przyjrzeć się im z perspektywy trzydziestu, a nawet czterdziestu lat, nabierają zupełnie innego znaczenia. Tak też postrzegam teraz moje pierwsze spotkanie z Dyrektorem Józefem Wiłkomirskim w połowie lat siedemdziesiątych ubiegłego stulecia.

Dyrygował wówczas w Filharmonii Krakowskiej koncertem symfonicznym, w którym solistką była jego siostra - wspaniała skrzypaczka Wanda Wiłkomirska. Z programu koncertu pamiętam tylko piękne wykonanie koncertu skrzypcowego Albana Berga. Oczywiście nie oznacza to, że wykonanie innych utworów było mniej ciekawe, ale to był czas kiedy nie widziałem świata poza skrzypcami i rzecz jasna repertuarem skrzypcowym... i nic nie wskazywało na to, że będę dyrygentem i że z dyrektorem Wiłkomirskim będę się spotykał rokrocznie przez ponad trzydzieści lat.

Kolejne spotkanie miało miejsce w 1979 roku. Polska Orkiestra Kameralna, w której byłem skrzypkiem, miała wtedy koncert na festiwalu w Szczawinie-Zdroju. Dyrektor Wiłkomirski użyczył nam gościny w dopiero co otwartej Filharmonii Sudeckiej w Wałbrzychu. Na estradzie Filharmonii mieliśmy próby, a w przerwach rozmawialiśmy z Dyrektorem Wiłkomirskim o jego artystycznych planach.

Minęło kilka lat - czas zmiany całkowitej w moim życiu - ze skrzypka zmieniłem się w dyrygenta i w roku 1985 dyrektor Józef Wiłkomirski wraz z Tadeuszem Strugałą, dyrektorem Festiwalu Chopinowskiego w Dusznikach, zaprosili mnie na ten Festiwal z Orkiestrą Filharmonii Sudeckiej i Lidią Grychtołówną, jako solistką. Koncert był niezwykle udany i nawiązana wtedy współpraca trwała do końca dyrekcji Maestro Wiłkomirskiego w Wałbrzychu.

Dyrektor Wiłkomirski okazywał niezwykłą życzliwość i szczere zainteresowanie moją pracą dyrygencką. Uwielbiałem rozmowy z nim, z których można było sporo dowiedzieć się o pracy dyrygenckiej i o muzyce w ogóle. Fakt, że pochodził ze wspaniałej muzycznej rodziny Wiłkomirskich sprawiał, iż był - można powiedzieć - niewyczerpanym źródłem nie tylko wiedzy muzycznej, ale i wielu historii i anegdot z życia muzyków. Jako bardzo doświadczony dyrygent, znający wszelkie problemy zawarte w ogromnych ilościach partytur, był wspaniałym partnerem i doradcą w wyborze programu koncertowego. Dobrze wybrany program sprawiał, że z radością przygotowywałem się do koncertu.

Bardzo lubiłem te przyjazdy do Filharmonii Sudeckiej - a to z kilku niezwykle ważnych dla dyrygenta powodów. Jak już wspomniałem, jednym z nich był dobrze dobrany program, drugim niezwykła życzliwość i muzyczna ambicja muzyków Filharmonii Sudeckiej, na każdym kroku wsparcie pracowników biura i wreszcie to, że pieczę nad instytucją ma Dyrektor Wiłkomirski - doświadczony dyrygent, który z życzliwością traktuje swoich młodszych i starszych kolegów dyrygentów. Jestem przekonany, że okazywane nam przez Niego zaufanie, życzliwość i zainteresowanie procentowało potem podczas koncertów. To była jedna z jego niezwykle cech, że samemu będąc dyrektorem instytucji ...nie eksponował tego, a pozwalał gościnnemu dyrygentowi „zaistnieć” i „zabłysnąć” i zawsze po koncercie dziękował dyrygentowi za wykonaną dla Filharmonii pracę.

Kiedy w roku 2000 zostałem dyrektorem artystycznym Filharmonii Narodowej w Bejrucie, jednym z pierwszych pomysłów było zaproszenie Dyrektora Wiłkomirskiego do Libanu, aby tym razem to On poprowadził gościnnie koncert z „moją” Orkiestrą. Orkiestra była zachwycona Jego ogromnym doświadczeniem i pełnym życzliwości i ciepła sposobem pracy z muzykami. Dzięki tak wspianemu koncertowi Dyrektora Wiłkomirskiego udało mi się przekonać libańskiego kompozytora Walida Gholmieh do nagrania z Filharmonią Sudecką płyty z jego Symfonią nr 6. I znowu doświadczenie Dyrektora Wiłkomirskiego pozwoliło zaplanować i zrealizować ten projekt nagraniowy niezwykle gładko i z bardzo dobrym rezultatem.

Chciałbym tu bardzo mocno podkreślić, że jestem wdzięczny Dyrektorowi nie tylko za współpracę dyrygencką, ale za to, że zaufał mi i pozwolił zadebiutować w zupełnie nowej dziedzinie, a mianowicie w kompozycji. Nie wahał się ani trochę, by zaplanować w moich dwóch programach w Wałbrzychu dwie moje nowe kompozycje orkiestrowe - Sequenzę nr 1 i Novelettę, które wówczas nie zostały jeszcze nawet naszkicowane... Dzięki tej szansie jestem dzisiaj, po latach, również kompozytorem - dostaję zamówienia kompozytorskie i nagrywam płyty ze swoimi kompozycjami.

W ostatnich miesiącach dyrekcji Maestro Wiłkomirskiego miałem przyjemność być na jego koncercie w Szczawnie-Zdroju. Koncert był popisem Jego kunsztu dyrygenckiego i przykładem Jego niezwykle barwnych opowieści o muzyce. Szczególnie zachwycił mnie „Kaprys włoski” Czajkowskiego. Utwór wymaga bardzo dobrej techniki dyrygenckiej i smaku muzycznego najwyższej próby. Pod batutą Józefa Wiłkomirskiego była to prawdziwa uczta muzyczna!

Jednym z najprzyjemniejszych - i z pewnością najważniejszym - z moich wspomnień współpracy z Dyrektorem Józefem Wiłkomirskim było poprowa-

dzenie koncertu symfonicznego z Filharmonią Sudecką z okazji Jego 90. urodzin i co wykonałem na Jego osobistą prośbę. Oprócz Jego ukochanych kompozycji Debussy'ego i Ravela, które sam wielokrotnie w swojej karierze dyrygował, zadyrygowałem też Jego własne kompozycje: „Przygody Kacperka” dla recytatora i orkiestry, „Stela 70” i niezwykle efektowny Oberek na orkiestrę symfoniczną. Wszystkie te utwory zasługują na to, by regularnie gościć w salach filharmonicznych. Mam nadzieję, że wkrótce zostaną wydane w formie nutowej, a ich wykonania będzie można posłuchać także na płytach.

Często wspominam Dyrektora Wiłkomirskiego. Jego elegancję, życzliwość i ciepło. Posiadał wspaniałe cechy i styl, które dziś są absolutną rzadkością. Jego pomoc młodym artystom, znakomite zarządzanie Filharmonią, całkowite oddanie się sprawie, jaką była popularyzacja muzyki poważnej, wspaniałe muzyczne programy edukacyjne dla dzieci i młodzieży, czy wreszcie nieustanne przekonywanie władz do wspierania wysokiej kultury, powinny być dla nas dyrygentów, kompozytorów i dyrektorów filharmonii wielkim wzorem.

Był wspaniałym artystą i wspaniałym człowiekiem. To bardzo rzadkie połączenie i dlatego bardzo się cieszę, że mogłem spotkać Józefa Wiłkomirskiego na swojej drodze i mogę dziś wracać wspomnieniami do naszej bardzo owocnej współpracy oraz wciąż czerpać inspirację z naszych bardzo ciekawych rozmów o życiu i muzyce.

Skrzypaczka - solistka, kameralistka, pedagog

Był maj 2013 roku. Dokładnie 17 dzień maja. Ostatni mój koncert z Maestro Wilkomirskim. Jak się później okazało, to był też ostatni w życiu koncert, na którym Józef Wilkomirski wystąpił przed publicznością... JEGO ostatni koncert... Zagraliśmy Koncert skrzypcowy Arama Chaczaturiana...

Gdyby ktokolwiek z nas mógł to wtedy wiedzieć... Nie, przecież ON jest nieśmiertelny!

Dlatego tak trudno pisać mi wspomnienie o Nim... Gdyż Mistrz zawsze był, jest i będzie!

Ale zacznę od początku.

Pierwszy raz miałam przyjemność przyjechać do Wałbrzycha do Filharmonii Sudeckiej właśnie na zaproszenie legendarnego jej dyrektora - Józefa Wilkomirskiego. Byłam już dwa lata po moim płytowym debiucie, rozpoczynając swoją artystyczną, zawodową drogę. Ale Maestro usłyszał mnie dopiero na koncercie transmitowanym przez telewizję, prosto z Brukseli. W ten sposób dostałam swoją szansę na spotkanie z niezwykle Czułkiem.

Pierwszy wspólny koncert zagraliśmy 24 maja 2002 roku na zakończenie sezonu Filharmoników Sudeckich. W programie znalazły się dzieła Pablo de Sarasate - „Melodie Cygańskie” oraz „Fantazja na tematy z opery Carmen Georga Bizet”.

Natychmiast zrozumiałam, iż mam ogromne szczęście i zaszczyt obcować z wybitnym artystą, cudownym, wrażliwym muzykiem, niezwykle osobowością i przede wszystkim wielkim autorytetem. Z Maestro od razu połączyła nas nić muzycznego porozumienia, już po pierwszych dźwiękach poczułam, że mogę pozwolić sobie na szaleństwo w tych jakże wirtuozowskich utworach. Ale co najważniejsze, Mistrz w podobny sposób odbierał wszelkie niuanse stylistyczne, muzyczne. Jego temperament spowodował, że mogłam w pełni rozwinąć skrzydła na scenie.

I jest to niezwykle cecha dyrygenta, zwłaszcza w tak „niesprawiedliwych” dla wykonawców utworach, gdzie jednak rola solisty jest bezdyskusyjnie pierwszoplanowa a dyrygent pełni funkcję typowo akompaniującą. I nie ma co ukrywać, utwory typowo wirtuozowskie nie stanowią ulubionej formy dzieł wykonywanych na scenie przez dyrygentów. Repertuar przeważnie trudny dla orkiestry i niewdzięczny dla dyrygenta. A w pracy z J. Wilkomirskim, absolutnie nie dało się tego odczuć. Wręcz przeciwnie! Maestro bawił się muzyką, dzięki pełnemu zrozumieniu artystycznemu mogłam pozwolić sobie na coraz

to więcej ekspresji, stosować coraz to wymyślniejsze niuanse. A Maestro Wiłkomirski? Doskonale odbierał wszelkie moje szaleństwa muzyczne. Dialog odbywał się nie tylko na płaszczyźnie muzycznej, ale również w mimice twarzy, w ciągłym uśmiechu, w porozumieniu wzrokowym. Niezapomniane przeżycie! W dodatku Maestro potrafił zarazić tą atmosferą muzyków orkiestry, ale także publiczność nie pozostawała obojętna wobec naszej współpracy. Cóż za osobowość! Jak Go nie kochać!

Maestro tryskał energią na scenie i poza nią. Emanował radością życia!

Przy okazji owego pierwszego naszego spotkania, pamiętam jak bardzo zaimponowała mi kondycja fizyczna Dyrektora Filharmonii. Wszyscy artyści występujący na deskach Filharmonii Sudeckiej pamiętają zapewne charakterystyczne schody na scenie prowadzące z samej góry na właściwy poziom estrady. Ja ze skrzypcami i smyczkiem, w długiej sukni, ale wciąż z pokolenia nazywanego „młodym”, nie mogłam nadążyć za Mistrzem, który dosłownie zbiegał, frunął po tychże schodach, jakby nie chciał zajmować czasu orkiestrze i publiczności swoją osobą... Myślę, że każdy, kto zetknął się kiedykolwiek z Maestro pamięta dobrze Jego niebywałą energię i to słynne zbieganie po schodach. A muszę zaznaczyć, że nie był już najmłodszy.

Ta właśnie cecha Józefa Wiłkomirskiego, mianowicie niespożyta energia i temperament, powodowała, iż nawet młodzi musieli dyscyplinować się przy Mistrzu, aby nadążyć za Jego tempem. Tempem życia, umysłu, muzyki, inteligencji... Trzeba było dotrzymać Mu kroku, dosłownie i w przenośni.

Osobiście, na scenie z Dyrektorem, czułam się tak bardzo wolna i swobodna, jakkolwiek to brzmi. Żadne tempo nie stanowiło dla Niego problemu. Piękne, liryczne, tkliwe i żarliwe frazy, tam, gdzie aż się o to prosiło, mogłam bezgranicznie rozciągać, na gorąco wychodziły pewne niuanse, które były wynikiem chwili. Magia występu na żywo. To niezwykle uczucie, kiedy reakcja dyrygenta jest natychmiastowa. A z drugiej strony, w utworach wirtuozowskich, pozwalał mi grać czasem w tempach na granicy ryzyka. Jakaż to była adrenalina a jednocześnie bez skrępowania mogliśmy z Maestro okazywać przed publicznością i naszymi Muzykami jak wielką radość sprawia nam ta szaleńcza energia. Emocje i żar, które współdzieliłam z Nim na scenie są niezapomniane i jednocześnie stanowią dla mnie inspirację w mojej dalszej drodze artystycznej do tego, aby pamiętać, że muzyka służy przede wszystkim odczuwaniu silnych przeżyć przez publiczność. Ale żeby tak się stało to artysta wykonawca najpierw musi włożyć ogromne serce.

Maestro, z tego co zauważyłam, traktował muzyków swojej orkiestry, pracowników biura, absolutnie wszystkich z tak wielką przyjaźnią, równo-

ścią, empatią - stworzył atmosferę, której nigdzie więcej nie doświadczyłam. Był duszą tego miejsca.

I przy okazji, warto wspomnieć o ówczesnym miejscu spotkań towarzyskich po próbach a zwłaszcza po koncertach, czyli bufet znajdujący się w tym samym budynku. Maestro polecił mi skosztować specialite de la maison, czyli słynne naleśniki ze szpinakiem. Ach! To takie prywatne wspomnienie... A jakże charakterystyczne... Wszystko jak w rodzinie. Do dnia dzisiejszego przyjeżdżając do Filharmonii Sudeckiej czuję, iż mam tam przyjaciół.

Natomiast jedyną stresującą dla mnie sytuacją była godzina, na którą Maestro wyznaczał mi próbę. Na samym początku była to godzina 9.00. Dla mnie - horror! Być już rozegraną i w pełni przygotowaną na spotkanie z Orkiestrą i Mistrzem tak wcześnie rano... Muszę przyznać, że chyba Józio Wiłkomirski miał pewną słabość do mnie, gdyż łamał swoją zasadę i udawało mi się wyprosić Go, abym na próbie pojawiała się później, już po przerwie. Uśmiecham się na to wspomnienie moich ciągłych negocjacji...

Również warto wspomnieć o tym, iż skromność, mądrość, dobroć Maestro powodowały, iż wszyscy, z którymi miałam okazję rozmawiać osobiście, nie wyrażali się inaczej o swoim Dyrektorze jak tylko „Józio”. I dla mnie też Dyrektor na zawsze pozostanie Józkiem. Maestro Józkiem. Józio posiadał ciepłą osobowość, przyjazną wszystkim od najmniejszego do największego. Po tym między innymi można poznać człowieka wyjątkowego. Skromny, lubiący słuchać ludzi a jednocześnie niezwykle gawędziarz... Jego anegdoty i żarty to temat na osobną książkę... Przy czym imponował niewiarygodnym umysłem. Jego wiedza na temat świata, czy też w ostatnich latach fascynacja naukami ścisłymi stanowią element niedoścignętego Autorytetu...

A dlaczego Józia nazywam moim Mistrzem? Otóż to właśnie On, na początku mojej artystycznej drogi, absolutnie niezauważalnie kierował moimi zawodowymi wyborami. Po pierwszym wspólnym występie powiedział: „Kasiu, naucz się Chaczaturiana. To Koncert dla Ciebie. Zagramy go na następnym zakończeniu sezonu.” Posiadałam już wtedy dosyć obszerny repertuar, ale nie do końca jeszcze czułam z czym czuje się silniej związana. I tak odebrałam jedną z ważniejszych lekcji i sugestii. Poddałam się Jego wizji mojego dalszego rozwoju artystycznego, grając z nim koncert 23 maja 2003 roku, wsłuchiwałam się i wypatrywałam w gestach Mistrza wszystkie sugestie, które dotyczyły muzyki rosyjskiego kompozytora... Za każdym razem wykonując to dzieło mam w pamięci Józia dyrygującego Koncert Chaczaturiana. Zwłaszcza drugą część. Temat wykonywany przez altówki... Zawsze Józio i Jego interpretacja wraca do mojego serca, gdziekolwiek i z kimkolwiek, to dzieło.

Jestem przekonana, że decyzja, iż na koncercie, który okazał się ostatnim w Jego życiu znowu wykonaliśmy wspólnie Koncert Chaczaturiana nie była przypadkowa. Miałam wątpliwości czy na pewno mogę zgodzić się na propozycję ponownego zagrania tego koncertu w Wałbrzychu, pomimo wielu lat, jakie upłynęły od pamiętnego mojego pierwszego wykonania. Przecież to nie wypada... Ale Józio jakby wyczuwał, że to już się nie powtórzy... Że jeszcze ten jeden raz... Nie był już w najlepszej formie fizycznej i zdrowotnej, ale starał się niczego nie dać po sobie poznać. Jego zmęczenie zauważalne było jedynie podczas przerwy, ale dzielnie, jak zawsze czuwała nad Nim Jego Żona Małgorzata - prawdziwy Anioł Stróż. Na koncercie, tym ostatnim w jego życiu, jak zawsze tryskał energią. Często wracam wspomnieniami do owego dnia, zwłaszcza, że koncert zarejestrowany jest i dostępny na kanale YouTube. Uśmiech Dyrygenta, zwrócenie się całkowicie w kierunku solisty, młodość, radość w gestach. Niezapomniany kontakt muzyczny, ale też wzrokowy, gdzie oczy aż emanowały radością.

Kolejna z ważnych lekcji odbyła się przez telefon. Wystąpiłam z recitalem w Szczawnie -Zdroju na Festiwalu im. Henryka Wieniawskiego, na który przybyła Pani Małgorzata Wiłkomirska. Po występie rozmawiałam z Józiem przez telefon. I ponownie, usłyszałam mnóstwo sugestii dotyczących mojej dalszej drogi zawodowej. Do Jego cennych rad udzielonych mi wówczas stosuję się do dzisiaj. Nie będę zdradzać szczegółów, czego one dotyczyły, ale Mistrz podzielił się ze mną swym doświadczeniem i obserwacją, które to okazały się na tyle ważne, że zapewne nie byłabym dziś w tym miejscu, w którym jestem.

Z Maestro Wiłkomirskim zagraliśmy kilka niezapomnianych koncertów i zawsze występowaliśmy z pięknym repertuarem, który On wybierał, m.in. z dziełami Czajkowskiego, Wieniawskiego, Sarasatego... Nie zdążyliśmy wspólnie przeżyć na scenie obu Koncertów skrzypcowych Szymanowskiego, które to też szybko włączyłam do swojego repertuaru za Jego sugestią... Przeważnie miałam zaszczyt inaugurować lub kończyć sezon koncertowy Filharmonii Sudeckiej.

Jestem niezwykle szczęśliwą, iż dane mi było spotkać na swej drodze Maestro Józefa Wiłkomirskiego.

Józiu, Mistrzu, Dyrektorze, wierzę, że jeszcze coś, kiedyś, gdzieś razem zagramy! Przecież to nie mógł być ostatni wspólny występ...

Jest styczeń 1978 roku. Ja pracuję od trzech lat w Filharmonii Lubelskiej, a moja małżonka niedawno obroniła pracę magisterską na Prawie UMCS. Otrzymuję list od mojej przyjaciółki Urszuli Perwejnisk, że w Wałbrzychu powstaje Filharmonia, jest możliwość szybkiego otrzymania mieszkania i poszukuje się muzyków. Wprawdzie w Lublinie miałem 2-pokojowe służbowe mieszkanie ze wspólną kuchnią, to perspektywa na spółdzielcze była dość odległa. Zdecydowałem się na przesłuchanie i pojechałem po kryjomu do Wałbrzycha. Przy przesłuchaniu był Pan Józef Wiłkomirski i ówczesny jego bliski współpracownik, łączący muzyków dawnej Wałbrzyskiej Symfonicznej Orkiestry Społecznej z nowymi muzykami, nasz 1 Wiolonczelista Aleksander Czajkowski. Warte jest tu przypomnienie, że wszystkich muzyków tej dawnej orkiestry Dyrektor Wiłkomirski honorował jako pełnoprawnych muzyków nowej Filharmonii. Zostałem przyjęty od zaraz, lecz dyrekcja lubelska nie chciała się zgodzić na moje odejście wcześniej niż na koniec sezonu. Wtedy właśnie po raz pierwszy odczułem determinację Józefa Wiłkomirskiego, który powiedział: - „możesz porzucić pracę bez żadnych konsekwencji”. Na tamte rygory prawne było to niesamowite. Tak więc zrobiłem i w końcu lutego, po oddaniu kluczy do służbowego mieszkania, byliśmy już w Wałbrzychu. W myśl umowy rozpocząłem pracę 1 marca, a klucze do mieszkania M-4 odebrałem już w Dniu Kobiet, tj. 8-go.

Tuż po mnie, Dyrektor Wiłkomirski zatrudnił jako drugiego dyrygenta młodego utalentowanego Zdzisława Siadlaka z Krakowa wraz z jego małżonką, skrzypaczką Majką. Rozpoczęły się więc próby. Wszystko miało miejsce w pomieszczeniach Szkoły Muzycznej przy ulicy Moniuszki, jako że Dyrektor Wiłkomirski był jednocześnie jej dyrektorem. Koncepcja bardzo przemyślna i bywało, że Dyrektor Wiłkomirski, jako dyrektor Filharmonii wysyłał pismo do siebie jako do dyrektora szkoły i odwrotnie. W związku z tym, że byłem jednym z pierwszych muzyków, którzy przyjechali z innych filharmonii, byłem dość blisko przy dalszej organizacji orkiestry. Rozpoczął się więc napływ młodych muzyków, czasami jeszcze studentów. Atmosfera była wspaniała. Rzeczowość, pewność siebie i niezwykła inteligencja Dyrektora imponowała wszystkim. Dyrekcja zorganizowała nawet karnety na przepyszne obiady w pobliskiej i niezapomnianej Szkole Gospodarczej.

Przeglądałem ostatnio pięknie wydaną książeczkę z okazji 30-lecia Filharmonii i nie ma w niej ani słowa na temat tego, kto udzielał wsparcia finanso-

wego i organizacyjnego Dyrektorowi Wiłkomirskiemu i jego wielkiemu projektowi dla Wałbrzycha.

Wszyscy nabrali „wody w usta”, aby nie wychylić się politycznie. Prawda jest taka, że Dyrektor Wiłkomirski potrafił pozyskać niewiarygodne wręcz wsparcie ówczesnej władzy politycznej i wojewódzkiej. Miało to też swoje inne konsekwencje, co do których przekonywał wielu z nas. Chodziło mianowicie o założenie komórki partyjnej. Potrzeba było do tego kilkoro chętnych i dyrektorowi udało się mnie przekonać. Nie mieliśmy żalu do tych, którzy odmówili, ale na pochód 1-majowy, i to nie z pobudek ideologicznych, poszła prawie cała orkiestra, łącznie z naszymi wielkimi autorytetami muzycznymi w osobach naszych pozyskanych koncertmistrzów z Wrocławia.

Na uwagę zasługuje entuzjastyczny stosunek byłych muzyków pół zawodowej orkiestry do nas „nowych” i całego projektu. Prawie od zaraz byliśmy na „ty” z naszymi dawnymi nauczycielami ze Średniej Szkoły Muzycznej i wszystkimi innymi przybyłymi, a od nas starszymi wiekiem muzykami i muzyczkami.

Po dostosowaniu do potrzeb orkiestry dawnego kina Polonia, rozpoczął z nami próby sam Maestro Wiłkomirski. W tym momencie jest właśnie czas na opisanie pracy naszego Szefa z orkiestrą. Zaczynało się od wyjaśniania tego, jaki był zamysł kompozytora i co chce z tym zrobić dyrygent. Miało to formę opowieści, a nie wykładu. Można powiedzieć, że w ten sposób prawie bez naszej świadomości stawał się naszym nauczycielem rozumienia muzyki. Jego świetny warsztat dyrygencki pomagał nam przenosić to na nasze wykonawstwo. Z perspektywy szesnastu lat mojej pracy z różnymi dyrygentami wiem o czym mówię. Jest jeszcze jeden aspekt pracy Maestra z naszą młodą orkiestrą. Każdy mógł zabrać głos o coś pytając, nawet na temat niekoniecznie związany z próbą. Nadużywał tego bardzo często młody, sympatyczny i chyba przez wszystkich lubiany, nasz pierwszy kontrabasista.

Dwa koncerty w Czechosłowacji były naszą próbą generalną przed oficjalną Wałbrzyską Inauguracją.

Następny etap rozwoju orkiestry to pozyskanie wspomnianych przeze mnie dwóch koncertmistrzów z Wrocławia. Jacek Niwelt pierwszy koncertmistrz i Jacek Graca koncertmistrz drugich skrzypiec, wywołali swoim przybyciem, nie tylko wśród muzyków, wielki entuzjazm. Ich szarmanckie witania się z Paniami w Biurze, wywoływały niekiedy rumieńce na ich twarzach. Nie maniery jednak świadczyły o ich oddziaływaniu na orkiestrę, lecz wielka kompetencja muzyczna. Przy ich wielkim udziale, poziom artystyczny orkiestry wzrastał z tygodnia na tydzień. Byli w swoim „fachu” bezkonkurencyjni, a przy tym wielce koleżeńscy i skromni. Prawie nikogo więc nie dziwiło, że po

kilku latach dostali od Dyrektora Wiłkomirskiego zezwolenie na wyjazd za granicę. Wielu innych muzyków takie zezwolenia później otrzymywało i było to zasługą naszego Dyrektora. Był nawet przypadek naszego kolegi skrzypka o „niemieckich korzeniach”, za którego powrót Dyrektor przed odpowiednimi władzami gwarantował. Takie to były przecież czasy!

Równocześnie trwała wielka ekspansja umuzykalniania szkół i przedszkoli. Z inicjatywy Dyrektora Wiłkomirskiego otrzymaliśmy dwa autobusy i dwa mikrobusy. Autobusy przywoziły dzieci do Filharmonii na koncerty, a „Nyski” jeździły z małymi składami muzyków do innych szkół w tak zwanym „terenieniu”. W ten właśnie sposób rozwinęło się pokolenie wałbrzyskich melomanów. Przejęcie obsługi Festiwalu - Wieniawskiego w Szczawnie-Zdroju, Chopinowskiego w Dusznikach i Moniuszkowskiego w Kudowie, pokazało siłę naszej dominacji w regionie. Taki był też cel Dyrektora Wiłkomirskiego. Nie udało się natomiast utrzymanie koncertów kościelnych w wałbrzyskim kościele Aniołów Stróżów, zatytułowanych „Tryptyk Wałbrzyski”, nie z naszej zresztą winy. Tak długo, jak posiadaliśmy autobusy, regularnie koncertowaliśmy w wielu miastach naszego regionu. Pamiętam dobrze, jak w czasach niedoboru wielu artykułów spożywczych, gdy często przyjeżdżaliśmy do Ząbkowic Śląskich, czekał na nas mały „sklepik” ze znanej fabryki pysznych słodczy.

Następnym ważnym krokiem dla naszego Szefa były starania w niezwykle skorumpowanym „Pagarcie”, (jedyną w tamtych czasach państwową instytucją do tego uprawnioną) o możliwość wyjazdu na „zachodnie” tournée. Naszym atutem było to, że posiadaliśmy własny transport no i niezwykle uzdolnionego, dzisiaj powiedziałoby się, Managera, Józefa Wiłkomirskiego. Tak więc z noclegami w Pradze i Bratysławie dotarliśmy do włoskiej granicy, gdzie celnicy entuzjastycznie nas powitali słowami: „Papa Wojtyła, Boniek!” Tournée włoskie aż po Sycylię włącznie, a z Włoch jednym ciągiem do francuskiego Poitiers, miasta gdzie sądzona była Joanna d’Arc i w tej sali sądu rozpakowywaliśmy nasze instrumenty. Tournée było bardzo męczące, trwało trzy tygodnie i z tzw. diet, każdy zarobił ok. 350 dolarów. Na dzisiejsze czasy śmieszna suma, ale wtedy był to duży „zastrzyk”, no i radość rodzin z prezentów. Pamiętam radość mojej córki, gdy otrzymała ode mnie Walkmana.

Nawiązaliśmy współpracę z amatorskim (w znaczeniu niemieckim) chórem z Berlina Zachodniego, którego (despotyczny zresztą) dyrygent, przyjeżdżał do nas na próby, po których wyjeżdżaliśmy do Berlina Zachodniego i występowaliśmy z tymże chórem w sali Filharmonii Berlińskiej tzw. „Cyrku Karajana”. Jeśli chodzi o wyjazdy zagraniczne, to pamiętam jeszcze tylko bardzo udane obsługiwanie konkursu skrzypcowego w północno-wschodnich

Włoszech, przy granicy ze Słowenią, w pięknym mieście Gorizia. Pamiętam dobrze, jak dzień przed powrotem do Polski udało mi się „dogadać” w sklepie i kupić córce świetną płytę Dona Johnsona (wiadomo jak bardzo był wtedy popularny „Gliniarz z Miami Vice”).

Dyrektor Wiłkomirski wiedział o moich planach wyjazdu do Niemiec, moja żona była tam już od roku, więc tuż przed moim wyjazdem wystawił mi świadectwo pracy i opinię. W końcu października 1990 roku wyjechałem razem z dziećmi do Niemiec. Po dwóch tygodniach uzyskałem prawo do przesiedlenia i telefonicznie powiadomiłem Dyrektora Wiłkomirskiego, że wszystko dobrze się ułożyło i definitywnie nie wracam. W latach 1991 - 2015 (do przejścia na emeryturę) pracowałem jako nauczyciel muzyki i skrzypiec w Städt Musikschule i Apian Gymnasium w Ingolstadt.

Wspominam pracę z Mistrzem i Dyrektorem Wiłkomirskim jako coś, co „zdarza się w życiu tylko raz”.

Józefa Wilkomirskiego, wybitnego muzyka, dyrygenta, twórcę Filharmonii Sudeckiej w Wałbrzychu osobiście poznałem w 1990 r. Było to w sali witrażowej ratusza miejskiego w Wałbrzychu po wyborach samorządowych. Pierwszych niezależnych po zmianie ustroju w Polsce. Ja zostałem radnym z ramienia Komitetu Obywatelskiego, On z ugrupowania przeciwnego. Na sali obrad zasiadaliśmy w odległych miejscach i poza wiedzą kim jest każdy z nas, nic nas nie łączyło.

Kiedyś zmieniono ustawienie mebli na sali obrad i całkiem przypadkowo usiedliśmy obok siebie. Początkowo nasze sąsiedztwo zaczęło się od przywitania i wymiany kurtuazji. Z biegiem czasu, jak to sąsiedzi, zaczęliśmy wymieniać zdania na różne tematy. Był chętny do dyskusji. Wspólnych tematów zaczęło przybywać. Tym bardziej, że oficjalne dyskusje na sesjach najczęściej nic istotnego nie wносиły, mówcy po prostu chcieli zaistnieć.

Sesje trwały w nieskończoność. Wspomnę tylko, że jedna skończyła się o godzinie pierwszej trzydzieści w nocy, a zaczęła się o dziesiątej rano. Zgroza. Co było robić? Można było się nudzić albo, no właśnie... I tak się zaczęło. Najpierw od krótkich komentarzy na temat jałowych dyskusji, które nie kończyły się żadnymi wnioskami. Z biegiem czasu prowadziliśmy poważne dysputy. Tematyka była różnorodna. Maestro posiadał bardzo szeroką wiedzę w różnych dziedzinach. Snuł barwne opowieści o muzyce, muzykach i związanych z nimi anegdotach. Opowiadał o sobie i swojej rodzinie. O tym, jak pod kierunkiem ojca uczył się muzyki. O Powstaniu Warszawskim i postrzeleniu przez niemieckiego snajpera, o tworzeniu w Wałbrzychu, mieście górników, Filharmonii Sudeckiej itd. itp. Słuchało się tego z zapartym tchem, a jednocześnie podziwem dla jego doskonałej pamięci, no i zdolności oratorskich. Posiadał również olbrzymią wiedzę historyczną. To właśnie były tematy, które zajmowały nam najwięcej czasu. W większości poruszanych tematów historycznych mieliśmy zbliżone opinie, aczkolwiek zdarzały się różnice zdań. Wtedy zażarcie prezentowaliśmy sobie wzajemnie własne punkty widzenia, ale nigdy się nie pokłóciliśmy. Szanowaliśmy swoje opinie. Niestety, czasami w nasze dysputy wkraczał przewodniczący Rady Miasta i wtedy, przepraszając, musieliśmy przyjąć pozycje pilnie śledzących przebieg obrad. Dla uspokojenia ewentualnych wyborców dodam, iż nie miało to wpływu na merytoryczną stronę naszego udziału w sesji, bo ze stosownymi materiałami każdy z nas zapoznał się w domu i wiedział, jak powinien zagłosować.

Sądztwo odpowiadało nam na tyle, że mimo nadarzających się możliwości zmiany miejsca, nigdy do końca kadencji żaden z nas z nich nie skorzystał. Mało tego, nawiązała się między nami pewna zażyłość. Robiliśmy sobie nawet pewne psikusy, aby się pośmiać jeden z drugiego. Charakter tej zażyłości może oddać jeden z przykładów. Byłem wtedy wicewojewodą wałbrzyskim. Zaraz po rozpoczęciu sesji Maestro zaczął krytykować jakąś decyzję wojewody. Nie reagowałem. Wyraźnie chciał mnie sprowokować do dyskusji. Nie dałem się wciągnąć, czując jakiś podstęp. Wreszcie słyszę: -„to jest arogancja władzy”. Nie wiem czy to dotyczyło decyzji wojewody, czy mojego zachowania. Z kamiennym wyrazem twarzy jednak odpowiadam: -„a Pan jesteś cham”. Zesztywniał, zrobił się purpurowy. Widziałem, że nie spodziewał się po mnie takiej reakcji, a może złośliwości i zaraz wybuchnie. Kontynuuję więc: -„bo na koncertach nie dość, że machasz Pan łapami, to jeszcze do widowni odwracasz się tyłem”. W powietrzu zawisła Mu ręka w niedokończonym geście, w oczach najpierw spostrzegłem wyraz zaskoczenia, a po chwili rozbawienia. Zaczął się śmiać i powiedział, że w ten sposób w całej karierze nikt nie podsumował tak jego pracy. I to był cały Maestro. Do dziś pamiętam te Jego specyficznie roześmiane, przymrużone oczy i nieustający, również specyficzny śmiech.

W 1996 roku pełniłem funkcję prezydenta elekta Rotary Klubu „Świdnica-Wałbrzych”. Było to stowarzyszenie charytatywne, które skupiało wspaniałych ludzi w regionie, chcących nieść pomoc innym. Stowarzyszenie utrzymywało się ze składek członków, natomiast poszukiwało sposobów na zdobywanie pieniędzy na działalność charytatywną. Organizowaliśmy więc m.in. bale charytatywne, aukcje dzieł sztuki, pikniki. Kiedyś wpadłem na pomysł zorganizowania bożonarodzeniowego koncertu charytatywnego. Umówiłem się z Maestro na rozmowę. Przyjął mnie serdecznie i wysłuchał uważnie. Przy okazji spytałem czy orkiestra nie może zrobić tego zupełnie charytatywnie. Maestro zapalił się do propozycji zorganizowania koncertu, tym bardziej, że dochód z niego chcieliśmy przekazać na paczki świąteczne dla biednych dzieci. Jednak co do braku odpłatności dla muzyków stwierdził, iż jest to niemożliwe. Muzycy zarabiają bardzo mało, w granicach 50 - 70 zł za koncert. Byłoby to nieetyczne. Sam natomiast zadeklarował, iż opracuje repertuar, poprowadzi koncert i rzeknie się honorarium.

Dogadaliśmy się. Pierwszy bożonarodzeniowy koncert charytatywny odbył się w grudniu 1996 roku. Maestro poza dyrygowaniem, również nieodpłatnie prowadził konferansjerką i zinstrumentował kolędę. Jako że był to koncert dobroczynny, publiczność była bardzo zróżnicowana. Po prostu bilety rozprawdzaliśmy wśród członków rodzin, wśród znajomych, znajomych znajomych

i tak dalej. Sala była pełna. Widownia nie była wypełniona samymi miłośnikami muzyki. W miarę jednak trwania koncertu publiczność się rozgrzewała. Oklaski były coraz gorętsze. Po ostatnim utworze były tak owacyjne, że orkiestra musiała wykonać aż trzy bisy. Osiągnęliśmy wielki sukces. Artystyczny i finansowy. Starczyło na opłacenie kosztów i spory dochód na cele dobroczynne.

Od tej pory takie koncerty organizowaliśmy co roku. Stało się tradycją, że w grudniu w Wałbrzychu odbywa się charytatywny koncert bożonarodzeniowy. Z Maestro już w lipcu ustalaliśmy termin (zawsze któraś sobota przedświąteczna w grudniu) i Maestro przygotowywał repertuar oraz z orkiestrą Filharmonii Sudeckiej rozpoczynał próby. Spotykaliśmy się kilka razy w sprawach organizacyjnych i aby omówić repertuar. Z tym, że moja rola ograniczała się do bardzo ogólnych sugestii (przecież nie jestem muzykiem tylko fizykiem) typu pilnowania, by repertuar nie był zbyt ambitny, bo przecież jest to koncert charytatywny oraz aby koncert zawsze zaczynał się od kolędy. Maestro bardzo dobrze to rozumiał i tworzył porywające repertuary. Wkładał w nie całe serce, do tego każdy utwór okraszał opowieścią czy anegdotą. Były to wspaniałe, niepowtarzalne widowiska muzyczne, a sala zawsze trzeszczała w szwach. Pamiętam kiedyś na koncert spóźnił się kilka minut poseł ziemi wałbrzyskiej Jan Lityński, sala była, jak zwykle wypełniona po brzegi. Nie było wolnego miejsca, więc usiadł na schodach (kiedyś były na widowni) i dotrwał tak do końca koncertu. Z biegiem czasu nasze koncerty bożonarodzeniowe na stałe wpisały się w kulturalny krajobraz regionu. Liczni moi znajomi już od lata dopytывali się o termin następnego. W ten sposób bożonarodzeniowy koncert charytatywny stał się w regionie cyklicznym wydarzeniem kulturalnym odbywającym się nieprzerwanie przez ćwierć wieku (niestety ten cykl zakłóciła epidemia koronawirusa) i do tego bez udziału pieniędzy publicznych. Maestro dokładał wszelkich starań, aby każdy z nich był wydarzeniem artystycznym na najwyższym poziomie. I tak było. Kiedyś pamiętam zagrali Bolero Maurice Ravela. Tak doskonałego i tak dynamicznego wykonania nie słyszałem już nigdy potem. Innym razem, jako niespodziankę, sprowadził solistkę. Była to siostra Józefa, Wanda Wiłkomirska, skrzypaczka światowej sławy. No cóż tu dodać? Chyba tylko tyle, że po koncercie poszliśmy z panią Wandą Wiłkomirską i Józefem do pobliskiej restauracji na kolację, gdzie czas nam upływał na wysłuchiwanie wspaniałych opowieści obojga artystów.

Tak nasza współpraca trwała do 2005 roku, kiedy Maestro odszedł na emeryturę. Zmieniali się dyrektorzy, a nasze koncerty się odbywały się nieprzerwanie. Byliśmy za nie wdzięczni Józefowi. Jako rotarianie, a potem członkowie Stowarzyszenia Przedsiębiorców i Kupców Świdnickich zawsze prosiliśmy dy-

rekcje Filharmonii, aby to właśnie On prowadził nasze koncerty, jeśli możliwości organizacyjne i zdrowie na to pozwalały. I najczęściej tak było. Gdy zdrowie już nie pozwalało, to prowadził tylko konferansjerkę, oczywiście ze swoimi wspaniałymi anegdotami i przypowieściami. Umysł miał niesamowicie sprawny. Szczegóły organizacyjne natomiast ustalaliśmy u niego w domu. Ostatni nasz koncert poprowadził w 2018 roku, było to w pięknym, barokowym wnętrzu Teatru Zdrojowego w Szczawnie-Zdroju. W roku 2019 nie mógł, ale obiecał, że postara się poprowadzić jeszcze jeden, bo ma już opracowany repertuar...

Autorka filmów o Wandzie Wiłkomirskiej, Brema, Niemcy

Poznałam Józia (bo tak go nazywała jego siostra Wanda Wiłkomirska) w trakcie zdjęć do filmu dokumentalnego o Wandzie, pt. „Ja Wam to zagram”. Wtedy miałam okazję, by z nim porozmawiać. Wywiad, którego Józio nam udzielił trwał 3 godziny. Józio mówił o wspólnym dzieciństwie, wspólnym graniu z Wandą, ale najwięcej mówił o swoim własnym życiu. Opowiadał nam o niezwykle wydarzeniach ze swojego życia, o tym co przeżył i jak niesamowitych zdarzeń w nim doświadczył. Mówił tak pięknie i tak interesująco... słuchaliśmy go z zapartym tchem. Wtedy uświadomiłam sobie, jak niezwykle interesującą postacią jest Józio, jaką ważną rolę odegrał na rzecz upowszechniania muzyki klasycznej w Polsce. Już wtedy pomyślałam, że należałoby zrobić o nim film. Niestety, żadna stacja telewizyjna nie była zainteresowana przygotowanym przez nas materiałem.

Wanda bardzo kochała swojego brata, uważała go za niezwykle osobowość i wyjątkowego dyrygenta. Choć pod wieloma względami byli różni, to jednak w wielu kwestiach myśleli podobnie i zgadzali się ze sobą. Rzadko się spotykali, ale gdy już mieli taką okazję, to ich wspólne rozmowy przeciągały się godzinami. W rodzinie i wśród przyjaciół krążyły o nich legendy. Głównym tematem był świat muzyki, muzycy, polityka i Wandy studenci. Oboje bowiem należeli do pokolenia wybitnych muzyków, a ich muzyczne rodzeństwo, Kazimierz, Maria i Michał, również na trwałe zapisało się w historii muzycznej powojennej Polski.

Wanda zawsze twierdziła, że Józio miał więcej szczęścia w życiu osobistym, niż miała ona sama, ponieważ spotkał Małgosię, swoją przyszłą żonę...

Cieszę się, że oboje mieli jeszcze okazję spotkać się tuż przed śmiercią Wandy.

PRZEMYSŁAW KAJETANOWICZ

Nauczyciel akademicki

Józef Wiłkomirski i ja byliśmy spokrewnieni przez moją mamę Jadwigę z domu Wiłkomirską, ojciec Józefa i dziadek mojej mamy byli braćmi. Genealogicznie był więc Józef Wiłkomirski moim ciotecznym dziadkiem, jednak metrykalnie bliżej mu jest do mojego wujka, ponieważ urodził się w tym samym roku, co mój ojciec. Przez całe moje dzieciństwo był dla mnie „wujkiem Józiem”, aż pewnego dnia w moim dorosłym już życiu, zirytowany widząc tym „wujkiem”, kazał mi mówić sobie po imieniu i tak już zostało, i tak będę go również tutaj nazywał.

Był jednym z najbardziej niezwykłych ludzi, jakich dane mi było w życiu poznać. Każde nasze spotkanie było dla mnie tak niezwykłym doświadczeniem, jak niezwykły był Józio. Nie zamierzam tu używać przymiotników „wielki”, „wybitny”, „uznany” i podobnych. Żadne z tych górnolotnych określeń nie oddaje tego, co nazwałbym „istotą Józia”: tej przedziwnej i jedynej w swoim rodzaju kombinacji cech osobowości, powodującej, że z każdego spotkania z takim człowiekiem wychodzi się zadziwionym, zachwyconym i pełnym refleksji.

Aby oddać wszystko, co otrzymałem od Józia w sensie duchowym i intelektualnym, potrzebowałbym znacznie więcej miejsca niż mam tu do dyspozycji. Podzielię się więc zaledwie kilkoma refleksjami i faktami, które szczególnie zapadły mi w pamięć.

W dzieciństwie widziałem Józia może raz czy dwa. A w dorosłym życiu spotkaliśmy się pierwszy raz dopiero około 1985 roku, gdy prowadził utworzoną przez siebie od podstaw kilka lat wcześniej Filharmonię Sudecką. O wałbrzyskich filharmonikach było już wtedy całkiem głośno, przynajmniej we Wrocławiu, gdzie mieszkalem z własną już rodziną i gdzie pracowałem. Wybraliśmy się z żoną pewnej soboty do Wałbrzycha na koncert. Pojechałem do filharmonii przed południem w dniu koncertu, aby kupić bilety i przy okazji przedstawić się prowadzącemu poranną próbę Józiovi. Słuchałem próby przez zamknięte drzwi sali koncertowej i nie wierzyłem własnym uszom, tak grali... Zaraz po próbie zapytałem Józia: - „jak wujek to robi, że oni grają lepiej niż...” i tu wymienilem jedną z renomowanych polskich orkiestr. A Józio na to krótko: - „terrorem, młody człowieku, terrorem i mieszkaniem”. Znacznie później, czytając jego „Wspomnienia”, dowiedziałem się, jak organizując w Wałbrzychu Filharmonię Sudecką, Józio przekonał ówczesne władze miasta, że jeśli chcą mieć dobrych muzyków, to muszą im zapewnić mieszkania i stąd te mieszkania jednym tchem z terrorem wymienione. Znając Józia, podejrze-

wam, że doprowadził orkiestrę na mistrzowskie wyżyny może trochę i terrorem, ale przede wszystkim swoim profesjonalizmem muzycznym i umiejętnością przekonywania ludzi, że jeśli chce się coś robić naprawdę dobrze, to trzeba się przy tym namęczyć.

Długo nie umiałem sobie wytłumaczyć, dlaczego człowiek, którego widuję w końcu raz na kilka lat, tak na mnie odciska swoją osobowością. Ja się z Józiem naprawdę spotkałem może z dziesięć razy w życiu. A do dziś pamiętam każdą naszą rozmowę i do dziś pamiętam, jaką energię z tych rozmów wynosiłem. Potrafił rozmawiać o wszystkim, a gdy się go słuchało, to chciało się, żeby nigdy nie przestał mówić. Moje wyniesione z domu rodzinnego „melomaństwo” zawsze mnie pchało do rozmów na temat muzyki, a Józio mi się odwzajemniał zadawaniem pytań z zakresu matematyki i fizyki i powtarzał, że nauki ścisłe to jest dopiero prawdziwa mądrość. Jest coś takiego w muzykach i matematykach, że do siebie ciągną. Tak było chyba między Józiem a mną. Chłonałem jak gąbka każde jego słowo związane z muzyką i jej historią, a on cierpliwie znosił natarczywość, z jaką go wypytywałem o różne rzeczy. Miał dar mówienia powodujący, że rzeczy zapadały trwale w pamięć. To od niego usłyszałem o popularnym wśród dyrygentów powiedzeniu „dobry kompozytor to martwy kompozytor”, gdy relacjonował mi wściekłość Ravela, którego „Bolero” dopiero wtedy zostało przyjęte z entuzjazmem, gdy któryś słynny (nie pamiętam, który) dyrygent poprowadził je w tempie szybszym, niż to, które nakazywał sam kompozytor. To Józio powiedział mi kiedyś: - „pamiętaj, że cokolwiek piszesz, musisz pisać z myślą, że piszesz do kogoś. Jeśli piszesz do nikogo, to piszesz do szuflady”.

Wiele ciekawych rzeczy mi Józio powiedział, a poza tym wiele jeszcze ciekawszych rzeczy Józio napisał w swoich „Wspomnieniach”, które każdy powinien przeczytać, bo jego „Wspomnienia” pomagają zrozumieć, dlaczego Józio był taki, jaki był i dlaczego niczego się w życiu nie bał: nie bał się komuny, nie bał się „Solidarności”, nie bał się niczego. Czytałem Józiove „Wspomnienia” z wypiekami na twarzy, zwłaszcza w tej ich części, którą poświęcił swoim okupacyjnym „przygodom”. Jako osiemnastoletni chłopak poszedł Józio bić się w Powstaniu Warszawskim, był w tym powstaniu trzy ćwierci od śmierci, potem kolejne trzy ćwierci od śmierci w okresie popowstaniowej niewoli niemieckiej. Bez trudu zrozumiałem, dlaczego ten chłopak, a potem dorosły mężczyzna, niczego już się w życiu nie bał.

Wróć jednak do muzyki, bo to z nią mi się głównie Józio kojarzy i ze swoją niewyobrażalną o niej wiedzą. Dla wielu ludzi, nie wyłączając niektórych melomanów, rola dyrygenta w orkiestrze jest co najmniej podejrzana. Wyda-

je się, że muzycy i tak wiedzą, co i jak mają grać, a dyrygent im tylko wymachuje w powietrzu takt. Mnie samemu zabrakło trochę czasu i lektury, zanim zrozumiałem, że dyrygent tak naprawdę w pewnym sensie gra na wszystkich instrumentach orkiestry naraz. W przypadku Józia było to widać gołym okiem i słyszać gołym uchem. On dyrygował tak, jakby zwracał się do poszczególnych partii instrumentów i mówił do grających na nich muzyków: „to ja teraz poproszę tak pięknie i miękko”, albo „uwaga, teraz musicie porządnie wałnąć”. Odczucie było tym silniejsze, że Józio nie używał batuty. Dyrygował samymi dłońmi i tymi dłońmi jakby na migi rozmawiał z całą orkiestrą. Pamiętam wykonanie „Bolera” Ravela w Filharmonii Sudeckiej kilka lat temu. Nigdy wcześniej w życiu nie widziałem, żeby wiolonczelistki uśmiechały się, grając. Te dziewczyny ciągnęły smyczkami po strunach i jednocześnie uśmiechały radośnie od ucha do ucha, a wystarczyło zerknąć w tym momencie na Józia, by zobaczyć, że to on je tą radością muzykowania zaraża.

Byłem kiedyś na wspólnym koncercie Wandy Wiłkomirskiej i Józia w Filharmonii Wrocławskiej. Grali koncert skrzypcowy Berga. O niczym wtedy tak nie marzyłem, jak o tym, aby ten Berg wreszcie się skończył. Muzyka współczesna była dla mnie (i nadal jest) zupełnie niedostępna. Poszedłem w przerwie do pokoju artystów, aby przywitać się z Wandzią i Józiem. Zastałem Józia w euforii. Chodził od ściany do ściany i powtarzał, jak piękny jest ten koncert Berga. Pomyślałem wtedy: oto jak różny jest odbiór rzeczy przez mistrza i przez profana... Wiele lat później przyznałem się Józiowi do tamtego mojego doświadczenia i dodałem, że jestem kompletnie nieosłuchany ze współczesnymi kompozytorami. Józio się ucieszył, że ja to rozumiem i dodał: tak, tak, trzeba pozwolić sobie na długie obcowanie ze skomplikowanym materiałem dźwiękowym, aby zacząć słyszeć piękno muzyki. To jest trochę tak, jak z twoją matematyką, powiedział wtedy Józio, nie polubisz jej, jeśli się najpierw nie namęczysz, rozwiązując trudne zadania. I tym mnie Józio powalił na kolana, jak to się teraz idiomatycznie mówi, bo rzeczywiście tak w matematyce jest, tylko nikt tego nie wie, kto sam tego nie doświadczył. A Józio doskonale umiał to sobie wyobrazić.

Na tym zakończę moje wspomnienie o Józiu. Kiedy przystępowałem do pisania tego tekstu, pomyślałem sobie, że spróbuję pisać tak, żeby Józio się ze mnie nie śmiał, gdyby miał to czytać. Mam nadzieję, że mi się to zadanie powiodło.

Kiedy spotkałem Maestro Józefa Wiłkomirskiego? Było to 20 lat temu. Po studiach i pierwszych krokach w mojej karierze dyrygenckiej w Wlk. Brytanii skontaktowałem się z Ministerstwem Kultury, skąd dostałem listę polskich filharmonii, do których wysłałem oferty koncertowe. Obok Filharmonii Kaliskiej i Filharmonii Poznańskiej to właśnie Filharmonia Sudecka Dyrektora Wiłkomirskiego była jedną z pierwszych instytucji w Polsce, które odpowiedziały zaproszeniem.

Byłem niezwykle ciekawy spotkania z nim. Wiele o nim słyszałem od artystów, którzy znali go jeszcze z czasów, kiedy dyrektował w filharmonii w moim rodzinnym Szczecinie. Wśród nich była moja mentorka, którą była legendarna śpiewaczka szczecińskiej operetki Maria Popławska. Chwalili jego niezwykle talent muzyczny, wyjątkową erudycję, a przede wszystkim ogromną energię i witalność. We wspomnieniach tamtych osób podziw wzbudzał także jego cięty język, którego nie szczędził tym, którzy według niego nie odnosili się z należyłą determinacją i zaangażowaniem do zawodu muzyka.

Zawsze niezwykle życzliwy dla młodego dyrygenta, pełen cierpliwych uwag, był tym dyrektorem, który regularnie zapraszał mnie do Wałbrzycha, dając szansę na rozwój artystyczny. W tej niby niewielkiej instytucji zachęcał mnie do grania ambitnych repertuarów, takich jak Symfonia „Wielka” Schuberta czy V Symfonia Brucknera. Czuć było, że za jego dyrekcji Filharmonia Sudecka była instytucją z głębokim etosem ambitnej pracy artystycznej. Także po odejściu z filharmonii niemal regularnie przychodził na moje koncerty i zawsze dzielił się życzliwymi uwagami i wspierał mądrym słowem.

Jednocześnie jego erudycja była niezwykle inspiracją i wyzwaniem. Jednak nie było to coś, czym starał się przyćmić innych, ale czym niezwykle chętnie i z ogromną dozą dowcipu potrafił się dzielić. Pamiętam z jakim zaskoczeniem zauważyłem kiedyś na drzwiach małej kawiarni w jednej z bocznych uliczek Szczawna-Zdroju informację o spotkaniu z Dyrektorem Wiłkomirskim. Widać było, że wszelkie spotkania z ludźmi były dla niego zawsze ważne. Był jedną z tych osób, które (jak to kiedyś określił jeden z naszych przedwojennych pisarzy) chętnie „roznosił pyłki inteligencji”.

Szkoda tych rozmów, brak tych szans na dalsze spotkania. Był zdecydowanie jednym z tych ludzi, którzy byli osnową tego pięknego i wyjątkowego na skalę światową dziedzictwa, jakim jest polska kultura muzyczna. Oby znalazł wielu godnych następców.

Jestem przekonany, że jak sięgam pamięcią, słynący z dużego poczucia humoru Maestro Józef Wiłkomirski, wybaczy tę osobistą dygresję o dyrygentach, jaka mi towarzyszy od kilkunastu lat, kiedy zasiadam wygodnie w sali koncertowej filharmonii, czy opery: pół wieku upłynęło, zanim Hyrum W. Smith, wybitny amerykański specjalista w zakresie gospodarowania czasem, uświadomił mi, kim jest dyrygent, niezależnie od wielu innych niezwykłych funkcji, mających doniosłe znaczenie w naszym życiu? Otóż w jednej ze swoich publikacji zadaje pytanie: „Kim są ci, którzy posiadają niemalże absolutny wpływ na to, co się dzieje w ich środowisku zawodowym?” I nieco dalej pisze „Niektórzy znawcy twierdzą, że są nimi dyrygenci orkiestr symfonicznych. Jakie są nasze wyobrażenia o dyrygencie? To (...) ktoś kto wstaje, podnosi batutę - i co się dzieje? Orkiestra składająca się ze stu dziesięciu muzyków reaguje jak jeden mąż na jego znak, bacznie śledząc każdy ruch pałeczki. Cóż za wspaniała kontrola! (...) Jaka grupa zawodowa charakteryzuje się najniższą przeciętną długością życia w Ameryce? Prawdopodobnie członkowie orkiestry, którzy są ciągle poddawani działaniu czynników stresujących, bo nieustannie starają się sprostać wymaganiom faceta z pałeczką.”¹

Pan Józef Wiłkomirski został dyrektorem naczelnym i artystycznym Filharmonii Szczecińskiej im. Mieczysława Karłowicza w 1957 r. W owym czasie uczęszczałem do Szkoły Podstawowej Nr 23 w Dąbiu i jak pamiętam nastąpiło duże ożywienie w życiu muzycznym Szczecina. Lekcje muzyki w szkole ze znakomicie przygotowanymi do zawodu muzykami, udział uczniów w koncertach organizowanych dla szkół, w chórach szkolnych, spotkania z muzykami zapraszanymi do szkół, prowadzonymi przez redaktora Polskiego Radia Leona Jarzębowskiego, często z udziałem także Józefa Wiłkomirskiego i Waleriana Pawłowskiego, pozostawiły w naszej pamięci trwałe i wzruszające ślady.

Koniec lat 50 ubiegłego stulecia, był to także czas narodzin szczecińskiej operetki. Uczniowie wyższych klas szkół podstawowych i licealnych, zwłaszcza śpiewający w szkolnych chórach (a miałem takie szczęście), na bieżąco byli zorientowani, co dzieje się w życiu muzycznym Szczecina, któremu ton nadawali wspomniani dyrygenci i muzycy. Obcowanie z muzyką klasyczną uwarunkowało nas na tyle, że z pewnym dystansem odnosiliśmy się do nowych nurtów

1 Hyrum W. Smith; *10 naturalnych praw - Jak kierować życiem i gospodarować czasem by osiągnąć sukces*, Wydawnictwo Studio EMKA, Warszawa 1998, s. 35-36.

w muzyce owego czasu, jak rock and roll, big beat, czy zespołów The Beatles, The Rolling Stones...

Oczywiście, w latach 60. ubiegłego wieku, niezależnie od czynnego uczestnictwa w próbach chóru LO 3 w Dąbiu, czy Politechniki Szczecińskiej, nie mogłem zaniedbać okazji obcowania z filharmonią czy operetką przy Potulickiej. Były to kolejne okazje do podziwiania kunsztu maestro Józefa Wiłkomirskiego czy Waleriana Pawłowskiego. Niekiedy udało się wziąć udział w wyjeździe do Opery Poznańskiej.

Kiedy jesienią 1983 r. Pani Maria Popławska, solistka szczecińskiej operetki, stała się niemal członkiem naszej rodziny, kontakty z Panem Józefem Wiłkomirskim, kierującym założoną przez siebie w 1978 r. Filharmonią Wałbrzyską (obecnie Sudecką), ożywiły się. Miało to miejsce szczególnie przy okazji składania życzeń urodzinowych (15 maja). Obok wymiany spostrzeżeń na tematy bieżące, głównie ze świata muzyki, można było powrócić do szczecińskich wspomnień. Za wielki zaszczyt uważaliśmy kilkakrotne zaproszenie naszego syna Pawła do dyrygowania orkiestrą Filharmonii Sudeckiej. Koncerty syna w Wałbrzychu pogłębiły nasze ciepłe kontakty z maestro Józefem Wiłkomirskim.

Nadszedł historyczny dzień 10 września 2006 roku. Wielki koncert symfoniczny „Witamy w Domu”, na fundamentach przedwojennej Filharmonii Szczecińskiej (Konzerthaus) przy ul. Małopolskiej, z udziałem Pani Elżbiety Pendereckiej, maestro Józefa Wiłkomirskiego oraz wybitnych postaci szczecińskiego życia muzycznego i nie tylko. Koncert ten i wzruszające spotkanie miłośników muzyki, stały się najlepszą okazją do podziękowania, za co my szczecinianie, jesteśmy wdzięczni Józefowi Wiłkomirskiemu, szczególnie za lata 1957 - 1971, kiedy z entuzjazmem, i jak wspomniałem dużym poczuciem humoru, odkrywał przed nami świat klasycznej muzyki. Myślę, że zdjęcia załączone w dalszej części wydawnictwa mówią same za siebie.

GRAŻYNA LELITO - DĄBROWA i EWA CICHON

Prowadzące Cafe Galerię Ogród Sztuki w Szczawnie-Zdroju

Maestro Józef Wiłkomirski rozpoczął współpracę z nami - z Ogrodem Sztuki w czerwcu 2009 roku. Pretekstem do wystąpienia w naszej galerii była promocja - jeszcze nie wydanej wówczas Jego autobiografii „Lata 1926-2006. Wspomnienia nie tylko muzyczne”. Osobą wprowadzającą była Elżbieta Maria Kowska, której bardzo spodobało się to miejsce.

Maestro ze swadą opowiadał o swoim życiu prywatnym, zawodowym, o podróżach nie tylko muzycznych, o spotkaniach ze sławnymi ludźmi. Wtedy już wytworzyła się potrzeba słuchania naszego Mentora i zaczęliśmy się spotykać regularnie - w co drugą sobotę. Tematami spotkań stały się bieżące wydarzenia, które nasz Maestro komentował w sposób ciekawy, interesujący, dowcipny. Krąg słuchaczy ciągle się rozrastał. Wytworzyła się już całkiem pokaźna grupa „fanów”, która nie zawodziła nawet w najgorszą pogodę. Nie raz podczas przejazdu na nasze spotkanie - burza, ulewa, albo śnieżycy - Maestro zastanawiał się czy ktoś w ogóle przyjdzie? I zawsze był komplet, i zawsze oklaski na wejście...

Spotkania odbywały się przy kawie, herbacie i obowiązkowo musiał być sernik z czekoladą, który - na cześć naszego Gościa - został nazwany „sernikiem wiłkomirskim”.

Tematami sobotnich spotkań stały się cykle naukowe. Był cykl „Religie świata” - od zarania dziejów do dzisiejszych trudnych problemów związanych z religią. Był cykl wykładów „Dzieje Myśli Europejskiej - historia filozofii” od starożytności, poprzez średniowiecze aż do filozofii nowożytnej. Ostatnio Maestro dzielił się z nami wiedzą o „Historii literatury - od Gilgamesza...”. Nawet wakacyjne miesiące wykorzystywaliśmy na spotkania z Nim. Była to Letnia Akademia Towarzystwa Ogrodowego „Lato”.

A dodatkowo, od 2014 roku, Pan Józef Wiłkomirski pisał felietony do „Dwutygodniczka”. Gazetka wymyślona przez Niego zawierała ów felieton na nader aktualny temat oraz „Małą antologię chamstwa i głupoty”. Przytaczał tam cytaty z opiniotwórczych gazet i czasopism, które niejednokrotnie wołały o pomstę do nieba. Zakres wiedzy i stan umysłu naszego Maestro zdawał się być nieograniczony.

Ostatnie spotkanie odbyło się w sobotę, 29 lutego 2020 roku. Potem z powodu pandemii zawiesiliśmy nasze spotkania. Maestro jednak nie próżnował - dostaliśmy jeszcze 14 felietonów - ostatni opatrzony został datą 13 maja. Przez ponad 10 lat stałej współpracy spotkaliśmy się ponad 250 razy, wydaliśmy 120 numerów „Dwutygodniczka”.

Trudno nam użyć tutaj słowa: „był”... Był to wspaniały i światły człowiek, który chętnie dzielił się swoją wiedzą i doświadczeniem z innymi. Jesteśmy Mu za to bardzo wdzięczni. Pamięć i tęsknota pozostanie z nami na długo. Czym wypełnimy te soboty???

Kim dla mnie był Józef Wiłkomirski? Józiem, bo tak o nim mówili Kazio, czyli mój dziadek, reszta członków tria Wiłkomirskich, czyli Marysia i Wandzia, jego mama, czyli dla mnie Babcia Dora oraz reszta krewnych i znajomych. Ale nie był to jakiś zwykły, nic nieznaczący Józio. Dla mnie był KIMŚ ZUPEŁNIE WYJĄTKOWYM! Dlaczego? Bo już za pierwszym razem zrobił na mnie piorunujące wrażenie.

Byłam wtedy niedużą dziewczynką, a w tamtych czasach dzieci (oraz ryby) głosu nie miały i nikogo nie obchodziło, co myślą czy czują. Dziecko miało być posłuszne i bez szemrania wykonywać to, co się mu każe. Miało nie przerywać, gdy mówią dorośli, no i - naturalnie - w odpowiednim momencie posługiwać się słowami: „proszę”, „dziękuję” i „przepraszam”. Ja - niestety - miałam w rodzinie opinię złego dziecka. Między innymi z powodu mojej ruchliwości. Do dziś pamiętam, jak różni moi krewni, zetknąwszy się ze mną po raz pierwszy, jękliliwie na mój widok wygłaszali jak mantrę niezrozumiałą dla mnie eksklamację: „Boże, jakie to żywe dziecko!”. Żywe! Bo - oczywiście - w tamtych czasach preferowane były „martwe” dzieci, czyli ciche i „pokornego serca”.

I oto pewnego dnia w moim życiu pojawił się JÓZIO! Mieszkalam wtedy po rozwodzie rodziców we Wrocławiu, u dziadka Kazia i babci Marysi. Józio przyjechał dyrygować jakimś koncertem, więc zaproszono go na obiad do domu dziadków na Piramowicza. Nagle, przy deserze Józio zwrócił się do mnie z pytaniem: „Jak myślisz, czy muzyka to jeden dźwięk?”. Mało nie spadłam z krzeselka. Nikt przecież jeszcze nigdy nie spytał mnie o to, co myślę! Co myślę ja, złe i niemogące usiedzieć na miejscu dziecko. A na dodatek pytanie było fascynujące, bo nigdy jeszcze nie zastanawiałam się nad tak ważnym zagadnieniem, jak to, czy muzyka to jeden dźwięk. A tu nagle DOROSŁY JÓZIO rozpoczął ze mną dialog. Prawdziwy dialog, zachęcający mnie do myślenia, do zadawania pytań - nie tylko innym, ale przede wszystkim sobie.

Znałam na pamięć wierszyk Brzechwy o Stasiu Pytalskim zadręczającym wszystkich pytaniami, wiedziałam więc, że ciekawość to pierwszy stopień do piekła. Tymczasem DOROSŁY JÓZIO swoim pytaniem dał mi prawo do myślenia. Na dodatek był naprawdę ciekaw, co na temat zjawiska, jakim jest muzyka, może sądzić dziesięciolatka, której muzyka towarzyszyła niemalże od urodzenia.

Nagle zostałam pasowana na homo sapiens! Otrzymałam prawo do zastanawiania się, do filozofowania! To wtedy, podczas pierwszej naszej rozmowy, uświadomiłam sobie, że jeden dźwięk i muzyka to nie to samo. Uświadomiłam

sobie, choć w tamtych czasach dzieci nie były na żaden temat uświadamiane ani w domu, ani w szkole.

W moim dalszym życiu nieczęsto spotykałam się z Józiem. Zawsze jednak były to prawdziwe spotkania i prawdziwe rozmowy. I zawsze, szczególnie zanim osiągnęłam to, co nazywa się dorosłością, zaczynał nasze rozmowy od sakramentalnego i nobilitującego mnie „Jak myślisz?”

Poruszał ze mną najróżniejsze tematy: czym jest rytm i jak powstaje, czy dzień i noc oraz pory tworzą rytm, czy tworzy go bicie serca; komu i do czego potrzebny jest dyrygent, czy dyrygowanie to po prostu machanie batutą; czemu struna drga i co poza tym może też drgać; co to znaczy, że coś mi w duszy gra i co w tej duszy gra, czy to taka sama gra, jak w warcaby lub na fortepianie; co i z czym rezonuje w muzyce, naturze, ludziach oraz pojedynczym człowieku...

To On uświadomił mi, że dojrzeć znaczy przede wszystkim dostrzec, a nie jedynie dorosnąć. To On sprawił, że z gapy zaczęłam stawać się obserwatorem, badaczem. Że zaczęłam pomału pojmować, iż ruch myśli to nie to samo, co nadmierna, więc nieakceptowana w tamtych czasach ruchliwość.

Od dziecka dużo czytałam, ale Józio zawsze podpowiadał mi, co by warto jeszcze przeczytać. Przy tym mądrość Józia polegała na tym, że były to teksty na mój wymiar intelektualny, a nie takie, które wywołałyby u mnie kompleksy z powodu mojej kompletnej głupoty lub - co gorsza - ignorancji.

W czasach mojej młodości ignorancja była na porządku dziennym, bo komunistyczny system edukacji nie przewidywał prawdziwego uczenia i rozwijania młodzieży. To dlatego nie słyszałam wtedy o takich osobach jak choćby Kartezjusz czy Sokrates. Nie mogłam więc zdać sobie sprawy z tego, iż jestem dlatego, że myślę, iż trzeba być prawdziwym mędrce, aby publicznie oświadczyć: „Wiem, że nic nie wiem”.

To Józio uzmysłowił mi, że bycie ciekawym nie zaprowadzi mnie do piekła. To On uświadomił mi, że bez pytań nie rozwinęłyby się ani nauka, ani sztuka, dlatego od wieków zadają je nie tylko dzieci, ale także naukowcy oraz artyści. To za Jego sprawą pojęłam, że szukanie odpowiedzi na najdziwniejsze i najbardziej zaskakujące pytania wymaga wyobraźni i myślenia, bo zmusza do spojrzenia na różne zjawiska z zupełnie nietypowej strony. To On spowodował, dokonywane są odkrycia, powstają wynalazki, a także wszystkie oryginalne dzieła sztuki oraz nieznane dotąd koncepcje.

Od niedawna, za sprawą Olgi Tokarczuk, wiem, że Józio uprawiał coś, co nosi nazwę ognozja, czyli łączenie wszystkiego z wszystkim. Bo On wiedział, że wszystko i wszyscy z wszystkim i wszystkimi mogą dialogować, rezonować,

współgrać, współbrzmieć, korespondować. Na tym polega musica mundana. Dzięki Józiowi wiem, że nie ma harmonii bez dysharmonii.

Po Jego śmierci w nekrologu napisałam, że umarł, a nie że odszedł, bo Józio lubił nazywać rzeczy po imieniu, zamiast owijać je bawełną. No więc napisałam, że umarł, a potem dodałam: Mistrz zadawania pytań i odpowiadania na nie, Mistrz dialogu ze światem, a zwłaszcza z muzyką. Na końcu stwierdziłam, że był moim Sokratesem, bo ON dla mnie niewątpliwie nim był. Był też moim PRZEWODNIKIEM DUCHOWYM, takim jak Wergiliusz prowadzący Dantego przez piekło. Był jednym i drugim dlatego, iż dał mi nie tylko prawo do zadawania pytań sobie i innym, a więc prawo do myślenia, ale też pokazał mi, jak to myślenie można uruchomić bez obawy o nadmierną i nieakceptowaną ruchliwość.

**Dyrektor Teatru Dramatycznego im. Jerzego Szaniawskiego
w Wałbrzychu**

Właściwie można by nie wymieniać nazwiska, a i tak wszyscy w Wałbrzychu wiedzieliby, że chodzi o jednego człowieka - Józefa Wiłkomirskiego. Tylko Jemu nieoficjalnie - choć w sposób oczywisty - należał się ten tytuł, wyrażający zarówno uznanie dla kunsztu muzycznego dyrygenta i kompozytora, ale też dla Jego osoby. Tylko Jemu. I tak zostało - Maestro.

Z łatwością mogłabym wyliczyć okoliczności naszych spotkań. O sprawach publicznych, szczególnie dotyczących kultury, rozprawiał często, ze swadą, wiedzą i przekonaniem. Swej prywatności strzegł bardzo i niewiele o Nim wiedziałam. Więcej pod koniec życia o Jego zdrowiu i samopoczuciu, a to za sprawą rozmów z Małgosią - Żoną. Czy w tej sytuacji mogę, powinnam, skreślać tych kilka zdań wspomnienia? Mimo to...

Specjalne działania artystyczne, zawodowe raczej nas nie łączyły, a jednak - gdy już pracując w teatrze spotykałam Go w foyer i na spektaklach, czułam szczególną więź, pomieszaną z dumą, że mnie lubi, liczy się z opinią, pyta o zdanie... Ot, taka moja próżność. Przez lata obserwowałam Maestro, dokonania, ludzi, których skupiał, zarażał entuzjazmem, przekonywał do Filharmonii. W górniczym Wałbrzychu? Dla kogo? - pytali sceptycy. A jednak udało się. Wałbrzyskanie chodzili na koncerty, tzw. „szkolniaki” edukacyjne biły rekordy frekwencyjne i „raziły” liczbą wykonanych. Niewiele spraw tak bardzo udawało się w mieście. Z niewielu mogliśmy być dumni: na afiszach nazwiska dyrygentów i solistów z całego świata, filharmonicy na wojażach w kraju i za granicą. Pełen sukces. Potem, wiele lat później, trzymałam kciuki, kiedy formowała się fundacja dla ratowania Filharmonii, zagrożonej z powodu niedoboru środków finansowych. I znowu, za sprawą Maestro udało się! Podziwialiśmy Jego skuteczność i umiejętności przekonywania, dowodzenia, stawiania na swoim. Oznaczał drogę, wywierał piętno, był jak drogowskaz. Podziwiałam Jego pewność siebie, wyrażanych opinii, wypowiedzianych słów. Miał wyrobiony gust artystyczny i wyrazisty charakter. Wyróżniały tak bardzo, że nawet nie obcując na co dzień, wiedziało się, że z tym zdaniem trzeba się liczyć. Także wtedy, gdy wdawał się w komentowanie polityki lub - co tu owijać w bawełnę - dość kąśliwie oceniał lub polemicznie recenzował czyjeś dokonania albo wybory. Nawiasem mówiąc, myślałam czasem, jak arcyciekawe i inspirujące mogły być Jego rozmowy w domu, np. Ojca z Córką. Pewnie nigdy się tego nie dowiem...

Chyba się Go trochę bałam... na początku na pewno. Bezpośrednich spotkań było niedużo, później widywaliśmy się na naradach instytucji „marszałkowskich”, jeszcze później siadaliśmy obok i gawędziliśmy, będąc członkami Rady Kultury przy Prezydencie Miasta. Częstsze okazje, jak wspomniałam, dotyczyły sytuacji, kiedy Maestro z Żoną bywali na premierach od kiedy podjęłam się zarządzania „Szaniawskim”. Pierwsza dekada nowego tysiąclecia była dla Teatru w Wałbrzychu czasem prawdziwej „burzy i naporu”. I prawdziwego wysypu, tzw. młodych zdolniejszych, jak się wtedy o nich mówiło. Przyszli, by zanegować, zburzyć, zdemolować zastane, naznaczyć swoją siłą, przedostać do czołówki. W mieście bez perspektyw, jak u progu nowego tysiąclecia określało się Wałbrzych, Teatr był na fali, chwalony przez recenzentów i znawców sztuki, bywalców w kraju i za granicą, świecił własnym światłem: wystawiał prapremiery, stosował niekonwencjonalne rozwiązania, pokazywał na nowo klasykę, zatrudniał młodych twórców, sprzyjał artystycznym debiutom, nie bał się spektakli trudniejszych, tzw. podwyższonego ryzyka. Reprezentował polską scenę w Paryżu, Moskwie, Wiedniu, Berlinie, Seulu, wymieniany wśród czołowych scen w Polsce, zapraszany był na najważniejsze festiwale, zdobywał nagrody. Wałbrzyszanie też przychodzili i albo z dumą, albo z rozdrażnieniem towarzyszyli swej scenie, czasem jej nie rozumiejąc. Także Maestro - sędzę - nie był chyba gotów na taki „eksperyment”, zwłaszcza w obrębie klasyki, którą młodzi reinterpretowali po swojemu, co niektórzy nazywali „przepisywaniem”. Nigdy jednak nie usłyszałam od Niego krytyki, nie mówiąc już o odrzuceniu tej swoistej rebelii. Raczej niespotykany dystans lub niepokojące milczenie. Wiedziałam, że gust Maestro jest chyba gdzieś indziej, ale bardzo doceniał wartość nieskrępowanej wypowiedzi, pracy twórczej, siłę wyobraźni artystycznej. Ze spokojem przyglądał się nam, traktując pewnie ten czas, jak chorobę wieku dziecięcego, którą trzeba przejść, zanim ugruntuje się prawdziwe zdrowie i odporność na zagrożenia. Zanim znajdzie się właściwy balans wobec wyzwań, mody, trendów, tendencji. Znajdował za to okazje, by cierpliwie, z uporem i po swojemu przekonywać mnie do swego. Na przykład, że koniecznie musimy wystawić „Krakowiaków i Górali” Bogusławskiego i to jak najbardziej tradycyjnie, klasycznie, „po literach”. Omawialiśmy wielokrotnie ten pomysł, np. na okoliczność nowej Filharmonii, która miałaby powstać w miejscu dawnego GDK, a jeszcze wcześniej - gdy sądziliśmy, że przeniesie się tam Teatr Dramatyczny i wtedy na inaugurację, razem z Filharmonią Sudecką, zagramy ten właśnie tytuł - ojca polskiego teatru. Do dziś jestem wdzięczna Maestro za to, że nie musiałam w arsenale rozmaitych argumentów szukać tych, które miałyby przekonać Go do naszych zaczepnych rozstrzygnięć artystycznych. Doceniał tę

autonomię, niezależność opinii, przedzieranie się w przez labirynty wyobraźni młodych wichrzycieli. Podkreślał głęboki szacunek dla pracy, traktując wysiłek artystyczny, obojętnie jak bardzo nowatorski czy tradycyjny, jako misję, obowiązek wobec polskiej kultury i swoisty wyraz postawy patriotycznej.

Teraz więc kilka słów właśnie o pracy. I o sprawach, które wcale nie były przedmiotem naszych rozmów - o polityce. Czytałam z upodobaniem felietony i komentarze Maestro, które lokował w lokalnych gazetach. Miał potrzebę dzielenia się swoimi przemyśleniami, naznaczania swojego świata. Czasem się z Nim zgadzałam, czasem nie. Jednak jeden tekst, sprzed trzech lat, dokładnie z 12 marca 2018 roku, pozostanie w mej pamięci na zawsze. Wyrażał dobitnie i mój punkt widzenia. Ba, oparłam go w ramkę i stoi na biurku w widocznym miejscu. Felieton nosił tytuł „Mój protest” i dotyczył wypowiedzi prezydenta Rzeczypospolitej, który stwierdzał, że „(...) nasz kraj zawdzięcza wolność i suwerenność walce i krwi „Żołnierzy Niezłomnych”. Wyraźnie zirytowany Maestro komentuje: „Byłem oburzony tym oświadczeniem i wyrażam mój protest w jedyny sposób, jaki jest w moim wieku i stanie zdrowia możliwy. (...) Ja i - jak przypuszczam - wielu moich rodaków niczego nie zawdzięczamy tzw. żołnierzom wyklętym. Powtarzam: niczego! Tych kilkuset ludzi, ukrywających się w różnych trudno dostępnych miejscach, zaiste dla naszej wolności, suwerenności, pracy, nauki, słowem - życia, dosłownie nic nie zrobiło. To my, miliony Polaków, własnymi rękami (...) odbudowywaliśmy miasta i wsie, szosy i ulice, domy i kościoły, szkoły i fabryki. To my tworzyliśmy naukę, kulturę, przemysł, służbę zdrowia, transport. Moim zdaniem to tylko dzięki naszym wieloletnim wysiłkom i wyrzeczeniom mamy - by użyć słów pana Andrzeja Dudy - wolność i suwerenność”. W dalszej części Maestro wyraża sprzeciw wobec podobnych prób fałszowania historii, a w końcówce tekstu, snując osobiste wspomnienia i wymieniając koleje losu pisze: „(...) miałem konkretne i intratne propozycje pracy w Niemczech i Szwecji. Odmawiałem, twierdząc, że moim obowiązkiem jest pracować w kraju, za który walczyłem i przelewałem krew. Podobnie traktowałem koncerty za granicą. Kiedy dyrygowałem w Paryżu, Hawanie, Bejrucie, Jerozolimie czy Pradze - miałem świadomość, że robię to dla polskiej kultury muzycznej. Czyli dalej pełnię służbę.(...) teraz mając ponad dziewięćdziesiąt lat i nie mogąc już dyrygować, nadal staram się być społecznie użyteczny. Jeżeli żyję w Polsce wolnej i suwerennej, zawdzięczam to przede wszystkim swej walce i ciężkiej pracy (...)”.

Od prawie roku Maestro nie ma już z nami. Czas zaciera kontury, pamięć zamazuje słowa, świat podąża dalej, tracą na wyrazistości różne sprawy, a jednak niezmiennie dziękuję losowi, że nasze drogi kiedyś się skrzyżowały, że miałam zaszczyt poznać rzeczywistego MAESTRO.

Propozycja powołania Filharmonii w Wałbrzychu zrodziła się wraz z powołaniem nowego województwa wałbrzyskiego, a głównym jej inicjatorem był Jerzy Grochmalicki, I sekretarz KW PZPR. Zwrócono się w tej sprawie o opinię i pomoc do Ministerstwa Kultury, które to zaproponowało, by zaprosić do współpracy w tej dziedzinie Pana Józefa Wiłkomirskiego. No, i zaczęło się!

Pan Józef Wiłkomirski zapoznał się z aktualną sytuacją działającej wówczas Wałbrzyskiej Orkiestry Symfonicznej, prowadzonej przez Wałbrzyskie Towarzystwo Muzyczne i postawił swoje warunki. Były one ambitne i niewyobrażalnie trudne do spełnienia. Najważniejsze jednak w tym przedsięwzięciu było to, że obie strony chciały osiągnąć główny cel - powołanie do życia Filharmonii Wałbrzyskiej.

Pan Józef Wiłkomirski był najważniejszym, niezastąpionym kreatorem wszystkich wydarzeń, jakie wokół powołania Filharmonii miały miejsce. Przede wszystkim przygotował szczegółowy plan utworzenia siedemdziesięcioosobowej Orkiestry Symfonicznej. Wiązało się to również z utworzeniem różnych zespołów i działu zajmujących się upowszechnianiem muzyki, szczególnie audycjami szkolnymi.

W Wałbrzychu było znaczne grono melomanów, którzy uczestniczyli w koncertach Wałbrzyskiej Orkiestry Symfonicznej oraz w znanych Festiwalach odbywających się w województwie wałbrzyskim - Wieniawskiego w Szczawnie-Zdroju, Moniuszkowskiego w Kudowie-Zdroju i Chopinowskiego w Dusznikach-Zdroju. Jednak pomysł, by poprzez audycje szkolne pozyskiwać nowych, przygotowanych do odbioru muzyki poważnej słuchaczy okazał się przysłowiowym strzałem w dziesiątkę, co pokazały w kolejnych latach komplety słuchaczy w sali koncertowej Filharmonii.

Pozostałe warunki postawione przez Pana Wiłkomirskiego takie jak: udostępnienie sali koncertowej z zapleczem, mieszkania dla pozyskiwanych muzyków czy zakup instrumentów, wymagały ogromnych starań. Te problemy wziął na swoje barki Wojewoda Wałbrzyski Antoni Trembulak, wspierali go dyrektor Wydziału Kultury Urzędu Wojewódzkiego Stanisław Kawczak, I sekretarz Komitetu Miejskiego Jerzy Karykowski, prezydent Wałbrzycha Władysław Pruchnicki oraz sekretarz „resortowy” Komitetu Wojewódzkiego, którym ja byłam. Nie było łatwo, ale Pan Józef Wiłkomirski był nieugięty, zdeterminowany, a zespół, który się tego podjął - operatywny.

Najtrudniej było przekonać niektórych pracowników Ministerstwa Kultury w Warszawie, a największe wątpliwości zgłaszali znani i opiniotwórczy kry-

tycy muzyczni, którym wręcz niewyobrażalne wydawało się to, że w mieście stu czterdziestotysięcznym mogła powstać i funkcjonować Filharmonia.

A jednak powiodło się! Filharmonia powstała dzięki ogromnemu zaangażowaniu Pana Józefa Wiłkomirskiemu i miejscowych działaczy. Pan Józef Wiłkomirski, dzięki chyba wrodzonemu talentowi przekonywania do swoich zamierzeń, pozyskał młodych, zdolnych, utalentowanych muzyków i rozpoczął z nimi pracę.

Koncert inauguracyjny wypadł rewelacyjnie. Przyjęto go entuzjastycznie, nie szczędzono pochwał. To był wielki dzień dla Wałbrzycha. Mnie największą satysfakcję sprawiły gratulacje kilku bardzo ważnych krytyków muzycznych, którzy wcześniej nie kryli sceptycyzmu, a także przedstawiciele Ministerstwa Kultury.

Pan Józef Wiłkomirski zadbał, by orkiestra się rozwijała i koncertowała w wielu miejscowościach na Dolnym Śląsku, w Polsce i za granicą. Wielokrotnie orkiestra wyjeżdżała do na koncerty do Hradec Kralove w Czechach, a także do innych czeskich miast. Była na tournée w Tule w Związku Radzieckim, gdzie swoimi występami robiła furorę. Sale koncertowe były wypełnione słuchaczami, a prestiżowy koncert Orkiestra Symfoniczna zagrała w posiadłości Lwa Tołstoja na Jasnej Polanie, gdzie grywają tylko wybitne orkiestry. Piękny i niezapomniany koncert Orkiestra naszej Filharmonii zagrała w Paryżu, w Kościele Św. Magdaleny, bardzo ciepło przyjęty przez melomanów francuskich. Takich sukcesów było wiele. Nie o wszystkich da się napisać.

Pragnę podkreślić, że oprócz troski o rozwój zawodowy młodych muzyków, Pan Józef Wiłkomirski troszczył się i o ich warunki życiowe. Wiem ile mu zawdzięczają.

Nieoceniony jest też wpływ Pana Józefa Wiłkomirskiego na edukację muzyczną społeczeństwa wałbrzyskiego. Z ogromnym wyczuciem, w przystępny sposób tworzył repertuar, przygotowując i w ten sposób młodzież i dorosłą publiczność do odbioru muzyki. Ten jego wysiłek procentuje do dziś.

Miałam też to szczęście, by poznać Pana Józefa Wiłkomirskiego prywatnie. Na Podzamczu mieliśmy tzw. działki pracownicze obok siebie. Tam Pan Józef Wiłkomirski się relaksował, opiekował swoją ukochaną córeczką Wiosną, spędzał czas z ukochaną żoną Małgorzatą. Podziwialiśmy jego bardzo troskliwe zajmowanie się rodziną, ale także my, „sąsiedzi działkowi”, docenialiśmy prywatne rozmowy o sprawach codziennych.

Wiele razy skorzystałam z jego rad, często w okresach trudnych dodawał mi otuchy i na zawsze pozostanie w mojej wdzięcznej pamięci jako wybitny muzyk, intelektualista, a przy tym mądry, życzliwy człowiek.

**Organizator pracy artystycznej
w Filharmonii Sudeckiej
(1984 - 2012)**

Pana Józefa Wiłkomirskiego poznałam w 1978 roku, kiedy pracowałam w Wydziale Kultury Urzędu Wojewódzkiego w Wałbrzychu. Już 1 czerwca 1979 roku podjęłam pracę w Filharmonii Wałbrzyskiej. Wtedy nie przypuszczałam, że moja praca z Panem Józefem Wiłkomirskim potrwa aż 27 lat, z moim Dyrektorem. Nie tylko moim. Dyrektor potrafił zorganizować zespół ludzi, którzy chcieli dobrze pracować. Stworzył na początek dużą Orkiestrę, która nie miała swojej siedziby, ale jak wiemy, pierwszy koncert odbył się w Hradec Kralove, partnerskim mieście Wałbrzycha. Potem oficjalna Inauguracja - 24 listopada 1978. Nie będę pisała o początkach, blaskach i cieniach Filharmonii, które były niejednokrotnie opisywane w różnych publikacjach.

Inicjatywy Pana Dyrektora były różnorodne. Był świetnym pomysłodawcą i organizatorem. My, wtedy młodzi ludzie, uczyliśmy się dopiero, pewnie w trochę wolnym tempie. Ale powoli, powoli udawało się sprostać zadaniom.

Działalność rozwijała się, ponieważ były wtedy pieniądze na kulturę. I tak najważniejsze koncerty symfoniczne odbywały się co tydzień, a nieco później były powtarzane w soboty dla dzieci i młodzieży ze Szkoły Muzycznej, oczywiście z dyrygentem i solistami. Dzieci odświętnie ubrane w białe bluzeczki. Jaki to był radosny widok. Jednocześnie organizowane były koncerty solistyczno-kameralne, na ogół wyjazdowe. Czasami odbywały się recitale, ale wydaje mi się, że ta forma nie bardzo się przyjęła wśród publiczności.

Najbardziej ulubioną formą Pana Dyrektora (tak sędzę) były audycje szkolne i przedszkolne. Małe zespoły, 3 - 4 osoby wyjeżdżały na nie wczesnym porankiem do szkół i przedszkoli do miast i miasteczek Dolnego Śląska. Dziennie po 5, 6 koncertów. Zawsze były osoby prowadzące, przeważnie panie Małgorzata Wiłkomirska i Bogusława Kawalec, które przedstawiały skrupulatnie dobrane tematy, bardzo przemyślane. Chodziło o to, by docierać z muzyką do dzieci, które nie miały szans przyjechać do Filharmonii. I tak, mówiąc w wielkim skrócie, dotarliśmy do jeszcze jednej formy - szkolnych koncertów symfonicznych z udziałem całej Orkiestry. Mieliśmy wtedy 2 autobusy, które dowoziły dzieci z wałbrzyskich i okolicznych szkół. Korzystaliśmy również z autobusów MPK.

Był przeznaczony 1 tydzień w miesiącu dla prowadzenia tej formy. Trzeba było skoordynować 2 lub 3 szkoły, aby jak najwięcej dzieci mogło skorzystać i wysłuchać muzyki. Te koncerty lubił prowadzić Pan Dyrektor.

Należy też wspomnieć o udziale Orkiestry w różnych festiwalach muzycznych, m.in. w Szczawnie-Zdroju, Kudowie-Zdroju, Łądku-Zdroju, Dusznikach-Zdroju czy Silesia oraz o wyjazdach zagranicznych Orkiestry opisanych w folderach wydanych z okazji jubileuszy XX i XXV-lecia Filharmonii Sudeckiej.

Teraz o programach koncertowych. Każdy program zatwierdzał Pan Dyrektor. Oczywiście były rozmowy z dyrygentami i solistami na temat repertuaru na danym koncercie, następnie prowadzona była korespondencja potwierdzająca udział i warunki umowy. Jeśli chodzi o druk programów to bardzo ceniliśmy współpracę z Agencją Wydawniczo-Reklamową INFO-TEKST pp. Barbary i Wiesława Szuba oraz z Drukarnią POLDRUK w Wałbrzychu.

Wracając do zapraszanych artystów, pozwolę sobie na wymienienie kilku z nich: Wanda Wiłkomirska, Kazimierz Wiłkomirski, Karol Teusch, Wojciech Dzeduszycki, Edmund Kajdasz, Wojciech Siemion, Janusz Przybylski, Marek Pijarowski, Wojciech Czepiel, Lidia Grychtołówna, Halina Czerny-Stefańska, Paweł Kotla, Jan Miłosz Zarzycki, Zbigniew Wodecki, Alicja Majewska, Włodzimierz Korcz, Urszula Dudziak, Grupa Mo Carta, kompozytor z Japonii Akira Matsudaira, Atsuko Seta i wielu, wielu innych wspomniałych Artystów.

Jeden z dyrygentów przysłał list na moje ręce, z prośbą abym przekazała treść Panu Dyrektorowi i pozwolę sobie zacytować fragment tego listu: „Teraz po latach dwudziestu może z dumą spojrzeć wstecz czy chce, czy nie, już ma swoje zaszczytne miejsce w historii nie tylko za wspaniałe dokonania z Filharmonią Szczecińską i całokształt swej sztuki, lecz - moim zdaniem - za dzieło, którego jest Ojcem, Filharmonię Sudecką. Chylę czoła jeszcze raz...”

Jaki był Pan Józef Wiłkomirski?

Punktualny, pracowity, sumienny, wiarygodny, dżentelmen, lubiący humor. Przytoczę tu dla przykładu takie zdarzenie. Kiedyś kolega wpadł z impetem do działu księgowości mając wiertarkę w rękach i zaczął „strzelać”, nie spodziewając się, że będzie tam Dyrektor, jakże się zdziwił!. Ale Dyrektor spokojnie podniósł ręce do góry w geście poddania się. Wybuchł gromki śmiech. Takich różnych sytuacji można by przytoczyć wiele.

Ale chcę jeszcze wspomnieć o naszych Melomanach. Dyrektor bardzo sobie cenił Melomanów i rzeczywiście sprzedaż abonamentów była bardzo wysoka. Byli oni doceniani, honorowani na jubileuszowych koncertach. Dyrektor gdy nie dyrygował, to schodził do holu i rozmawiał, bawił, zapraszał.

W roku 1984 otrzymałam od pianistki japońskiej pani Sawako Mitomo bardzo ładny notes od razu z jej wpisem. Pomyślałam, że będzie się nadawał na autografy od solistów. I tak w 1993 r. na XV-lecie Filharmonii Sudeckiej wpisał się Pan Dyrektor: „To już prawie piętnaście lat wspólnej pracy. Kto z kim wytrzymał?”

Panie Dyrektorze, oboje wytrzymaliśmy 27 lat, dobre i ciekawe 27 lat.

**Dyrektor Powiatowej i Miejskiej Biblioteki Publicznej
„Biblioteki pod Atlantami” w Wałbrzychu**

Ilekoć wspominam Pana Józefa Wiłkomirskiego, mam przed oczami człowieka o silnym charakterze i otwartym umyśle. Humanistę o imponującej wiedzy, z charyzmą, wielkim talentem nie tylko muzycznym. I, o czym miałam okazję przekonać się osobiście, z ogromnym poczuciem humoru.

Moje pierwsze wspomnienia o Maestro, jeszcze jako licealistki, to lata 80-te XX w. Muzyczne lekcje organizowane wtedy i przez wiele kolejnych lat dla uczniów wałbrzyskich szkół to nietuzinkowy pomysł Józefa Wiłkomirskiego, piastującego w tym czasie stanowisko dyrektora Filharmonii Sudeckiej. Cykliczne koncerty muzyków w szkolnej auli I Liceum były zawsze wydarzeniami. W uczniowskim slangu mówiliśmy: „dzisiaj mamy Filharmonię”, a w tym dniu obowiązywał nas strój galowy. I nie chodziło tylko o to, że „upieczesz się” kolejna godzina matematyki czy łaciny. Obcowaliśmy z muzyką klasyczną na najwyższym poziomie, słuchaliśmy jej na żywo w wykonaniu najlepszych muzyków. Może wtedy nie byliśmy jeszcze do końca świadomi tego, jakie mamy szczęście mieszkać i uczyć się w mieście, gdzie w taki sposób dba się o kulturę muzyczną młodego pokolenia.

Dojeżdżając w tym czasie miejskim autobusem do szkoły z dzielnicy Podzamcze bez trudu rozpoznawałam animatora mojej muzycznej edukacji. Gorące i głośnie dyskusje, które Pan Józef Wiłkomirski prowadził ze współpasażerami (głównie dyrektorami innych wałbrzyskich instytucji kultury), już wtedy przykuwały moją uwagę. I nawet nie śmiałam przypuszczać, że nasze drogi skrzyżują się także w moim zawodowym życiu.

Kiedy zaczęłam kierować „Biblioteką pod Atlantami” przypadł mi zaszczyt współpracy z Maestro. Rozpoczęła się ona dość nieoczekiwanie, wręcz spontanicznie, i trwała wiele lat. Jego pasją była nie tylko muzyka, ale również literatura. Prywatna kolekcja książek Maestro była imponująca. Sam wielokrotnie powtarzał, że nie wyobraża sobie dnia bez czytania. Doceniał także rolę i znaczenie bibliotek, a wałbrzyska księżnica była mu szczególnie bliska. Wraz z ówczesnym dyrektorem Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej - Bogusławem Lamchem, walczył o jej obecną siedzibę, cenił i wspierał również osiągnięcia kolejnego szefa instytucji - Andrzeja Tywsa.

Po latach, będąc już na emeryturze, pozostał wielkim przyjacielem wałbrzyskiej biblioteki. Społecznie, z ogromnym zaangażowaniem spotykał się

z czytelnikami filii na Podzamczu. Pierwsze takie spotkanie, anonsovane jako „Rozmowy z Mistrzem”, zainicjowała ówczesna kierowniczką tejże placówki, pani Krystyna Pieczonka. Odbęło się ono w styczniu 2011 r., jeszcze w „starej” Filii nr 11. Pan Wiłkomirski okazał się bardzo otwartym na współpracę człowiekiem. Swoje gawędy o historii muzyki i literatury kontynuował w nowej siedzibie, obecnej Multimedialnej Filii Bibliotecnej. Czynił to regularnie, z ogromną konsekwencją, bez względu na stan zdrowia. Bez żadnego honorarium! I niemal do końca w pozycji stojącej. Często podkreślał, że nie potrafi inaczej mówić do słuchaczy po tylu latach pracy przy pulpicie dyrygenckim. Aż trudno uwierzyć, że Maestro spotkał się z naszymi czytelnikami blisko 150 razy! Użytkownicy biblioteki mieli okazję nie tylko słuchać Jego wykładów, ale także czytać Jego felietony w publikowanej przez Bibliotekę pod Atlantami „In-Formatce. Małym Fanzinie Bibliotecznym”, której był pomysłodawcą. Poruszał w nich najchętniej bieżące tematy społeczne i polityczne, żywo reagując na aktualne wydarzenia. Był odważny w swoich opiniach i za tę odwagę szanuję Go szczególnie. W latach 2014 - 2020 ukazało się ponad 100 numerów „In-Formatki”. 10 ostatnich felietonów Maestro, napisanych już w dobie pandemii, udostępnił na bibliotecznym Facebooku pod hasłem „Okiem Mistrza”.

Warunki nowoczesnej filii na Podzamczu pozwoliły także na realizację innego wyjątkowego pomysłu Pana Józefa Wiłkomirskiego i Jego żony Małgorzaty. To z ich inicjatywy w 2015 r. powstał, prawdopodobnie pierwszy w Polsce, biblioteczny chór dziecięcy „Wałbrzyskie Wróbelki”. Jego członkami były dzieci w wieku od 6 do 10 lat, które chciały w bibliotece uczyć się... śpiewać. Efekty tej muzycznej przygody, realizowanej cotygodniowo z wielkim sercem przez Panią Małgorzatę Wiłkomirską, prezentowane były szerszej publiczności podczas specjalnych wakacyjnych i świątecznych koncertów. „Wróbelkom” zwykle towarzyszyły „Grające Brzdące” - dzieci z Integracyjnego Przedszkola Samorządowego nr 17 w Wałbrzychu oraz dorośli z Chóru Millenium. Koncerty te zawsze wzbudzały wiele radości, nierzadko wzruszeń, a ogromna przestrzeń biblioteki wypełniała się zawsze po brzegi rodzicami, dziadkami oraz naszymi czytelnikami. Dyrygentem tej wyjątkowej „orkiestry” był oczywiście Maestro. Czas oraz bezinteresowne zaangażowanie Państwa Wiłkomirskich poświęcone użytkownikom wałbrzyskiej biblioteki są nie do przecenienia.

Warto jeszcze przywołać niecodzienne spotkanie, które także miało miejsce w podzamczańskiej bibliotece. 21 maja 2015 r. gościliśmy księdza Adama Bonieckiego, promującego swoje najnowsze książki. W bibliotecznych kuliarach doszło wtedy do spotkania Maestro z księdzem Adamem. Dialog dwóch wielkich autorytetów, pochodzących z różnych światów, reprezentujących

odmienne poglądy, był nie mniej fascynujący niż samo spotkanie autorskie. Tę rozmowę wspaniałych nestorów w naszej bibliotece noszę w pamięci jako jeden z ważniejszych momentów w moim życiu.

Niestety, nie będzie już więcej takich spotkań, felietonów czy koncertów w wałbrzyskiej księżnicy. Pozostają wspomnienia, które trzeba zachować i przekazać dalej. Osobiście rozpira mnie duma, że to właśnie „Biblioteka pod Atlantami” była miejscem, w którym Maestro zrealizował tyle wspaniałych pomysłów, odpoczywając (?) na zasłużonej emeryturze. A teraz Biblioteka - jako instytucja - ma zaszczyt być wydawcą publikacji wspomnieniowej o Mistrzu Wilkomirskim.

W październiku 2010 r. otrzymałam przesyłkę z Wałbrzycha, zawierającą dwa tomy "Wspomnień" (1926-2006) Józefa Wiłkomirskiego z dedykacją autora: „Lilianie na pamiątkę wielu, jakże wielu koncertów w kraju i za granicą”. W tamtych dniach zapisałam na kartce kalendarza: fascynująca lektura. Szczera, aż do bólu.

I oto ożyły wspomnienia, którymi pragnę podzielić się z Państwem w odpowiedzi na serdeczne zaproszenie Pani Małgorzaty Wiłkomirskiej.

Na początku lat sześćdziesiątych byłam zatrudniona w charakterze harfistki w orkiestrze Filharmonii Poznańskiej w zastępstwie chorej nauczycielki harfy. Będąc świeżo upieczoną absolwentką z dyplomem uczelni poznańskiej, rozsyłałam listy do orkiestr symfonicznych w kraju w poszukiwaniu stałego etatu. Listy pozostawały bez odpowiedzi.

W maju 1963 r. przyjechał do Poznania na gościnne występy w Filharmonii Józef Wiłkomirski, z legendarnej Rodziny Wiłkomirskich. Podczas rozmowy powiedział mi, że otrzymał mój list, ale, że w Jego orkiestrze nie ma wolnego miejsca harfy. Natomiast zaprosił mnie na koncert „Przy świecach i kawie” na Zamku Książąt Pomorskich, którego był prelegentem. Był to mój pierwszy recital publiczny, utrwalony zdjęciem w Kurierze Szczecińskim (10.06.1963). W programie znajdowały się utwory z repertuaru klasycznego - M.Tournier, A. Hasselmansa oraz Sonata na harfę w B-dur J.B. Krumpholtza.

Wkrótce potem zostałam ponownie zaproszona do Szczecina, tym razem na przesłuchanie do orkiestry przed tamtejszą Radą Artystyczną. Od września 1964 r. podjęłam pracę w orkiestrze Filharmonii Szczecińskiej, z którą to instytucją byłam związana przez następnych osiem lat.

Dla młodego, niedoświadczonego muzyka praca w orkiestrze bywa prawdziwym wyzwaniem, szczególnie dla harfistów, z racji, że harfa zaliczana jest na ogół do grupy instrumentów solowych. Dyrektor Wiłkomirski przerabiał ze mną wszystkie tzw. solówki. Trzeba mi było „trzymać” się rygorystycznie Jego wskazówek, a jeśli zagrałam coś nie tak, zganiał mnie niezadowolony. Bywał bardzo cierpliwy, ale i wymagający, także w stosunku do siebie, tak sądząc. Obdarzony wyjątkową dyscypliną wewnętrzną wymagał podobnych cech od innych. Każdy utwór, każdą partyturę studiował wręcz z pedanterią, starając się wgłębiać w subtelne intencje kompozytora. Będąc sam kompozytorem traktował to jako nieustanne ćwiczenie techniczne.

Podczas koncertów w klubach i świetlicach (dla „otrząskania” się z publicznością) grałam opracowania Józefa Wiłkomirskiego popularnych utwo-

rów oraz m.in. „Trzy Tańce” miniatury „Chorea Polonica” z Tabulatury lutniowej Wojciecha Długoraja i Sonatę B w trzech częściach (nr 27,17, 63) Domenico Cimarosa, przerobioną z jednoczęściowych utworów na klawesyn, a także „ulubioną” przez Józefa Wiłkomirskiego Sonatę op.13 nr 1 w B-dur Krumpholtza (którą, obok Sonaty op.15 nr.1, nagrałam archiwalnie dla Radia Austriackiego w Wiedniu).

Najczęściej prelegentem tych koncertów był Józef Wiłkomirski, który z pasją i błyskotliwym humorem opowiadał o „Listach heter greckich” czy „Instrumentach proroków, kapłanów i aniołów”. Posiadając szeroki wachlarz zainteresowań, od czasów antycznych do współczesności, Jego prelekcje w przystępnym gawędziarskim stylu cieszyły się wielką popularnością i były przyjmowane entuzjastycznie przez słuchaczy. Często nagabywany, tylko w pośpiechu kilkoma słowami krystalizował tezy filozoficzne, albo oceniał wartości estetyczne właśnie przeczytanej książki.

Pewnego dnia Dyrektor Wiłkomirski powiedział mi, że chce ze mnie „zrobić” solistkę, dodając, że jeżeli się zgodzę, to czeka mnie ogromnie ciężka praca.

Rzeczywiście, następne lata wypełnione ogromem pracy, wymagały nie tylko sporej dozy samodyscypliny, determinacji, a także kondycji fizycznej. Oprócz pracy w orkiestrze, ćwiczyłam pod „czujnym okiem” Dyrektora Wiłkomirskiego nowe utwory: Koncert na harfę kompozytora hiszpańskiego, José Blanco w transkrypcji Józefa Wiłkomirskiego na harfę solo i orkiestrę smyczkową (z oryginału na dwoje organów albo dwie harfy) z dopisaną własną kadencją oraz „Dwa Tańce” - Sakralny i Świecki Debussiego (przeznaczone pierwotnie na harfę chromatyczną, które wymagały nie tylko odpowiedniej koordynacji posługiwania się siedmioma pedałami, ale i wrodzonej muzykalności). A kiedy czasami zdawało się, że nie dam rady, nie podołam, Józef Wiłkomirski mawiał nie tyle na pocieszenie, co na stwierdzenie faktu, że wie, że rzucił mnie na głębokie wody, i że muszę wypłynąć. Podczas tych lat odbyliśmy wiele wspólnych koncertów z programem Blanco-Debussy w kraju i za granicą (w ówczesnym NRD, Czechosłowacji i Rumunii).

W międzyczasie, w lipcu 1969 r., Józef Wiłkomirski ukończył pracę nad Koncertem na harfę i orkiestrę kameralną, składającym się z czterech części z wielką kadencją na początku czwartej części. Utrzymany w technice opartej na skali dwunastodźwiękowej, kompozytor wykorzystał wszelkie dostępne zasady dodekafonii (w każdej części pojawia się nowa seria we wszystkich czterech zasadniczych postaciach), posługując się ponadto nowymi środkami wyrazowymi: w pierwszej części użyte zostały efekty szmerowe takie, jak tremolo na korpusie skrzypiec; w drugiej części zostały wykorzystane nowe sposoby

wydobycia dźwięku na harfie, jak glissando przy pomocy klucza do strojenia, klastery przez uderzenia dłonią o struny; trzecia część ograniczała się do wydobywania efektów dźwiękowych poprzez glissanda harfy, dla których instrumenty smyczkowe tworzyły tło dźwiękowe złożone wyłącznie z tremola, a w części końcowej dominowały zarówno w partii solowej, jak zespołowej, elementy popisowe, wirtuozowskie. Prawykonanie Koncertu na harfę pod dyрекcją Józefa Wiłkomirskiego odbyło się w Szczytnie i Olsztynie (12 - 13.06.1971), którego, nb., jestem jedyną wykonawczynią.

Od jesieni 1971 r. pracowałam z Józefem Wiłkomirskim nad kompozycją Ravela „Introdukcja i Allegro” na kwartet smyczkowy, flet i klarnet. Podczas koncertu przed publicznością szczecińską (nagrany „na żywo” przez rozgłośnień radiową) zaprezentowałam nową harfę amerykańską, Lyon&Healy (inwestycja Dyrektora Wiłkomirskiego dla Filharmonii). Na program złożyły się „Dwa Tańce” oraz „Introdukcja i Allegro” pod dyрекcją Waleriana Pawłowskiego (3 - 4. 03.1972). Drugim solistą był Andrzej Hiolski w „Czterech Sonetach Miłosnych” Tadeusza Bairda. (Przed laty, „Sonety” były pierwszym utworem, który grałam w Poznaniu pod dyрекcją Roberta Satanowskiego i niejako symbolicznie zamykały okres mojej pracy zawodowej w Polsce).

31 lipca 1972 r. rozwiązałam umowę o pracę w Szczecinie, a w sierpniu zostałam zaangażowana, z ramienia Polskiej Agencji Artystycznej „Pagart”, do Opery Cesarskiej Szacha Iranu w Teheranie, pod patronatem Cesarzowej Farah Diba. Wyposażona w nowe doświadczenia zawodowe z instytucją tą byłam związana przez następnych sześć lat. W latach 1973 - 1977 grałam specjalnie skomponowane przez Józefa Wiłkomirskiego utwory o tematyce perskiej, swoiste w stylu i poetyckim klimacie, jak np. „Siedem róż z Szyrazu” w/g Hafiza na harfę solo, Trzy miniatury perskie „Dziewczyna czyta poezję” na harfę, flet i perkusję, „Trzy pieśni Zaratusztry” (o demonie Angra Mainju, ogniu i zwycięstwie Ahury Mazda) na harfę, flet i perkusję oraz preludium na harfę, „Świt w lesie” i „Szkic’ 72. Poza tym w koncercie na Uniwersytecie Sztuk Pięknych i podczas recitalu w Telewizji Irańskiej wykonałam m.in. „Tańce” Chorea Polonica Długoraja i Sonatę Cimarosy.

Od ponad trzydziestu lat w Ameryce, kontynuując karierę solistyczną, zajmuję się szeroką działalnością artystyczną, publicystyczną i pedagogiczną. Przy każdej nadarzającej się okazji włączałam do programu kompozycje i aranżacje na harfę Józefa Wiłkomirskiego, które wykonywałam nie tylko z pamięci ale i z serca...

Na zakończenie chciałabym dodać, że dewizą życiową Józefa Wiłkomirskiego, Jego wielkim motto było: „Być człowiekiem”, wyrażone słowami:

-„Najważniejszą rzeczą dla człowieka (dla mnie nie ma ważniejszej), mało tego, najważniejszą wartością każdego człowieka jest to, co może zrobić dla ludzi, to, co może dać ludziom, to, co może po sobie zostawić. To było zawsze najważniejsze. Wszystko inne było wtórne. Ja byłem gotów podporządkować moje zachowanie i mnóstwo innych rzeczy temu nadrzędnemu celowi”. I kontynuował: - „Ty jesteś od tego, żeby ludziom dawać muzykę, bo ludzie tej muzyki potrzebują. To ją dawałem. Nie ma rzeczy ważniejszej od pracy dla ludzi, ile możecie dać innym ludziom”. (Archiwum Historii Mówionej, Wałbrzych, 27.11.2013).

Jak co roku od lat, na urodziny w maju składałam Solenizantowi najlepsze życzenia, na które miło odpowiadał dźwięcznym głosem, pełnym życia, energii i zadowolenia.

A teraz żegnam się z Tobą Maestro z żalem i z ogromną wdzięcznością. Nadzwyczajnym uwieńczeniem, ukoronowaniem dziesiątek lat pracy twórczej jest założona z Twojej inicjatywy nowa instytucja muzyczna w kraju, Filharmonia Wałbrzyska, nazwana potem Filharmonią Sudecką, a pośmiertnie - Filharmonią Sudecką im. Józefa Wiłkomirskiego. Pozostaniesz na zawsze w naszej pamięci, jako wspomniały Artysta. erudyta, humanista, nonkonformista, wielki Człowiek i Patriotą.

Spoczywaj w pokoju wiecznym!

Zapraszam do przeczytania artykułu o publikacji autobiografii Józefa Wiłkomirskiego, napisanym w czerwcu 2010, Centrum Muzyki Polskiej, Los Angeles.

<https://polishmusic.usc.edu/newsletter/2010/June-2010>

Focus: Józef Wiłkomirski Autobiography

Polish Music Center, Los Angeles, June 2010

Inicjatorka bibliotecznych spotkań z Maestro

Dostałam bardzo trudne, ale jednocześnie zaszczytne zadanie. Napisać moje wspomnienie o Maestro Józefie Wiłkomirskim. Dzisiaj wiem, że z perspektywy mojej wieloletniej pracy zawodowej i spotkań z wieloma „ciekawymi” ludźmi, „Rozmowy z Mistrzem” były najważniejsze i na zawsze pozostaną w mojej pamięci. Z całą odpowiedzialnością mogę stwierdzić, że nie tylko w mojej. Czy była lub jest w Polsce osoba, na spotkania, z którą przez 9 lat, dwa razy w miesiącu, przychodziliby słuchacze? Nie jest to pytanie retoryczne, bo wiem, że nie. Jestem też przekonana, że gdyby nie tragiczne okoliczności trwałyby one do dzisiaj. Dlaczego? Ponieważ Mistrz Józef Wiłkomirski był osobą wyjątkową. Tak bardzo bronił się przed tym tytułem, ale członkowie Dyskusyjnego Klubu Książki, którego członkiem w pewnym momencie poczuł się również i On, nie ustępowali, bo dla nas wszystkich Józef Wiłkomirski był mentorem, autorytetem, przewodnikiem po muzyce, literaturze, historii, sztuce, współczesności. Ile książek przeczytaliśmy, ponieważ Maestro, rekomendując je żartobliwie stwierdzał, że „przeciętnie inteligentny człowiek powinien je znać”. Kiedy opowiadał o obrazach, rzeźbach, budowlach, które widział na żywo, robił to tak obrazowo, że byliśmy tam wraz z nim i już na zawsze pozostały w naszej pamięci. Jakże inaczej słuchamy muzyki, bo On nam tłumaczył, gdzie kryje się jej głębia. Jesteśmy też w posiadaniu kilku mistrzowskich przepisów kulinarnych, bo i w tej dziedzinie pan Józef Wiłkomirski się specjalizował. Kiedyś jedna z Jego znajomych, członkini zespołu Filharmonii, widząc informację o spotkaniu z Maestro opowiedziała zabawną, a jakże prawdziwą i celną historię. Pewnego razu jej mąż z zazdrością zapytał: powiedz mi co takiego wyjątkowego i seksownego ma w sobie ten Józio, że wszystkie tak go wielbicie? Na to usłyszał odpowiedź: mózg kochanie, mózg. Było to tak celne stwierdzenie, że trudno jest coś dodać. Wyjątkowość Mistrza polegała również na tym, że umiał doceniać mądrych ludzi bez względu na ich wyznanie, przekonania polityczne czy narodowość. Zadeklarowany ateista, bardzo zabiegał o osobiste spotkanie z ks. Adamem Bonieckim, który został zaproszony do biblioteki przez Dyskusyjny Klub Książki. Spotkanie było prywatne, natomiast o jego atmosferze wiele powiedziała końcówka. Panowie, bliscy sobie wiekiem, żartując, obiecali sobie, że ten, który pierwszy znajdzie się „po drugiej stronie”, przywita drugiego i tam to dopiero sobie pogadają. Wtedy także Maestro przymerzył laseczkę ks. Adama i to, jak się z nią chodzi i pomimo wcześniejszych oporów, od tego czas zaczął się poruszać przy jej pomocy.

Był moment, kiedy zrozumiałam, że my dla Niego również nie jesteśmy takimi obojętnymi uczestnikami spotkań. Po wspólnym wysłuchaniu jednego z dzieł muzyki klasycznej Maestro stwierdził w zadumie, że trudno mu słuchać tych utworów, bo wie, że już nigdy nie stanie za pulpitem i ich nie zadyryguje. W oczach nas wszystkich pojawiły się łzy, bo zrozumieliśmy, że takich emocji nie zdradza się ludziom obcym.

Dzisiaj jesteśmy samotni w obserwowaniu wydarzeń w kraju, na świecie, czytaniu książek, komentowaniu imprez kulturalnych. Wiemy, że w sobotę nie spotkamy się w bibliotece, nie zobaczymy uśmiechu Józefa Wilkomirskiego i nie usłyszymy żartobliwego pytania: „to, co mówimy dzisiaj na planowany temat czy dyskutujemy o tym, co nas trapi?”

Mistrzu, tak bardzo nam Ciebie brakuje.

Należałem do tej grupy młodych dyrygentów, którzy w latach 70 - tych ubiegłego stulecia mieli zaszczyt osobiście poznać Maestro Józefa Wiłkomirskiego. Zanim spotkaliśmy się po raz pierwszy oczywiście wiedziałem już jakiego formatu jest to artysta i organizator życia muzycznego. Kiedy pojawiła się w mediach informacja o tworzeniu nowej Filharmonii w Wałbrzychu pomyślałem sobie - nie ma szans, to się nie może udać. Przecież w wielu istniejących zespołach filharmonicznych było tyle wolnych miejsc pracy, szczególnie w instrumentach smyczkowych, a tu nagle ma powstać zupełnie nowa orkiestra? Skąd wezmą do niej muzyków? No tak, ale jeszcze na początku nie wiedziałem, że o utworzenie tej instytucji został poproszony Maestro Józef Wiłkomirski. W tym momencie byłem już na 100 procent pewien, że owszem nie ma szans - ale na to, aby właśnie się nie udało.

Maestro Józefa Wiłkomirskiego cechowała zawsze ogromna życzliwość i szczerą chęć pomocy młodym polskim dyrygentom. Doświadczyłem tego wielokrotnie, będąc regularnie zapraszany do poprowadzenia koncertów z Jego orkiestrą. Pamiętam doskonale, że jeśli tylko był na miejscu i nie miał swoich koncertów w tym czasie, to zawsze siedział na próbach i wnikliwie obserwował moje poczynania. Po próbie zapraszał na kawę i wtedy otrzymywałem nieocenioną porcję uwag i spostrzeżeń. To, co było charakterystyczne to sposób, w jaki to czynił. Nigdy nie stwarzał jakiegoś sztucznego dystansu, a przecież rozmawiałem z artystą, którego sztuka dyrygencka była znana i podziwiana przez melomanów na obu półkulach. Wręcz przeciwnie, zawsze odnosiłem wrażenie, że traktował mnie jak młodszego kolegę, któremu bardzo chciał pomóc i oszczędzić mu niepotrzebnych stresów na estradzie. Był przy tym znakomitym psychologiem, natychmiast wyczuwającym mój nastrój, moje wątpliwości czy skrywaną niepewność w pracy z orkiestrą. Wszystkie Jego uwagi działały na mnie niezwykle mobilizująco i wyzwały dodatkową energię skutkującą m.in. wyraźną poprawą sposobu prowadzenia prób. Czułem po prostu, że mnie lubi i Maestro też wiedział o moim ogromnym szacunku i podziwie dla Jego nie tylko artystycznych dokonań. Oczywiście, przy tej okazji zawsze opowiadał o swoich podróżach, koncertach, wspaniałych solistach, orkiestrach, a ja słuchałem tego wszystkiego z najwyższą uwagą i ciekawością trochę zazdroszcząc Mu tych pięknych chwil. Mógł opowiadać godzinami i czynił to tak interesująco, że nie chciałem, aby kiedykolwiek spojrzał na zegarek. Gdy po kolejnym koncercie wyjeżdżałem

z Wałbrzycha już od razu tęskniłem do ponownego spotkania z Maestro, aby znów najpierw spojrzeć na moje dyrygenckie poczynania, a później znalazł czas na chwilę rozmowy, która dla mnie była zawsze inspiracją do twórczych poszukiwań. Te spotkania pamięta się długo, bardzo długo...

Pianistka, pedagog, Bawaria, Niemcy

Choć od jakiegoś czasu zbliżało się to, co nieuchronne, z wielkim smutkiem odebrałam telefon od Małgorzaty i przyjęłam wiadomość o śmierci Dyrektora. Odszedł człowiek, który odegrał ważną rolę w moim zawodowym życiu.

Los połączył nas symbolicznie już bardzo wcześniej. Oboje pochodzimy z Kalisza. Jako młodzieńka „pianistka” grałam swoje pierwsze popisy w szkolnej sali koncertowej, która nosi imię ojca Dyrektora - Alfreda.

Ukończyłam studia w klasie fortepianu i tu, na mojej drodze, pojawił się Dyrektor Wiłkomirski. Pomógł mi w tak ważnym okresie życia, jakim jest przejście z beztrudnych lat studenckich do życia zawodowego.

Organizując Filharmonię w Wałbrzychu był jednocześnie dyrektorem Szkoły Muzycznej. Choć (jak pisał we „Wspomnieniach”) był to najbardziej pracowity okres w jego życiu, znalazł czas na rozmowę ze mną. Otrzymałam propozycję pracy w Szkole i pokój w mieszkaniu dla muzyków Filharmonii. Tak zaczęła się moja przygoda z muzycznym Wałbrzychem i bardzo długa znajomość z Józefem Wiłkomirskim. A także trwająca do dziś przyjaźń z Małgorzatą (która była moją uczennicą).

Dyrektora wspominam jako serdecznego, pełnego temperamentu i młodego duchem człowieka. Jego gabinet zawsze był otwarty. Kiedy pojawiał się problem wystarczyło zapukać do drzwi. Życzliwy dla młodych muzyków, chętnie służył radą i pomocą.

W Wałbrzychu spełniło się też moje ciche marzenie. Zawsze chciałam grać w orkiestrze. A fortepian to przecież typowo solowy instrument. Ale oto włączono mnie do składu orkiestry i zagrałam na koncercie inauguracyjnym Filharmonii Wałbrzyskiej w „Harnasiach” Szymanowskiego. Było to dla mnie niesamowite przeżycie. Później jeszcze wielokrotnie, ilekroć w utworach symfonicznych potrzebny był fortepian, grałam w składzie orkiestry.

Otrzymałam też wymarzony etat w Filharmonii, kiedy 1981 roku nowa dyrekcja Szkoły nie przedłużyła ze mną umowy. Znowu pomógł mi Dyrektor Wiłkomirski. Zostałam akompaniaturką solistów audycji umuzykalniających. Była to dla Dyrektora niezwykle ważna działalność Filharmonii. Odwiedzaliśmy szkoły i przedszkola w całym ówczesnym województwie wałbrzyskim.

W roku 1987 wyjechałam z Orkiestrą Zdrojową na kontrakt Pagartu do Bawarii, gdzie mieszkam do dziś. Pozostał tylko kontakt telefoniczny z Małgorzatą. Wiele razy zdarzało się, że to Dyrektor odbierał telefon. Opowiadałam o miejscu, w którym mieszkam, o Bawarii, pięknej przyrodzie, zabytkach

i cudnych Alpach. Rodzina Wiłkomirskich postanowiła przyjechać tu na urlop. Był rok 1997. U mojej znajomej (również Kaliszanki) mieszkającej w małej, pięknej alpejskiej miejscowości Pfronten zarezerwowałam apartament. I tak Wiłkomirscy znaleźli idealne dla nich miejsce wypoczynku. Dyrektor przywoził mnóstwo książek, siadał na tarasie z widokiem na Alpy i w otoczeniu kolorowych kwiatów i przy akompaniamencie dzwonek krów alpejskich czytał. Często spotykaliśmy się na obiadach w małych, rodzinnych gospodach. Dyrektor uwielbiał pstrągi i często je zamawiał. Lubił też regionalne desery. Wieczorami spotykaliśmy się przy grillu ale też grywaliśmy w karty. I przy tych wszystkich okazjach On opowiadał. To było najfajniejsze. Miał niesamowitą wiedzę historyczną, psychologiczną, filozoficzną. I imponującą znajomość literatury. Stawialiśmy Mu przeróżne pytania, a On odpowiadał. I to jak! Jasno, lekko, nieskomplikowanie i interesująco. Pamiętam ten Jego uśmiech na twarzy. I ręce, które w charakterystyczny sposób się poruszały, jakby tymi opowieściami dyrygował.

Do Bawarii Wiłkomirscy (z krótkimi przerwami) przyjeżdżali aż do roku 2019. Zawsze z niecierpliwością czekałam na te dwa letnie tygodnie, na kolejne dyskusje i opowieści. Ostatnie urlopy spędzili tu z rodziną Wiosny. I chociaż Dyrektor nie był już tak sprawny fizycznie, to Jego umysł nie zmienił się w ogóle. Nie opuszczało Go też poczucie humoru. Naszym spotkaniom zawsze towarzyszyło dużo śmiechu i radości. Bardzo mi będzie tego brakować.

Dziękuję Panie Dyrektorze.

**Dyrygent, kompozytor, pedagog,
dyrektor Filharmonii Świętokrzyskiej w Kielcach**

Józef Wilkomirski jest jedną z zaledwie kilku osób swego pokolenia, które wspominam dość często. Te wspomnienia jawią się jako scenki i urywki z naszych regularnych spotkań i rozmów telefonicznych, a są tak żywe, jakby odbyły się zaledwie kilka dni temu.

Jedna z takich scenek pojawia się niejako automatycznie, gdy tylko ktoś przywoła nazwisko pana Józefa. I zawsze sprawia, że się uśmiecham. Widzę go z okien autobusu, którym jadę do hotelu po próbie z jego orkiestrą. Pan Józef w długim, czarnym, skórzanym płaszczu pieszo wraca z pracy do domu. Posuwa się energicznie, jakby się śpieszył, specyficznym, wydłużonym krokiem na lekko ugiętych kolanach. Prawie biegnie. Widać, że jest przy tym zatopiony w swoich myślach, ale krótkie spojrzenia na boki dowodzą, że jednocześnie kontroluje otoczenie. Najważniejsze jest jednak to, że tym swoim charakterystycznym, posuwistym chodem pokazuje, że jest człowiekiem o wiele młodszym, niżby wskazywała na to jego metryka...

Chwilę wcześniej zakończyliśmy jedno z naszych spotkań w jego gabinecie. A był to prawdziwy rytuał - miły, interesujący, barwny i pouczający. Po każdej próbie i krótkiej rozmowie z pracownikami Filharmonii w pokoju, który z pewnością nie był typowym sekretariatem, i do którego choćby na chwilę zaglądała chyba większość kadry administracyjnej, wyraźnie rozbawiony tym faktem Dyrektor zapraszał mnie do siebie. Zwykle zaczynał od prośby o sprawozdanie z przebiegu próby, co stanowiło pretekst do podjęcia jednego z kilku wątków stale obecnych w tych długich rozmowach.

Muzyka oraz dyrygentura w ich najróżniejszych aspektach to pierwszy z nich. Pan Józef przywoływał historyczne już nazwiska solistów i dyrygentów, u których się uczył, z którymi występował i których gościł w Filharmonii Sudeckiej. Często wspominał swą siostrę, Wandę. Opowiadał o swych koncertach (ulubiony Chaczaturian!), czasem dodając jakieś zabawne anegdoty. Chwilami zamieniał się w pedagoga (chyba mu tego brakowało), dzieląc się swymi przemyśleniami o technice dyrygowania i o interpretacji utworów. Krytycznie omawiał również moje poczynania na próbach i koncertach, które - jak się okazywało - uważnie obserwował (pamiętne dyskusje o „Amerykaninie w Paryżu” Gershwinia, o I Symfonii Szostakowicza czy o Koncercie wiolonczelowym Dworzaka, przy okazji wykonania którego właśnie w Wałbrzychu poznałem Dominika Połońskiego).

Drugi obszar dotyczył problemów, z jakimi mierzyliśmy się jako szefowie naczelni filharmonii - tu pan Józef nie tylko dzielił się swoim bogatym doświadczeniem, ale i zadawał wiele pytań. Uważnie słuchał, jak radzi sobie nowa, młoda dyrektorska kadra. Weryfikował, czy sposoby, jakimi rozwiązuję problemy, przystają do tego, jak sam by się nimi zajął, wyrabiał sobie opinię o mnie. Ocena wypadła chyba nieźle, bowiem chętnie zdradzał kulisy zarządzania filharmonią, szczególną uwagę kierując na swe priorytety, na notoryczne niedobory finansowe instytucji, na stosunki z władzami oraz rolę edukacyjną placówki - tu chwalił działalność swej żony, Małgorzaty, podsuwał do wykorzystania napisane przez siebie muzyczne bajki.

Trzecim, równie szerokim wątkiem, były jego nietuzinkowe wspomnienia biograficzne, choć - jak się zorientowałem później z lektury jego dwutomowych wspomnień, które z dumą mi przysłał - były one tylko wycinkiem o wiele bogatszych przeżyć nadających się na scenariusz filmowy. Ta część naszych rozmów była jednak zaledwie odpryskiem jeszcze innych istotnych aktywności pana Józefa - publicysty i społecznika, jeśli nie wręcz polityka, którym oddawał się z wielką pasją i to nawet wówczas, gdy stan zdrowia uwięził go w domu. Tym właśnie wątkom - obok wzmianek o książkach - poświęcone były nasze rozmowy telefoniczne, które zastąpiły spotkania w dyrektorskich gabinetach w Wałbrzychu i w Kielcach. Bo również podczas wizyt Józefa Wiłkomirskiego w Filharmonii Świętokrzyskiej nasz rytuał był pieczołowicie kultywowany. (Przypomniała mi się właśnie jedna z kieleckich pogawędek, w której przywoływał swe pierwsze wizyty w tym mieście i ówczesne warunki hotelowe, gdy rano musiał łokciem rozbijać lód w miednicy, by móc się umyć...).

Po rozstaniu z Filharmonią Sudecką pan Józef bardzo długo się w niej nie pojawiał. Na pierwszą ponowną wizytę wybrał mój koncert. Wspominam to z sentymentem, bo - jak się okazało - było to już ostatnie z serii spotkań, które zbudowały między nami swoistą więź międzypokoleniową i szczery wzajemny szacunek. Choć jakiś czas później raz jeszcze przyjechał na mój koncert, nie zdołał wejść do garderoby po schodach, które wcześniej codziennie tak dziarsko przemierzał, a ja dowiedziałem się o jego obecności za późno, gdy już odjechał do domu... Ale podczas tej ostatniej rozmowy, tak jak podczas wszystkich poprzednich, ani na moment nie usiadł, nieustannie, żwawo krążył po pokoju i gestykulował. Może właśnie dlatego na dźwięk jego nazwiska odżywa we mnie najpierw obraz jego postaci, którą obserwuję z okna autobusu...

**Przewodnicząca Rady Miejskiej Wałbrzycha,
specjalista hematolog**

O szanownym Maestro Józefie Wiłkomirskim napisano i powiedziano już wiele - o Jego życiu, przeżyciach wojennych, twórczości artystycznej i publicystycznej, nie będę więc o tym wspominać - są to sprawy powszechnie znane.

Wypowiem się jako osoba stojąca nieco z boku, ale uczestnicząca czasem w Jego życiu i problemach zdrowotnych.

Otóż Maestro poznałam bliżej przed około trzydziestu laty, a było to tak. Moja młodsza córka, Ola, została uczennicą podstawowej szkoły muzycznej w Wałbrzychu, więc naturalną rzeczą stała się konieczność wzmocnienia jej wczesnych, dość mizernych, poczynąń muzycznych, zatem Małgosia Wiłkomirska, moja przyjaciółka, podjęła się trudu wprowadzania dziecięcia w arkaną sztuki instrumentalnej i wokalne, czyniąc to we własnym domu, co, rzecz jasna, sprzyjało nawiązaniu kontaktów z Maestro. Rozmawialiśmy zatem często, osobiście i telefonicznie, przy różnych okazjach, a rozmowy z Józefem były dla mnie zawsze wielką przygodą intelektualną. Podziwiałam Jego żywy umysł, ironię i cięty dowcip. Był niezwykle erudytą, człowiekiem bardzo odczytanym, wielkiej kultury osobistej i dystansu do siebie oraz życia.

Nie ośmieliłam się, mimo długiego czasu znajomości i pewnej zażyłości, zwracać do Niego inaczej, niż Maestro. Któregoś razu, przy okazji koncertu w Filharmonii Sudeckiej, a było to dwa lata wstecz, Józef powiedział mniej więcej w ten sposób: no tak, wszyscy bliscy mi, są ze mną po imieniu, tylko Marylka jest taka dumna, że nie, a przecież to kobieta pierwsza proponuje takie zwracanie się do siebie. Spłonęłam rumieńcem jak dzierlatka i powiedziałam: naturalnie, proszę mówić mi po imieniu. Usłyszałam: - „no, nareszcie”!

W ostatnim, trudnym dla Niego czasie, byłam przy Nim, gdy było to potrzebne i potrzebował pomocy medycznej. Nawet w cierpieniu był wielki i budził szacunek. Odszedł do lepszego świata we własnym domu, otoczony do końca czułą opieką Małgosi.

JANINA i JÓZEF SAKOWICZOWIE

Janina - artystka plastyk, Józef - inżynier ceramik

Wieloletnia, bliższa znajomość z Maestro Józefem Wiłkomirskim, to lata ciekawe. Poznaliśmy człowieka i przyjaciela nie tylko postać pomnikową - uczestnika Powstania Warszawskiego, światowej sławy dyrygenta i kompozytora oraz twórcę Filharmonii Sudeckiej. Poznaliśmy odważnego człowieka, który nigdy nie bał się mówić tego, co myśli i czuje. Niech będzie jednym z przykładów opinia o zbrodniczej decyzji dotyczącej wybuchu Powstania Warszawskiego. Nie krył się z poglądami politycznymi nie tylko w prasie, ale w czasie spotkań autorskich z mieszkańcami, które odbywały się przez lata w Filii „Biblioteki pod Atlantami” na Podzamczu oraz Ogrodzie Sztuki w Szczawnie-Zdroju. Braliśmy aktywny udział w spotkaniach z Maestro i tam nawiązaliśmy z Nim osobisty kontakt, który z latami przekształcił się w prawdziwą przyjaźń. Zaowocowało to wieloma ciekawymi dyskusjami na różne tematy i z różnych dziedzin. Szczególnie bliska nam była tematyka historyczna, ale także i filozofia, literatura, religioznawstwo czy sztuka. Podziwialiśmy i ceniliśmy Maestro, z czasem po prostu Józefa, jako człowieka bardzo otwartego, nawet w sytuacjach ostrych sporów. Przez wiele lat znajomości wymienialiśmy książki i gazety, a było tego sporo. Znajdowaliśmy w nich korekty czynione ręką Józefa. Lektury owe, jak i aktualne wydarzenia prowokowały nas do wymiany poglądów i opinii. Nie zawsze zgadzaliśmy się, co nie zakłóciło nigdy naszej przyjaźni.

I jeszcze kilka słów w kwestii Jego spotkań bibliotecznych. Kiedyś po jednym z nich wywiązała się między nami taka oto rozmowa. Mówimy do Niego: - „Byłoby dobrze - w formie pisemnej - utrwać wykłady Maestro...” Na co On: - „To jak ja mam to zrobić?”. Wziąłem wówczas do ręki kartkę A-4, złożyłem ją wzdłuż i powiedziałem: - „A choćby tak”. Na to Maestro: - „Zgoda, będę w tym formacie pisał felietony”. Potem Maestro zwrócił się do Janki, aby zaprojektowała logo do tej gazetki. Miał to być czerwony pająk, związany z tytułem cyklu Jego publikacji. Z przyjemnością zawodowca grafika, „dłubała” przy pająku. Maestro projekt zaakceptował. I tak oto powstała regularnie ukazująca się przez kolejne lata „Formatka”.

Poznaliśmy też inne zainteresowania Maestro, nieco zaskakujące - kulinarne. Lubił opowiadać, co, gdzie i jak jadał, a przede wszystkim, co sam lubił zrobić z różnych produktów. A przyrządzał choćby słynne codzienne surówki o zmiennym składzie.

Żałujemy, że już nie będzie tych spotkań, monologów, dyskusji. Żałujemy, że nie udało się zrealizować planu utworzenia Nekropolii Wałbrzyskiej z aleją zasłużonych na cmentarzu przy ul. Żeromskiego. W tym miejscu, w Jego mieście, które pokochał i które tak dużo Jemu zawdzięcza, powinien pozostać trwały ślad Maestro Józefa Wiłkomirskiego.

Żegnamy Cię Przyjacielu!

ATSUKO SETA

Pianistka, urodzona w Japonii, mieszkanka Szczawna-Zdroju

W 1997 roku wygrałam Międzynarodowy Konkurs Muzyczny Master Players we Włoszech, którego debiutanckie koncerty odbyły się w Szwajcarii, Włoszech i Polsce. Niezapomnianym doświadczeniem było dla mnie wykonanie Koncertu Fortepianowego Griega z Filharmonią Sudecką w Wałbrzychu! Po przedstawieniu Maestro od razu podszedł do mnie i powiedział: „W przyszłym roku chcę Cię ponownie zaprosić. Będziesz współpracować pod moim przewodnictwem”. Wyobraźcie sobie jaka byłam szczęśliwa, jako młoda pianistka, która otrzymała zaproszenie od wielkiego Maestro.

Faks przyszedł później, a w programie zamówiony był I Koncert Fortepianowy Czajkowskiego. Mam bardzo małe dłonie i dlatego wykonanie tego trudnego utworu było dla mnie niemal niemożliwe. Bardzo chciałam jednak grać pod batutą Maestro, więc ćwiczyłam codziennie przez 8 godzin aż wreszcie zaczęłam grać bardzo dobrze.

Pamiętam, jak podekscytowana wsiadałam do samolotu we wrześniu 1998 r. i jak nie mogłam się doczekać pierwszej współpracy z Maestro. Podczas koncertu byłam tak szczęśliwa, że wpadłam w ekstazę i zapomniałam o liczeniu. Kiedy to zauważyłam, wydawało mi się, że spóźniam się o jeden takt w stosunku do orkiestry. Co powinnam robić !!?? Na szczęście orkiestra to zauważyła i mogłam bezpiecznie grać dalej. Uśmiechnęłam się i do końca grałam już bardzo dobrze. Zaraz po koncercie przeprosiłam Maestro, a On powiedział donośnym głosem śmiejąc się: - „Nigdy nie będę czekać, nawet jeśli się spóźnisz! Zróbmy następnym razem Rachmaninowa nr 2!”

Czy Maestro był na mnie zły? Nie, dał mi kolejną szansę na współpracę!

Zachowałam się idiotycznie! Powiedziałam mu: - „Rachmaninow jest dla mnie zbyt trudny, ponieważ mam za małe dłonie”. Teraz był naprawdę zły i powiedział do mnie: - „Jeśli tak mówisz, to graj tylko „Dla Elise” w domu!”. O mój Boże! Powiedziałam natychmiast: - „Przepraszam! Zrobię to! Proszę, pozwól mi zagrać Rachmaninowa”.

Później zauważyłam, że była to dla mnie najlepsza zachęta. Nie byłabym zawodowym pianistą bez tego skarcenia ze strony Maestro. Dzięki temu ćwiczyłam każdego dnia i wkładałam w to całe serce.

Dwa lata później byłam już zdolna by grać tak trudne fragmenty, o których wcześniej nawet bym nie pomyślała.

W maju 2000 roku moja dusza była gorąca i energiczna, ale zachowywałam spokój umysłu i uważnie słuchałam orkiestry. Grałam całym sercem i z ogromną koncentracją aż do końca. Towarzyszył mi w tym czasie mąż, który nakręcił film. Maestro, który obejrzał to nagranie jakiś czas później, powiedział, że to najlepsze wykonanie jego Rachmaninowa.

Byłam tak bardzo wdzięczna za wskazówki Maestro, że pociekły mi łzy!

Potem zdobyłam wiele nagród w innych konkursach i miałam okazję wystąpić w Carnegie Hall w Nowym Jorku, zwiększając swoje szanse na współpracę z orkiestrami na całym świecie. Jednakże to Maestro, Filharmonia Sudecka i jej widownia były punktem wyjścia mojej kariery jako profesjonalnej pianistki.

To dlatego Polska jest moim drugim domem, szczególnie pod względem muzycznym. Po wielu zwrotach akcji ostatecznie osiedliliśmy się z mężem w Szczawnie-Zdroju. Bardzo się cieszę, że wróciłam do miasta, które jest szczególnie bliskie mojemu sercu, mimo że urodziłam się w Japonii.

Kiedy lata później spotkałam Maestro, zapytał o moje występy i był bardzo zadowolony, gdy pokazałam mu artykuły prasowe o moich występach. Był dla mnie wtedy jak ojciec.

Nie potrafię wyrazić słowami jak bardzo poruszyła mnie śmierć tego wielkiego Mistrza.

Teraz mam szczerą nadzieję, że powrócę do Maestro i do tego miasta, w którym tak wiele osiągnęłam. Tak jak mnie zachęcał Maestro, tak i ja chciałabym zachęcić innych, nieznanych, ale utalentowanych młodych muzyków z Azji, aby uwierzyli w swój talent i kontynuowali swoją drogę muzyczną. Również jako pianistka chcę dawać z siebie wszystko, aby każdy z przyjemnością słuchał moich występów. Chciałabym opowiedzieć moim młodszym uczniom jak najwięcej o cennej historii, wojnie i historycznej współpracy, których uczył mnie Maestro.

Na koniec chciałbym podziękować za możliwość spisania moich wspomnień o Maestro Wilkomirskim, którego wciąż podziwiam.

P.S.

Stworzyłam w domu małe studio koncertowe. Po zakończeniu pandemii chciałbym rozpocząć domowe koncerty dla moich znajomych w Polsce. Chciałbym również wykonywać muzykę kameralną z moimi muzycznymi przyjaciółmi z Filharmonii Sudeckiej. Planuję zaprosić wielu młodych muzyków, którzy chcieliby wystąpić w Polsce.

Mam nadzieję, że moje marzenie wkrótce się spełni!

Tłumaczenie z języka angielskiego: Wiktoria Blicharz-Janicka

Jako lekarz i prezydent miasta spotkałem w życiu wielu ludzi. Choćbym chciał, wszystkich nie jestem w stanie zapamiętać - w przeciwieństwie do tego niektórych nie mógłbym zapomnieć.

Niekiedy wystarcza krótkie spotkanie, które pozostawia niezatarte wrażenie. Ktoś na pewien czas zapada nam w pamięć z powodu czarującego uśmiechu, nietypowego głosu, oryginalnego ubioru. Innym razem decyduje ciekawa osobowość, wartościowa praca, twórcze dokonania, wreszcie wiedza i mądrość.

Bywa i tak, że ktoś przykuwa naszą uwagę całą plejadą najlepszych cech i umiejętności, które budzą instynktowny podziw i szacunek. Takiego człowieka nigdy się nie zapomina. Jego nagła nieobecność jest dotkliwa. Utrudnia poruszanie się w rzeczywistości, której był fundamentem. Pociągają się jedynie wspomnienia, które przywołujemy z dumą: tak, znałem Józefa Wiłkomirskiego, współpracowałem z tym wielkim człowiekiem.

Tej wielkości żadną miarą nie umniejszała ponad 20-letnia zażyłość, której początkiem była relacja pacjent - lekarz. Nie umniejszały jej rutynowe spotkania w ramach miejskiej Rady Kultury czy Rady Seniorów, bycie na „ty”, zwyczajne pogawędki czy niepozabawione namietności dyskusje. Bo spierać się z Józefem, zdobywać jego zaufanie, wspierać go w chwilach słabości i niezawodnie otrzymywać dobrą radę, kiedy się jej potrzebowało, samo w sobie było czymś nadzwyczajnym. Był wspaniałą osobowością, zapewne jedną z największych w powojennym Wałbrzychu, by potrzebował cokolwiek udowadniać.

Mimo to, kiedy już nas opuścił, zestawienie tych codziennych relacji z jego imponującą biografią musiało wyrzucić silne wrażenie. Bo przecież jako pacjent, muzyk czy dyrygent nigdy nie dawał nikomu odczuć, że jest bohaterem. A przecież był.

W Wałbrzychu zasłużył na pomnik jako legendarny już założyciel filharmonii. Jednak w kraju media akcentowały przede wszystkim szczególnie zbieg okoliczności - w rocznicę Powstania Warszawskiego odszedł 94-letni powstaniec Józef Wiłkomirski. Nie pominięto licznych tytułów, stanowisk i zasług zmarłego. Niektórzy wymieniali odznaczenia i nagrody, a było ich bez liku. Zapewne jednak w tym dniu najlepiej został zapamiętany jako powstaniec.

Gdyby mógł, być może spojrzałby na te komunikaty przychylnym okiem. Bo tak, jak trudno zapomnieć o niektórych ludziach, tak trudno otrząsnąć się z wydarzeń, które zapadają w pamięć na całe życie.

Lata niemieckiej okupacji napawały go grozą, zapewne dlatego wybuch powstania uważał za najpiękniejsze wspomnienie młodości. Podkreślał, że tych

godzin nigdy się nie zapomina. - „Myśmy nie bali się śmierci” - wspominał po latach. - „Nie baliśmy się, że coś nam się może stać. Może dlatego, że byliśmy tacy młodzi”.

Nie zmienia to faktu, że bohaterstwo swoich towarzyszy broni przeciwstawił nieodpowiedzialności dowódców, którzy doprowadzili do śmierci tysięcy ludzi i niewyobrażalnych cierpień. Bo taki właśnie był Józef Wiłkomirski. Oczarowany życiem i trzeźwo, bezkompromisowo oceniający rzeczywistość. Dawał temu wyraz w niezliczonych publikacjach. Był niezrównanym felietonistą i gawędziarzem, który nigdy nie idzie na układy z hipokryzją i głupotą. Nie kluczył, nie udzielał wymijających odpowiedzi, walił prosto z mostu, nie bacząc, czy się to komuś podoba, czy nie.

A to przecież tylko jedna z wielu twarzy Józefa.

W Wałbrzychu znamy go najlepiej jako wieloletniego dyrygenta i dyrektora filharmonii. Mniej jako wiolonczelistę, który kiedyś grywał w Łodzi i Warszawie. Skomponowane przez niego utwory wykonywano w kilkunastu krajach na świecie. Dyrygował przez 55 lat, we wszystkich filharmoniach w Polsce i 22 krajach Europy, Ameryki i Azji.

Na stałe dyrygował w Państwowej Filharmonii w Krakowie i Poznaniu. W szczecińskiej filharmonii był dyrektorem i kierownikiem artystycznym. Innymi słowy liczył się w artystycznym świecie, a jednak wybrał prowincjonalny Wałbrzych, w którym filharmonię należało stworzyć od nowa. Ambitne wyzwanie okazało się jego ostatnim i najważniejszym przystankiem.

Wałbrzych stał się domem, do którego wracał przez ponad 40 lat.

Dał się tu poznać także jako samorządowiec, działacz kulturalny, prelegent, inicjator działalności edukacyjnej dla dzieci młodzieży, postać medialna. Innymi słowy Józef był niezwykle człowiekiem-orkiestrą. W tych okolicznościach nadany mu przez Radę Miejską tytuł Zasłużony dla Miasta Wałbrzycha był aż nadto oczywisty. W 2006 roku byłem szczęśliwy, że dostąpiliśmy tego wyróżnienia razem.

Mimo to nie dbał o zaszczyty i przywileje. U schyłku życia już jako człowiek spełniony mówił w jednym z wywiadów:

- „Nie ma rzeczy ważniejszych od pracy dla ludzi (...). Nie myślcie o sobie. (...). Myślcie, co i ile możecie dać innym ludziom. Okazuje się, że ja byłem w tym szczęśliwym położeniu, że mogłem coś takiego zrobić. Nie chcę używać wielkich słów, [ale pozostaje faktem], że mogłem odcisnąć swój ślad na kulturze muzycznej kraju. Tego się już nie wymaże. Ja to zrobiłem, wobec tego [moje] życie nie było zmarnowane. Czy może być coś piękniejszego w moim wieku?”

Cały Józef...

Dla Wałbrzycha w szczególności, ale też dla każdego innego miasta czy społeczności, która potrzebuje wizji, energii i niezłomnej woli działania, tacy ludzie jak Józef mają wartość nieocenioną. W rozgadanym, rozkrzyczanym świecie, są niekiedy jak pochodnia w półmroku, kierunek na pustkowiu. Dlatego tak trudno im dorównać, tak trudno zastąpić...

**Dyrektor Dolnośląskiej Biblioteki Publicznej
im. Tadeusza Mikulskiego we Wrocławiu**

Żyjemy w czasach coraz bardziej widocznego deficytu autorytetów. Brutalizacja zachowań i obyczajów publicznych, rozchwianie aksjologiczne, trywializacja mediów, kult nowości i zmian powodują utratę ich znaczenia i wpływu na rzeczywistość. Zanika funkcja autorytetów jako zworników ciągłości kulturowej, wzorów moralnych, przewodników ułatwiających kształtowanie relacji z otaczającym światem. Odchodzą pogrążeni w zbiorowej niepamięci lub degradowani w ogniu politycznych sporów.

Ta smutno brzmiąca refleksja nasunęła mi się dlatego, że należę do generacji, dla której autorytety były niezwykle istotnym czynnikiem dojrzewania życiowego. Może dlatego, że przeżyłem kilka ustrojowych rewolucji, albo dlatego, że biblioteki - szczególnie księżnicę wałbrzyską - z którymi jestem związany niemal całe zawodowe życie, należało modelować w sposób harmonijnie łączący potrzebę zmiany z tradycją i zachowaniem bibliotecznej tożsamości.

W wymiarze zawodowym i szerzej - humanistycznym - takim autorytetem dla wielu z nas był Józef Wiłkomirski.

Moje pierwsze z nim kontakty sięgają końca roku 1979, bo wtedy właśnie rozpoczął się mój długi i dość burzliwy związek z Wałbrzychem. Józef Wiłkomirski był wówczas na ustach wszystkich, o jego przyjeździe do Wałbrzycha i misji utworzenia filharmonii donosiły media, dyskutowano w urzędach, a wyjątkowość i - dla wielu - arbitralność tej inicjatywy była „tematem dnia” elit miasta. Dość powszechną ekscytację potęgowała magia samego nazwiska kojarzonego z wybitnymi przedstawicielami muzyki i przynoszącego powiew wielkiego świata z trudem wpisującego się w ramy stereotypowo postrzeganego górniczego Wałbrzycha.

Wkrótce miałem okazję poznać go osobiście. Szczupła sylwetka, nienagannie skrojony garnitur, energiczny sposób poruszania się, ożywiona gestykulacja, donośny, mocno osadzony głos, bystre, przenikliwe spojrzenie budziły respekt i szacunek, a także akcentowały jego obecność w każdym środowisku, w którym się pojawił. Wrażenie to potęgowały wypowiedzi Józefa Wiłkomirskiego, zarówno te wymagające wcześniejszego przygotowania, jak i te formułowane w trakcie konferencyjnych dyskusji i kuluarowych spotkań. Bogate językowo, z ciekawą argumentacją faktograficzną, często okraszone anegdotą, wyrażone w sposób zdecydowany ale zawsze w pięknej, klarownej polszczyź-

nie, z celną konkluzją - były wzorem retoryki. Nieco później, w trakcie regularnych spotkań dyrektorów wałbrzyskich instytucji kultury oraz członków Komisji Kultury Rady Miasta miałem wielokrotnie przyjemność podziwiania jego oratorskich umiejętności podnoszących poziom intelektualny toczonych wówczas dyskusji.

Józef Wiłkomirski był bowiem człowiekiem dialogu. Miał świadomość własnych polemicznych talentów, ale też umiał słuchać i doceniać argumenty przeciwnika. Rozmowa, dialog były dla niego rodzajem intelektualnego treningu, a czas i miejsce oratorskich konfrontacji nie miały większego znaczenia. Do anegdoty przeszły dysputy z jego udziałem w roli głównej toczne regularnie w godzinach porannych w autobusie linii A, który wiozł nas do pracy z Podzamcza do centrum. Komentarze do bieżących wydarzeń politycznych, a nawet do uciążliwości życia codziennego zyskiwały rychło filozoficzną głębię ocierając się po drodze o problematykę z obszaru etyki, estetyki czy antropologii kulturowej. I nie byłoby w tym nic szczególnego, gdyby nie reakcje przysłuchujących się tym dyskusjom pasażerów, na twarzach których zaciekawienie walczyło o lepsze z konsternacją, a w skrajnych przypadkach - z obawą „czy to nie pora, by wysiąść z tego samolotu”.

Józef Wiłkomirski otrzymał wiele od losu: otwartość umysłu, ciekawość świata, łatwość uczenia się i kumulowania wiedzy, talent muzyczny itp. Traktował je nie jako nagrodę, kredyt na spokojne, wygodne życie, ale jako zobowiązanie. Wobec samego siebie i wobec innych. Zdziwiał jego pracowitość i aktywność do ostatnich dni życia. Oprócz długiego i bogatego życia zawodowego związanego z muzyką miał mnóstwo zainteresowań i pasji. I chociaż każdej z nich poświęcał wiele czasu, na pierwszy plan wysuwa się - moim zdaniem - książka, wiedza, literatura. Józef Wiłkomirski miał ogromną prywatną bibliotekę o profilu uniwersalnym, choć ze szczególnym upodobaniem - oprócz literatury muzycznej - gromadził dzieła z zakresu filozofii i innych dyscyplin wiedzy, esyistykę i literaturę piękną. Na lekturę wykorzystywał każdą wolną chwilę, czytał także nocami. Ta niczym nieposkromiona potrzeba poznawcza, której podstawą były teksty naukowe i literackie, uczyniła go błyskotliwym erudytą i aktywnym publicystą. W swoich felietonach ujawnił dziennikarski pazur baczego komentatora spraw bieżących. W „rozmowach nie z tej ziemi”, tekstach parateatralnych i wspomnieniowych imponuje różnorodnością zainteresowań i humanistyczną perspektywą oglądu zjawisk, umiejętnością przywołania oraz konfrontacji postaci, zdarzeń sytuacji z różnych epok i kręgów kulturowych.

Z tych też powodów Józef Wiłkomirski był zwolennikiem adaptacji zespołu zabytkowych kamienic w wałbrzyskim Rynku na potrzeby dużej, nowoczesnej

biblioteki, mimo, że - zdaniem wielu - wiązało się to z okresowymi dolegliwościami finansowymi pozostałych instytucji kultury w mieście. Ta sympatia, poparta rozmowami na temat ostatecznego kształtu programowego biblioteki jako centrum życia intelektualnego i kulturalnego miasta uwyraźniła - w moich oczach - jeszcze jedną ważną cechę Józefa Wiłkomirskiego. Wyrażała ją przekonanie, że nie ma miejsc i środowisk *ex definitione* straconych dla kultury wysokiej. Jeśli zaś są, to z powodu kulejącej edukacji kulturalnej lub, co gorsza, braku kontaktu z dobrami kultury wyższej, którą zapewniają instytucje kultury. Sacrum i profanum to dwie strony rzeczywistości, w której żyjemy. Ich niezbędność utrwalała wiekowa tradycja, a o proporcjach między nimi w wymiarze indywidualnym decyduje ostatecznie to, czy przekroczymy próg filharmonii, obejrzymy spektakl teatralny, przeczytamy książkę itp. Dzielę się z Józefem Wiłkomirskim tą zasadą, tym bardziej, że dała ona życie Filharmonii Sudeckiej i Bibliotece pod Atlantami oraz spowodowała, że Wałbrzych i jego mieszkańcy mogą dzisiaj cieszyć się bogatą instytucjonalną ofertą w sferze kultury.

Z sentymentem przeglądam strony publikacji wspomnieniowej Józefa Wiłkomirskiego. Wyłania się z niej człowiek, który nigdy nie ukrywał swoich poglądów, mimo wielu rewolucyjnych zmian i zakrętów tworzących najnowszą burzliwą historię naszego kraju. Wyrazista osobowość, cechy przywódcze, bogata kariera zawodowa, życie osobiste poddawane nieustannie rygorom obowiązku i pracy, aktywność obywatelska, a także utrwalony system wartości, a zwłaszcza przekonanie o ważności kultury w życiu społecznym czynią go postacią jakby innego, większego formatu. Wielu dawało temu wyraz nazywając go „maestro”, mistrzu. I chociaż był przede wszystkim dyrygentem, to zakresu znaczeniowego tego słowa w tym przypadku nie można ograniczyć wyłącznie do orkiestry. Był dyrygentem życia.

Muzyk, pedagog

W roku 1977 Józef Wiłkomirski rozpoczął organizację Filharmonii w Wałbrzychu, fakt ten zaważył na całych rocznikach absolwentów Akademii Muzycznych w całej Polsce. Absolwenci tych uczelni zdecydowali się przystąpić do egzaminów na muzyków orkiestrowych. Jednym z głównych powodów tej decyzji była możliwość szybkiego przydziału mieszkania (w tym czasie na przydział mieszkania czekało się ok. 10 lat). Do Wałbrzycha przybywały całe rodziny muzyków, by podjąć tu pracę i rozpocząć życie w nieznanym wcześniej mieście. Po uzyskaniu dyplomu Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej we Wrocławiu, wraz ze świeżo poślubioną małżonką Magdaleną, znaleźliśmy się w tym zacnym gronie koleżanek i kolegów. Jako akordeonista nie mogłem być przyjęty do orkiestry, ale znalazłem zatrudnienie w szkole muzycznej w Wałbrzychu. Józef Wiłkomirski od początku dał się poznać jako sprawny organizator życia kulturalnego w całym regionie, prowadząc liczne koncerty symfoniczne, kameralne, recitale, które niejednokrotnie ubarwiane były faktami i anegdotami z życia kompozytorów i artystów.

Od samego początku istnienia tej instytucji Dyrektor Wiłkomirski kładł duży nacisk na edukację muzyczną najmłodszych wiedząc, że wychowuje w ten sposób przyszłych słuchaczy i melomanów. Wtedy też pojawił się pomysł rozszerzenia działalności Filharmonii o koncerty dla dzieci i młodzieży w przedszkolach i szkołach w całym regionie. Od tego momentu rozpoczęła się moja współpraca z muzykami orkiestrowymi w charakterze akompaniatora. Równolegle z koncertami symfonicznymi dla dzieci, odbywającymi się w budynku Filharmonii, mała grupa muzyków odwiedzała przedszkola i szkoły nawet w najdalszych rejonach okolic Wałbrzycha, umożliwiając kontakt z żywą muzyką (audycje muzyczne). Pan Józef Wiłkomirski osobiście czuwał nad repertuarem audycji i poziomem ich wykonania. Był również bardzo wymagający w zakresie ubioru muzyków, nie uznawał żadnych kompromisów, co nie zawsze spotykało się ze zrozumieniem solistów (zabronione jeansy, swetry, obuwie sportowe, itp.). Uznawał, że nie ma znaczenia miejsce, w którym się występuje - muzyk zawsze powinien wyglądać jak na koncercie w filharmonii.

Bardzo ceniłem sobie próby do kolejnych audycji, podczas których Dyrektor Wiłkomirski przekazywał nam swoje cenne uwagi i czuwał nad doborem repertuaru. Pomogło mi to spojrzeć na wiele zagadnień i problemów muzycznych z innej perspektywy. Może zabrzmiało to dziwnie, ale uświadomiłem sobie, że nawet podczas studiów muzycznych nie dowiedziałem się tyle o muzyce ile

podczas bezpośrednich kontaktów z Panem Dyrektorem. Uczestnicząc w procesie twórczym powstawania audycji zdobyłem cenne doświadczenia, które procentują do dzisiaj.

Z upływem lat coraz bardziej ceniłem sobie nasze zawodowe i nie tylko zawodowe relacje. Cieszący się w środowisku dużym autorytetem, Pan Józef Wiłkomirski często proszony był o radę lub wsparcie (nawet finansowe). Nigdy nikomu nie odmówił, a Jego „porady” okazywały się niezwykle trafne i pomocne. Sam byłem w gronie osób, które skorzystały z tego wsparcia. Nie u wszystkich spotykało się to z należną wdzięcznością, jednak On nigdy nie zmienił swojego postępowania i gotowości do niesienia pomocy. Praca z Nim i dla Niego była dla mnie niesamowitym doświadczeniem i zaszczytem. Mogę powiedzieć, że mój 45-letni pobyt w Wałbrzychu związany był pośrednio i bezpośrednio z Filharmonią Sudecką i jej Dyrektorem. Wraz z Jego odejściem można śmiało powiedzieć, że w Wałbrzychu skończyła się pewna epoka.

Dyrygent

Józefa Wiłkomirskiego poznałem w drugiej połowie lat dziewięćdziesiątych. Świeżo po studiach, przyjechałem do Wałbrzycha, prosząc go o koncert. Po pierwszym, „próbnym” zaproszeniu dyrygowałem w Filharmonii Sudeckiej prawie co rok, widywaliśmy się więc regularnie. Gdy przyjeżdżałem, Maestro zawsze był na miejscu, chyba nie bardzo lubił wyjeżdżać. Niemal każdą przerwę spędzałem w jego gabinecie, przychodziłem tam też po próbach. Przez długie godziny słuchałem jego anegdot, historyjek zabawnych i pouczających, nie tylko o muzyce. Do dziś doskonale pamiętam jego szczupłą sylwetkę w ulubionym czarnym golfie, żwawo przemieszczającą się w przestrzeni dyrektorskiego gabinetu. Taki miał zwyczaj: rozmówcę sadzał w fotelu, a sam czuł się najlepiej spacerując. Snuł wtedy niekończące się opowieści, które czasem przerywał, zatrzymując się na chwilę i podnosząc wskazujący palec. Patrzył wtedy prosto w oczy rozmówcy mówiąc: - „Autentyk!”, na podkreślenie prawdziwości tych, czasem wręcz niewiarygodnych opowieści. Potrafił też wspaniale słuchać, puentując cudzą wypowiedź jakimś krótkim i celnym stwierdzeniem. Choć tak wiele czasu spędzałem w Jego towarzystwie, zawsze miałem uczucie niedosytu. Gdy przyjeżdżałem do Wałbrzycha, już po zakończeniu jego dyrektorowania, zawsze prosiłem Go o spotkanie, niestety o to było coraz trudniej. Gdy widziałem go po raz ostatni - jego fizyczna kondycja była już naprawdę słaba, jednak intelekt i poczucie humoru zdawały się nie ulegać w najmniejszym stopniu destrukcyjnemu działaniu czasu. Był dokładnie tym samym mądrym, pogodnym, dobrym człowiekiem, którego pamiętałem sprzed lat. Człowiekiem, który posiadał niezwykłą zdolność obdarzania innych jakąś wspaniałą energią. Tego będzie nam chyba brakowało najbardziej...

Były dyrektor Muzeum w Wałbrzychu

Z Maestro poznaliśmy się na początku Jego starań o utworzenie Filharmonii w Wałbrzychu, wówczas w mieście wojewódzkim, gdzie wszystkie instytucje podlegały Wojewodzie. Stanisław Kawczak, pierwszy szef Wydziału Kultury Urzędu Wojewódzkiego w miarę regularnie organizował spotkania kierownictw placówek kultury, na których omawiane były problemy tych instytucji, koordynowane terminy imprez, premier i wernisaży. Praktyka ta kontynuowana była zresztą przez wiele następnych lat, także po utracie przez Wałbrzych statusu miasta wojewódzkiego. W tych naradach często uczestniczył dyrektor Józef Wilkomirski, a jego propozycje, ze względu na wieloletnie doświadczenie, często były brane pod uwagę. Skłonność do dyskusji i rozważania spraw pod wieloma aspektami była znaną cechą Maestro.

W kadencji 1994 - 1998 byliśmy radnymi Rady Miejskiej w Wałbrzychu. Na sali obrad siedzieliśmy obok siebie, co umożliwiło nam wymianę poglądów na temat rozpatrywanych przez Radę problemów. Często nasze wnioski były zgłaszane w trakcie obrad, głównie przez radnego Wilkomirskiego i znajdowały odzwierciedlenie w uchwałach i innych decyzjach Rady Miejskiej, której przewodniczącym był wówczas Bogusław Dyszkiewicz. Oczywiście, były też zgłaszane podczas obrad Komisji Kultury, której przewodniczył redaktor Marek Malinowski.

Mieszkając na Podzamczu, spotykaliśmy się na przystanku przy ul. Kasztelańskiej, by dojechać do pracy autobusem. Były to kolejne okazje do wymiany poglądów i dyskusji dotyczących spraw bieżących. Często na Piskowej Górze dosiadał do nas mój przyjaciel i współpracownik Ryszard Ratajczak - meloman i zażarty dyskutant. Wówczas temperatura naszych rozmów wzrastała, gdyż nie we wszystkich sprawach mieliśmy zbliżone poglądy, a głównym przedmiotem rozmów były bieżące wydarzenia w mieście, kraju i na świecie. Dowiedziałem się później, że wiele osób współpodróżujących przysłuchiwało się tym naszym dyskusjom, a niektórzy nawet się przesiadali, aby je lepiej słyszeć.

W trakcie jednej z takich rozmów w 2006 roku, uznaliśmy, iż należy uczcić zbliżającą się 80. rocznicę urodzin Maestro. Zdecydowałem, by uhonorować tę szczególną rocznicę wystawą w Muzeum. Przejrzałem z Maestro zasoby archiwalne rodziny, wybraliśmy dokumenty, fotografie i inne materiały związane z Jego działalnością w AK, studiami, powiązaniami rodzinnymi, karierą dyrygenta, a także licznymi wjazdami artystycznymi i prywatnymi po Polsce i wielu krajach na świecie. Wraz ze współpracownikami z Muzeum bardzo staraliśmy

się, by jak najlepiej wyeksponować te materiały. W dniu 5 września 2006 roku odbył się uroczysty wernisaż wystawy, którą nazwaliśmy: „Józef Wiłkomirski 80 lat - 60 lat pracy”. Był to hołd oddany wielkiemu Artyście przez Wałbrzyszan. Była moc kwiatów i życzeń, składanych przez zebranych gości i przedstawicieli władz. Wystawa przez cały czas jej trwania była tłumnie odwiedzana.

W trakcie jednego z naszych spotkań, już emerytów, Maestro zasugerował bym podjął próbę zorganizowania miejsca do spotkań osób, które chciałyby rozmawiać o różnych problemach. Udałem się do ówczesnego kierownictwa Ośrodka Kultury Spółdzielni Mieszkaniowej Podzamcze i moja propozycja została przyjęta. Wspierał mnie w tym skutecznie Kazimierz Masiuk - członek Rady Nadzorczej Spółdzielni. W ten sposób powstał Wałbrzyski Klub Dyskusyjny. Jak się z czasem okazało był to trafiony pomysł - członkowie Klubu zbierali się regularnie raz w miesiącu przez kilka lat. W debatach dominowały głównie problemy Wałbrzysza, nie brakowało jednak dyskusji politycznych i historycznych w skali kraju i reszty świata. Stałymi dyskutantami, obok Maestro Wiłkomirskiego, byli m.in.: „borysławiak” Tadeusz Skrzężyna, ówczesny prezes sądu w Wałbrzychu Roman Procyk, Marek Malinowski, Józef Sakowicz, Kazimierz Masiuk, Krystyn Hass, kolekcjoner Adam Tyszer, matematyk Jan Iwanicki, często bywał też ówczesny senator Henryk Gołębiwski. Do omówienia niektórych tematów zapraszaliśmy posłów, przedstawicieli władz miasta, działaczy kultury. Niektóre wnioski wpływające z naszych dyskusji prezentowane były, za pośrednictwem naszych kolegów - członków Rady Seniorów, radnym i władzom miasta, często z pozytywnymi skutkami.

Po kilku latach Maestro uznał, że formuła się wyczerpała i zaprzestał uczestniczyć w spotkaniach Klubu. Zapewne związane to było z prowadzonymi przez niego wykładami w Ogrodzie Sztuki w Szczawnie-Zdroju i spotkaniami w Bibliotece na Podzamczu.

Teraz pozostały już tylko wspomnienia...

**Prezes NZOZ „Stomax” w Wałbrzychu (2002 - 2021),
wykładowca akademicki**

Przed zorganizowaniem przez prof. Józefa Wiłkomirskiego Filharmonii Sudeckiej i jej Orkiestry Symfonicznej, moja wiedza muzyczna ograniczała się do stwierdzenia: „kiedy grają, a kiedy nie grają”. Dzięki Maestro z wielką przyjemnością uczestniczyłem w comiesięcznych koncertach, poznawałem jak wygląda skład orkiestry, zostawały mi w pamięci fragmenty dzieł wielkich kompozytorów. Powoli zacząłem się zaliczać do grona wałbrzyskich melomanów, którzy spotykali się na koncertach w miarę regularnie. Dyrektora i dyrygenta oglądałem z daleka, podziwiając jego energię i zaangażowanie.

W województwie wałbrzyskim pełniłem funkcję kierownika Wojewódzkiej Przychodni Stomatologicznej i Specjalisty Wojewódzkiego w dziedzinie stomatologii. Organizowałem konferencje naukowe, na które z roku na rok przyjeżdżało coraz więcej uczestników oraz cała elita profesorów, specjalistów krajowych ze wszystkich dziedzin stomatologii. W roku 1990, po jednej z bardzo udanych międzynarodowej konferencji, prof. Eugeniusz Spachowicz, krajowy specjalista w dziedzinie protetyki stomatologicznej i prof. Włodzimierz Józefowicz, kierownik kliniki protetyki w Łodzi zaproponowali mi organizację XVI konferencji Europejskiego Towarzystwa Protetyki, twierdząc, że Zamek Książ będzie spełniać wszystkie wysokie standardy. Po uzyskaniu zgody i obietnicy współpracy ze strony władz miasta i województwa, zawiązał się Komitet Organizacyjny pod moim przewodnictwem.

Konferencja odbyła się w dniach 2 - 5 września 1992 roku i zakończyła się ogromnym sukcesem. Wzięło w niej udział 300 uczestników z całej Europy, USA i Kanady. Wystawiło swoje produkty 40 firm stomatologicznych z całej Europy.

Poza programem naukowym w pamięci uczestników zostają imprezy towarzyszące. Jaką imprezę, poza kolacją koleżeńską, można zaproponować w Wałbrzychu w 1992 roku?

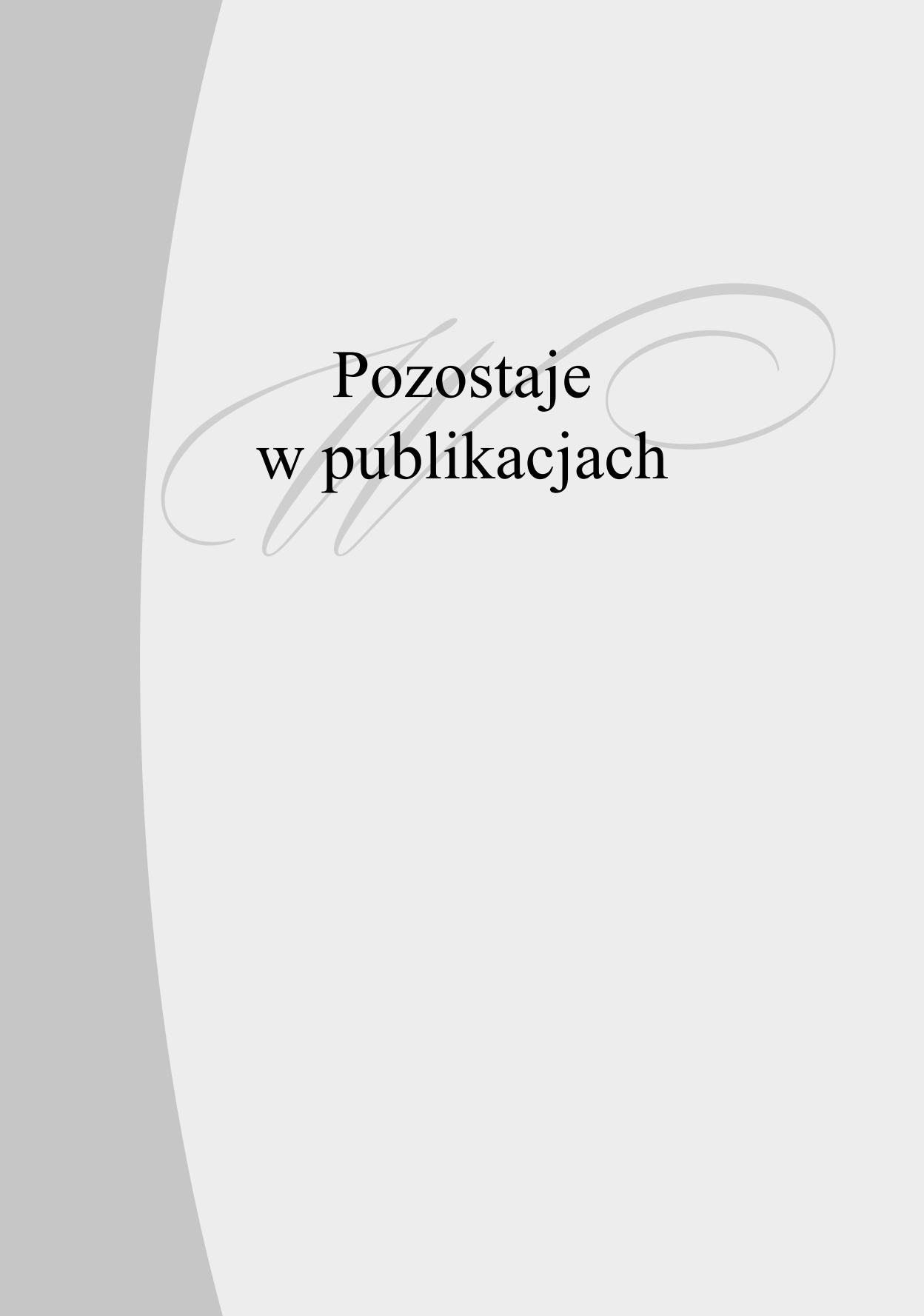
Z duszą na ramieniu udałem się do Dyrektora Wiłkomirskiego z gorącą prośbą o zorganizowanie koncertu symfonicznego dla uczestników w opactwie w Krzeszowie. Profesor przyjął mnie bardzo serdecznie. Pojechaliliśmy razem do Krzeszowa do opactwa omówić szczegóły. Profesor opracował program, prowadził koncert i oczywiście dyrygował. Był to ogromny sukces organizacyjny i artystyczny. Profesorowie z USA i Londynu gratulowali mi organizacji tego wydarzenia i twierdzili, że w ich krajach nie byłoby ich stać, aby całą Or-

kiestra Symfoniczna Filharmonii koncertowała tylko dla nich. Na marginesie, Profesor wystawił mi symboliczny rachunek, jak za koncert dla szkół.

Od tego momentu zaczęła się moja przyjaźń z prof. Józefem Wilkomirskim. Zostałem jego lekarzem stomatologiem, zaszczycił mnie propozycją zwracania się do siebie po imieniu. Przy każdej okazji prowadziliśmy długie rozmowy na różne tematy. Profesor imponował ogromną wiedzą i doskonałą pamięcią. Niejednokrotnie jego małżonka Małgorzata przerywała nasze dywagacje, bo nie mogły się zakończyć. Profesor z wielką cierpliwością uczył mnie, jaką rolę odgrywają poszczególne instrumenty w orkiestrze i jak współgrają. Wiedzę tę wykorzystywałem na koncercie filharmoników berlińskich we Wrocławiu przed trzema laty. Widziałem i słyszałem o wiele więcej niż moi przyjaciele, którzy byli razem ze mną.

Pamiętam jak profesor opowiadał o tym, kiedy był na koncercie w Berlinie, którym dyrygował von Karajan. Od tego czasu, jak mówił, sam zaczął dyrygować bez batuty, samymi dłońmi.

Rozmawialiśmy na temat jego fantastycznych felietonów, które otrzymywałem i podziwiałem celne opinie i wnioski. Wysyłałem niektóre do przyjaciół w Warszawie i Koszalinie. Podziwiałem doskonałą pamięć Profesora o jego przeżyciach z czasu wojny i Powstania Warszawskiego. Porównywałem je z opowiadaniem moich rodziców, którzy oboje byli w AK w Kielcach. Niestety, nie wszystkie mogły być po wojnie, ale i dziś publikowane. Na przykład wspólne przeżycia w Powstaniu Profesora z żołnierzami AK, czy spotkanie mojego ojca w czasie akcji w lasach kieleckich z „żołnierzami wyklętymi”. Przekazujemy je ustnie naszym wnukom, ale stwierdzam, że dla nich to już prehistoria.



Pozostaje
w publikacjach

IN - FORMATKA MAŁY FANZINE BIBLIOTECZNY

Ukazywała się od 2014 do maja 2020 roku. Józef Wiłkomirski zamieszczał w niej swoje publikacje w czterech cyklach - „Nasz felieton” (2014 - 2015), „Refleksje” (2016 - 2018) i „Moim zdaniem” (2018 - 2020). „Okiem Mistrza” to ostatnie dziesięć felietonów Józefa Wiłkomirskiego, które Biblioteka pod Atlantami publikowała na swoim FB od 27 marca do 29 maja 2020 roku.

Wydawca
PiMBP „Biblioteka pod Atlantami”
58-300 Wałbrzych
Rynek 9





O życzliwości

Są słowa używane, wręcz modne. A są również takie, które rzadko się pojawiają. Na ogół są to słowa, które po prostu „wyszły z obiegu”. Kto dziś mówi „atoli” lub „wszelako”? Są jednak i takie słowa, które bez wyraźnego powodu nader rzadko pojawiają się w potocznym języku. Z wyraźną szkodą dla pojęć ważnych społecznie. Według mnie należy do nich rzeczownik „życzliwość” wchodzący do licznej rodziny: życzliwy, życzliwie, życzyć, życzenie. Niektóre z tych wyrazów spopularyzowały się, jak na przykład liczba mnoga od „życzyć”. Z okazji różnych świąt składamy sobie mniej lub bardziej zdawkowe życzenia. Przeważnie dalekie od szczerości. Niestety.

Rzeczownik „życzliwość” - moim zdaniem - zbyt rzadko pojawia się w codziennej polszczyźnie. A jeszcze rzadziej w międzyludzkich stosunkach. Ostatnio modne stały się dwa słowa: czułość i obojętność. Pierwszego użyła - jak wiadomo - Olga Tokarczuk w swoim „noblowskim” wystąpieniu. Drugiego Marian Turski w Auschwitz. Powinniśmy być wdzięczni za zwrócenie nam uwagi na te słowa i przywrócenie im znaczenia w potocznym języku.

Ośmielam się teraz przypomnieć Państwu rzadkie w użyciu słowo „życzliwość”. Szkoda właśnie, że tak rzadko spotykane. Oto jego znaczenie: szczere, bezinteresowne, przyjazne uczucie do drugiej osoby. Chęć niesienia pomocy, zrozumienie czyichś problemów. Dzięki życzliwości możemy odczuwać więź z drugą osobą. Staje się nam bliska, a i my w razie potrzeby możemy liczyć na wsparcie. I co nader cenne: przestajemy się czuć samotnie w obcym, obojętnym świecie.

Jestem przekonany, że warto poświęcić w dzisiejszym felietonie trochę miejsca na rozważenie roli i znaczenia życzliwości w naszym codziennym życiu. A może przede wszystkim zająć się brakiem życzliwości w załatwianiu międzyludzkich dużych i małych spraw.

Obserwuję z przykrością zachowania ludzi w tzw. kolejkach w sklepie, urzędzie, przychodni. O wyraźnie demonstrowanej niechęci wobec kobiet z małymi dziećmi na rękach, osób starszych i niepełnosprawnych. O nieustępowaniu siedzących miejsc lub wpychaniu się do autobusu czy pociągu. Ale co

jeszcze gorsze, używaniu wulgarnych słów i wyzwisk. Zamiast najprostszej życzliwości, wyraźna nieżyczliwość z przejawami wrogości. Prośba o pomoc, wyrażona przez osobę słabszą (starszą, kalekę, matkę z dzieckiem na ręku) napotyka pogardę i często brutalność.

Brak życzliwości spotykamy również przy załatwianiu jakichkolwiek spraw w urzędach. Znamy to aż nadto dobrze z autopsji. Albo kiedy prosimy sąsiadów o ściszenie ryczącego radia czy telewizora. Przerywam tę wyliczankę, aby zamiast felietonu o życzliwości nie powstał felieton o nieżyczliwości.

Na zakończenie chciałbym, pół żartem pół serio, zaproponować powołanie Klubu Życzliwych. Bez podstawy prawnej, bez wyborów zarządu i bez prezesa. Wystarczy, że przyczepimy sobie gdziekolwiek literkę „Ż”.

Pomyślcie, drodzy Czytelnicy, jak piękne byłoby życie, gdyby Klub Życzliwych objął władzę. Żadnych kłótni, awantur, antagonizmów, intryg itp. Za to więcej uśmiechów, a mniej (lub wcale!) złowrogich spojrzeń. Bez partyjnych rozgrywek oraz walk o stanowiska, przywileje, wysokie dochody. Zamiast nichco? Tylko życzliwy uśmiech! Wręcz bezcenny. Tego Państwu życzę. Z życzliwym uśmiechem.

Słowo czy obraz

Uczeni od lat toczą spory o to, co nasz praprzodek wymyślił najpierw: pismo czy rysunek. Wbrew pozorom nie jest to sprawa błaha. Sięga w głąb ludzkiego myślenia, spostrzegania otaczającego świata i przede wszystkim kierunku i zasad funkcjonowania umysłu. Od tego bowiem zależała przyszłość naszego gatunku. Czy ważniejsza dla przetrwania była możliwość komunikacji czyli słowo, czy możliwość twórczego (nie boję się użyć tego wyrazu!) odwzorowania rzeczywistości, czyli obraz.

Słynne malowidła w grotach Altamiry i Lascaux zapoczątkowały nie tylko rozwój sztuk plastycznych, lecz także przekształcanie otaczającej człowieka materii jawnej i wyobrażonej. Tak, tak! Jaskiniowy twórca był prekursorem zarówno Michała Anioła czy Rembrandta, lecz również Newtona jak i Einsteina sięgających w głąb samej fizycznej istoty materii.

Tyle o obrazach. A słowo, przekazywane od tysięcy lat hieroglifami czy pismem klinowym? To nie tylko natchnione teksty religijne. Okazało się dopiero w drugiej połowie XX wieku, po odczytaniu kreteńskiego pisma linearnego B, że to najzwyczajniejsze sprawozdania handlowe. Ale ta „zwykłość” wskazuje, że słowo towarzyszyło człowiekowi od tysięcy lat. W codziennym życiu.

Myślę, że nie warto rozstrzygać co było wcześniej: obraz czy pismo. Najważniejsze, że pierwotny człowiek posługiwał się nimi dla doraźnych życiowych potrzeb. I to one kształtowały rozwój ludzkości. Prawa zawarte w Kodeksie Hammurabiego są nie do przyjęcia dla współczesnego człowieka. Ale to one wytyczyły rozwój myśli ludzkiej i poprzez Stary Testament doprowadziły do chrześcijaństwa i islamu. Ba, ale także do egzystencjalizmu XX wieku. Oto potęga słowa.

I pozwolę sobie wrócić do tytułu felietonu: „Słowo czy obraz”. Dla mnie to spór nieistotny. Nasi praprzodkowie nieświadomie - jak przypuszczam - odczuwali potrzebę nazywania wielkich i małych przedmiotów oraz zjawisk otaczającego ich świata. I to właśnie spowodowało, że ten świat zdobyli. Podobnie rozwija się każde nowo narodzone dziecko. Najpierw musi ten świat spostrzec, potem nazwać słowem i odmalować. A następnie sięgnąć w jego głąb. Jesteśmy w tym dążeniu niezmordowani, popełniamy błędy, ale to nas nie powstrzymuje.

Przepraszam, zacząłem moralizować. Czas kończyć. Kiedyś ludzie myśleli, że są panami wszelkiego stworzenia, wybrańcami bogów czy Boga. Kiedy uświadomili sobie, że są nic nie znaczącymi okrucami, osiągnęli prawdziwą wielkość. A czym jest ona według mojego przekonania? Odpowiedzi można szukać w słowie, obrazie, muzyce itd. Ale czy się ją tam znajdzie - nie wiem.

J.P.P.

Te trzy litery to nie jest bynajmniej szyfr jakichś tajnych służb. Ani nazwa nowej epidemii. To „konspiracyjny” skrót z okresu okupacji, który nadawano rozmaitym osobom, przekazującym poufnym szeptem rzekome informacje z Londynu czy nawet Nowego Jorku. Ponieważ coraz mniej jest żyjących i pamiętających tamte dawne czasy, pozwolę sobie na krótkie wspomnienie.

Polakom pod niemiecką okupacją nie wolno było posiadać (i słuchać) radia. Za nieposłuszeństwo groziło natychmiastowe zesłanie do obozu koncentracyjnego. Tak więc Polacy mogli czerpać informacje wyłącznie z tzw. gadzinówki, czyli wydawanej przez Niemców gazety. Nie pamiętam nawet jak się nazywała, ponieważ nigdy nie miałem jej w ręku. Podobnie było z kinami. Istniał nieoficjalny nakaz przedstawicieli polskiego rządu w Londynie całkowitego bojkotu okupacyjnych mediów. Pamiętam dobrze wierszyk „Tylko świnię siedzą w kinie”.

Skąd zatem czerpaliśmy informacje o sytuacji na frontach? Po prostu z tzw. nasłuchu BBC, czyli radia londyńskiego. Z niego wykonywało się chałupniczo gazetkę o nazwie „Biuletyn informacyjny”. Za jej posiadanie także groziły kary.

Ponieważ jednak Warszawiacy byli spragnieni informacji, przekazywano je z ust do ust. I, jak to zwykle bywa, obok wiadomości prawdziwych, krążyły najzupełniej nieprawdopodobne. Można domniemywać, że i te rozpowszechniano w dobrej wierze, pomimo iż były często wręcz fantastyczne. I stąd nazwaliśmy je J.P.P., czyli Jakaś Pani Powiedziała. Podejrzewam, że roznosiły je jakieś starsze panie, nie wzbudzające swoim wyglądem podejrzeń u krążących wszędzie patroli niemieckich policjantów i żandarmów. Te panie wykorzystywały swój godny wygląd i zdarzało się, że po prostu szeptem informowały przechodniów na ulicy o kolejnej klęsce Niemców na którymś z frontów. Ja, mając wówczas kilkanaście lat, śmiałem się z tej pseudo-konspiracyjnej działalności. Dzisiaj myślę, że te starsze panie spełniały jakże ważne zadanie. Podnosiły, jak się to mówiło, „ducha w narodzie”, krzepiły, dodawały sił. Znajomi pytali „co słyszać?” Odpowiedź brzmiała: „J.P.P. powiedziała”. A ludzie, choć uśmiechali się pobłaźliwie, pocieszali się w tamtych przerażających czasach, myśląc: „a może w tym co mówi J.P.P. jest choć trochę prawdy?” Warto o tym pamiętać, szczególnie obecnie.

Po zakończeniu wojny rolę J.P.P. przejęły państwowe gazety i radio. A tak! Pamiętam jak rozpuszczano informacje, że Stany Zjednoczone zrzucały z samolotów nad Polską stonkę ziemniaczaną aby nas zagłodzić. Organizowano nawet wyjazdy całych szkół w celu zbierania stonki na polach. Podkreślało to naszą ważność!

A i teraz oficjalna propaganda już nie konspiracyjnym szeptem, ale z rozwiniętymi sztandarami raz po raz „otrąbia” naszą wielkość dawną i obecną. Zaś ja, dziewięćdziesięcioczerolatek, zastanawiam się czy potrzebujemy teraz takich J.P.P.. I to pomnożonych przez współczesną technikę. Zamiast „pokrzepiania serc” po prostu mącą ludziom w głowach. Myślę, że słuszne jest stare powiedzenie: „bez przeszłości nie ma przyszłości”. Ale nie należy przesadzać. Tak jak absurdalnie przesadna była informacja w 1944 po wybuchu Powstania, że Amerykanie wyślą samolotami wielki desant na pomoc Warszawie, tak samo nie przesadzajmy z wiarą w urzędowe, oficjalne, optymistyczne informacje o różnych sprawach. Zamiast wielkich słów, frazesów, patosu, i megalomańskich póz, wykonujmy wszyscy po prostu swoje obowiązki. Podkreślam: wszyscy. A wówczas nie będą nam potrzebni żadni pocieszyciele w rodzaju J.P.P.

Łut szczęścia

A cóż to takiego owo szczęście, jedno z najczęściej używanych słów zarówno w języku potocznym jak i literaturze? Władysław Tatarkiewicz poświę-

cił mu książkę, w której opisał historię tego słowa od starożytności, a przede wszystkim pojęciu, którego jest nośnikiem. Po ogromnej ilości cytatów z dzieł filozofów, powieściopisarzy, poetów, historyków, Tatarkiewicz daje wręcz lapidarną definicję: szczęście to stan stałego zadowolenia. Taka definicja jest przykładem klasycznego sceptycyzmu. Wprawdzie z punktu widzenia logiki jest prawidłowa, ale w realnym świecie po prostu niemożliwa do osiągnięcia.

Nawet ktoś, komu się wszystko w życiu udaje, może przypadkiem potknąć się i upaść na równej drodze, zmoknąć w niespodziewanym deszczu, martwić się nagłą niedyspozycją bliskiej osoby, odwołaniem zaplanowanego spotkania itd., itd. Duże i małe niepowodzenia, duże i małe przykrości przerywają ów „stan stałego zadowolenia”. Czyli - mówiąc kolokwialnie - przerywają uczucie szczęścia.

Piszę to pół żartem pół serio, ale szukając szczęścia raz po raz trafiamy na niemożność osiągnięcia owego mitycznego uczucia. Dlatego - i to od młodości - zadowalałem się poszukiwaniem radości z cząstkowego powodzenia, pomyślnych zdarzeń, drobnych osiągnięć. Spróbuję przypomnieć teraz ten tok myślenia, dzięki któremu przeżyłem tyle, tyle lat w zaiste niesprzyjającym okresie historii.

Miałem szczęście (zaczynam celowo od tego słowa), że moi rodzice byli abstynentami. Podobnie jak reszta licznej rodziny. Pamiętam, że tylko raz w roku, na obiad w pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia, dorośli wypijali po jednym małym kieliszku wina. Na Wielkanoc już nie! Kolejną szczęśliwą okolicznością w moim życiu był brak w rodzinie jakiegokolwiek groźnej choroby. Wprawdzie ojciec leczył się na tzw. owrzodzenie dwunastnicy, ale to tylko powodowało ścisłe przestrzeganie diety. Ojciec był nauczycielem muzyki, a matka jeszcze uczyła się w konserwatorium muzycznym. Pieniądzy ciągle brakowało, ale biedy nigdy nie odczuwałem.

A potem przyszła wojna, którą z wyjątkiem jednej starej ciotki cała rodzina przeżyła. Podobnie było po 1945 roku. Dorośli pracowali, a dzieci skończyły studia, po których wszystkie również pracowały. Ja początkowo z różnych powodów miałem kłopoty, ale trwały zaledwie kilka lat. Tutaj przerwę wspomnienia, ponieważ byłyby - jak sądzę - nudne i zbyt luźno związane z tematem felietonu. Wystarczy krótkie stwierdzenie. Takie czy inne niepowodzenia zawodowe czy problemy zdrowotne nie odwiodły mnie od tego, co nazywa się potocznie radością życia. I to uważam za najważniejsze.

Użyłem w tym felietonie określenia „mityczne szczęście”. Powtarzam je teraz z naciskiem. Nie warto gonić za mitami (jakimikolwiek!). Wystarczą małe radości: trwające niemal czterdzieści lat małżeństwo, spokojne życie córki, zdrowy i dobrze rozwijający się wnuk. A może szczęściem jest właśnie poczuć spełnionego obowiązku. I świadomość, że nie zmarnowałem życia. Czy to

nie wystarczy? Czy to właśnie nie jest szczęściem? Czy potrzebny jest patos, wielkie słowa, majątek, tytuły, medale, zaszczyty ...?

Władza to narkotyk

Chyba każdy z nas wie, co to jest władza i nieraz, już od dzieciństwa, odczuwał jej działanie. Jako przede wszystkim bezpieczeństwo, ale niestety także przymus. To przecież władza rodzicielska, naturalna. Lecz obok tego władza to instytucja, organ, przepisy prawne.

A narkotyk to substancja naturalna lub sztucznie wytworzona o działaniu odurzającym. Pozornie władza i narkotyk mają całkowicie różne znaczenia. A jednak w życiu jednostek i grup wiążą się często i to bardzo ściśle. I niestety, na ogół niekorzystnie.

Po tym teoretycznym wstępie pozwolę sobie przedstawić moją własną hipotezę (to brzmi dumnie!) na temat zależności między władzą a narkotykiem. Nie tylko społecznie niekorzystną, ale wręcz katastrofalną. Przynajmniej w niektórych przypadkach.

Na początek dwa cytaty. Pierwszy z „Rewizora” Gogoła. Horodniczy licząc na awans do Petersburga, przechadza się dumnie po salonie i mówi: „Jak to przyjemnie być generałem”. I drugi cytat, tym razem z „Potopu” Sienkiewicza o Zagłobie kiedy został regimentarzem : - „Honores mutantmores” (zaszczyty przewracają w głowie). Oba cytaty odnoszą się, jak wynika z kontekstów, do osiągnięcia władzy.

Jakże często ludzie walczą o zajęcie wysokiego stanowiska, które zapewnia..., co zapewnia, drodzy Czytelnicy? Ano właśnie - zapewnia władzę! I stąd już tylko krok do uzależnienia od niej. Znamy z życia sytuacje uzależnienia od nikotyny czy alkoholu. Albo nawet cukru lub kawy. Ktoś niszczy swoje zdrowie, a jednocześnie zdrowie swojej rodziny. Ale te wymienione uzależnienia są mniej groźne niż narkotyki. Znamy ich nazwy i wiemy ilu dorosłym i ilu dzieciom zniszczyły życie. Zaryzykuję jednak opinię, że nie mniej groźny, a może nawet jeszcze groźniejszy z uwagi na zasięg oddziaływania jest narkotyk władzy. A tak, Szanowni Czytelnicy! Narkotyk władzy - i takie jest moje przekonanie - wywiera katastrofalny wpływ na nasze życie.

Wracam teraz do tytułu felietonu. Człowiek uzależniony od narkotyku władzy nie jest zdolny do normalnego działania. Jego widzenie świata, otaczającej rzeczywistości, funkcjonowania społeczeństwa jest pod przemożnym wpływem narkotyku władzy. To gorzej niż gdyby był zatruty alkoholem, opium czy heroiną. Jego reakcje są nieprzewidywalne, podobnie jak zmiany nastrojów.

Ale to wszystko ma jeszcze dalsze, bardziej złowrogie konsekwencje. Polityk uzależniony od narkotyku władzy demoralizuje i deprawuje najbliższe otoczenie. Prawem staje się to, co uzna za prawo, moralne to, co uzna za moralność. W moim długim życiu znałem wielu ludzi uzależnionych od narkotyku władzy. Oni po prostu nie potrafili i nie chcieli już żyć inaczej. Gotowi byli poświęcić każdą wartość etyczną, aby tylko zdobyć i utrzymać władzę. Tak jak zwykły narkoman, który robi dosłownie wszystko, aby pozyskać upragniony narkotyk. Narkoman władzy zniszczy praworządność państwa, zrujnuje budżet, zdewastuje edukację młodego pokolenia, zdemoralizuje stosunki międzyludzkie, zniekształci historię, skrzywdzi ogromną ilość niewinnych ludzi - byle tylko zrealizować swoją znarkotyzowaną żądzę władzy.

Przykro mi, że tak ponurą wizję prezentuję Państwu na zakończenie felietonu, ale uważam to za niezbędne.

Nie tylko o bibliotekach

Przed wielu laty w jakiejś dyskusji powiedziałem, że mogę sobie wyobrazić Polski bez muzyki. Będzie to smutna, lecz jednak zawsze Polska. Ale bez literatury po prostu wyobrazić sobie Polski nie mogę. Oczywiście, jak to zwykle bywa w ferworze dyskusji, tego rodzaju uogólnienie jest uproszczone i nieprecyzyjne. Prezentowało jednak moje przekonanie, że język świadczy o narodowej tożsamości.

Po powrocie z emigracji wielki poeta Antoni Słonimski powiedział: (cytuję z pamięci) „człowiek może władać wieloma językami, ale język ojczysty ma tylko jeden. I dlatego należy go szanować i kochać”.

Dzisiaj ze zgrozą obserwuję niszczenie naszej ojczystej polszczyzny przez kłamstwa, frazesy, banały i różnego rodzaju prawnicze manipulacje. Niestety w tym haniebnym procederze biorą udział niektórzy politycy, prawnicy i dziennikarze. I w tym miejscu pozwolę sobie na apel do mediów: nie dajcie się wciągnąć do tej brudnej gry. Niech takie piękne słowa jak prawda, przyzwoitość, uczciwość towarzyszą wam w życiu codziennym i zawodowym. I pamiętajcie, że nośnikiem tych słów jest polska literatura. Utrwalona w tysiącach dzieł naszych pisarzy. I znajdująca się na półkach wielkich i małych bibliotek.

Piszę o tym śmiało, ponieważ mając zaledwie sześć czy siedem lat otrzymałem od rodziców pierwszą „biblioteczkę”. Była to etażerka. (Kto nie zna słowa może je znaleźć w słowniku wyrazów obcych). Razem z etażerką dostałem kilka książek i mały katalog. Pomimo upływu dziesięcioleci, dobrze pamiętam radość z tego, że to były MOJE książki i moja własna BIBLIOTEKA.

Od tego czasu do dzisiaj (to ponad 80 lat!) na każde święta, urodziny czy imieniny dostaję książki. Obecnie na regałach stoi ponad 7 tysięcy, które moja żona co tydzień „bohatersko” odkurza. Latami mogłem nie słuchać radia, nie oglądać telewizji, ale nie wyobrażam sobie nie czytania książek. Nawet wczoraj czytałem przed snem. A dzisiaj, jak tylko skończę ten felieton, również przeczytam choćby jeden rozdział książki, którą dostałem z okazji imienin.

I jeszcze wspomnienia, tym razem z lat okupacji. Mieszkałem wówczas w Warszawie u ciotki, która miała skromną bibliotekę, tzw. boyowską z tłumaczeniami literatury francuskiej. A jedna sąsiadka miała kompletne wydanie dzieł Żeromskiego, zaś druga zbiór dramatów Wyspiańskiego. Tak więc miałem co czytać.

Przepraszam, przerywam. Straszliwe wspomnienia okupacyjne łączą się w mojej pamięci nierozzerwalnie nie tylko z powstaniem, obozem jenieckim, bombardowaniem Hamburga, lecz także z literaturą. Dlatego obecnie każdą bytność w publicznej bibliotece traktuję jako osobistą przyjemność. Jak mógłbym nie odczuwać radości patrząc na stojące setki książek? Ba, czyż nie są przykładem pięknej ludzkiej wspólnoty? Biblioteki nie mogą dzielić, mogą tylko łączyć. I dlatego - piszę to z goryczą - są tacy, którzy w imię przesądów palą książki i zamykają biblioteki. Dla których ważniejsze są ideologie, partie, stanowiska, majątki. Chyba nie przesadzam, ale tak sobie myślę, że miłość do książek jest naprawdę wspaniałym uczuciem i winna być wspierana przez wszystkich dla dobra wszystkich.

Plusy i minusy statystyki

Od końca XIX wieku statystyka zdobyła status nauki. Ba, szybko stała się niezbędna w tak różnych dziedzinach wiedzy jak np. historia czy genetyka. A także przy funkcjonowaniu ekonomii, polityki, nie wspominając o fizyce. Niewątpliwie zasługi statystyki nie powinny jednak przesłonić jej wad i słabości. Wynikają one przede wszystkim z niewłaściwego traktowania tak ważnego narzędzia jakim są po prostu pytania ankietowe. I o tym chciałem pisać w dzisiejszym felietonie. A sprawa dotyczy czytelnictwa.

Od kilku lat raz do roku przeprowadza się badanie dotyczące tak ważnej społecznie dziedziny kultury. Podstawowe pytanie brzmi: „Ile książek przeczytał statystyczny Polak w ciągu minionego roku?”. Moim zdaniem pytanie jest po prostu błędne. Całkowicie! Określenie „książek” jest nieprecyzyjne i z pewnością każdy poważny statystyk odrzuciłby je natychmiast. Co to bowiem jest książka? Pewna ilość kartek połączonych w określony sposób. Co zawierają? Rymowaną poezję?

Zgoda. Podręcznik tzw. wyższej matematyki? Oczywiście. Powieści i sztuki dramatyczne? Niewątpliwie. Wykresy, tabele, równania? Jak najbardziej. Itd., itd.

A zatem pytanie: „ile książek przeczytał statystyczny Polak” traci w ogóle sens. Jak można porównywać książki o tak diametralnie różnej treści? Oszczędzę PT Czytelnikom, przez litość, dowcipów o ewentualnym porównywaniu książki telefonicznej z książeczką do nabożeństwa, a książki z rozkładem jazdy PKP z katalogiem wystawy malarskiej.

Jak wynika z treści poprzedniego akapitu pytanie ankietowe ile książek ktoś przeczytał w ciągu roku jest statystycznie bezwartościowe. Tym bardziej, że celowo pominąłem podstawowy czynnik: objętość czyli ilość stron. Jak można bowiem łączyć w jedno określenie „książka”, np. trytomowy „Potop” Sienkiewicza ze 120-stronicowym „Upadkiem” Camusa? Jak widać tego rodzaju zestawienia są niczym innym jak „wrzucaniem do jednego garnka” najróżniejszych składników, niczym w rzeczywistości nie połączonych poza nazwą.

Nie ośmielam się sugerować autorom tego rodzaju ankiet, aby zrezygnowali w przyszłości całkowicie z ich przeprowadzania. I doradzić, aby doprecyzowali pytania. Kilkadziesiąt lat temu uczono mnie, że każde pytanie musi być tak zadane, aby dokładnie badało to czego dotyczy. Najprostszy przykład: pytanie: „ile książek przeczytałeś w ciągu roku?” powinno się rozszerzyć o słowa: „oraz jakich”. Taka odpowiedź będzie miała wartość poznawczą. Jest to o tyle ważne we współczesnym świecie, że telewizja, radio czy portale internetowe zalewają nas przeróżnymi informacjami, pochodzącymi z rozmaitych źródeł. W tej sytuacji konkretne badania pełnią wręcz bezcenną rolę w oddzieleniu ważnych spraw od drugorzędnych. Ja sam chciałbym się dowiedzieć jaki rodzaj literatury preferują moi rodacy, czym się interesują, jakie zagadnienia ich pasjonują. A nie ilość jakichś nieokreślonych książek. Zatem powtarzam: nie ilość a rodzaj książek da nam rzetelny obraz czytelnictwa i pomoże w wytyczeniu jakiejś sensownej polityki wydawniczej.

Przerywam, aby PT Czytelnicy nie uznali mnie za starego naiwniaka.

O hipokryzji i nie tylko

Ten pochodzący z łaciny wyraz wszedł do potocznego języka i odpowiada polskiemu wyrazowi obłuda. A synonimami są: fałsz, kłamstwo, dwulicowość, nieszczerłość, udawanie, zakłamanie. Zaś wyraz hipokryta (hipokrytka) oznacza człowieka obłudnego, dwulicowego, nieszczerego, fałszywego, zakłamanego.

Hipokrytę można spotkać w każdym zawodzie i na każdym stanowisku. I nie ma ograniczeń wiekowych. Małe dziecko przy pomocy pocałunku,

ukrywa przed rodzicami zepsucie nowej zabawki czy wylewanie do zlewu niesmacznej (choć zdrowej!) zupki. Z kolei rodzice mówią dzieciom z ostentacyjną czułością, że wychodzą niespodziewanie do pracy i obiecują jakiś prezencik, a w rzeczywistości idą na towarzyskie spotkanie. Ale te wszystkie większe i mniejsze kłamstwa i kłamstewka są błahostkami przy obłudzie w stosunkach między pracodawcami a pracownikami, czy zwierzchnikami a podwładnymi. Itd. Grzęźniemy w codziennej obłudzie.

Myślę jednak, że szczyty hipokryzji znajdują się w polityce i one będą treścią dzisiejszego felietonu. A w moim długim życiu osobiste doświadczenia sąsiadują z wydarzeniami historycznymi. Zacznę od „prehistorii” czyli wspomnień z dzieciństwa.

Pamiętam dokładnie plakaty sprzed roku 1939 i dumne hasło „silni - zwarcici - gotowi”. Okazały się kłamstwem. W rzeczywistości byliśmy jako państwo słabi i nieprzygotowani. Dodam złośliwie, że zwarcici byli tylko najważniejsi dostojnicy uciekający zagranicę. A także politycy, którzy znaleźli schronienie najpierw w Rumunii i Francji, potem w Anglii. I tam oskarżali się wzajemnie o wrześnieową klęskę. Jakaż obłuda!

Ja i cała rodzina przeżyliśmy koszmar pięciu lat okupacji. Miałem wtedy za ledwie kilkanaście lat. A kiedy w maju 1944 skończyłem 18 lat, zostałem żołnierzem Armii Krajowej. Wziąłem udział w Powstaniu, zostałem ranny i wraz z kolegami powędrowałem po kapitulacji do obozu. Kiedy się walczy, nie ma miejsca na hipokryzję. Życie wydaje się jasne i proste. Niestety skończyło się to wraz z powrotem do kraju w połowie grudnia 1945 roku. Ówczesne władze z jednej strony obłudnie uznawały bohaterstwo warszawskich powstańców i ludności cywilnej, a z drugiej strony stosowały większą lub mniejszą dyskryminację byłych Akowców. Taką hipokryzję i ja przeżywałem w pracy i na studiach. Ciągłe byłem traktowany z pewną podejrzliwością przez PZPR i UB. Dobrze to pamiętam.

Po transformacji w roku 1989 podejrzliwość pozostała. Nowe władze obłudnie oceniały wysoko moje zawodowe osiągnięcia, ale przy różnych okazjach dawały mi ją odczuć. Odesłano mnie wreszcie na emeryturę, lecz bez jakiegokolwiek podziękowania, choćby w postaci zdawkowego pisma! Kończę ze wspomnieniami.

Czas wrócić do spraw ogólnych, a są one znacznego kalibru i należą często do przestępstw kryminalnych. Ujawnione i niestety liczne przypadki pedofilii nie mieszczą się w krótkim felietonie. Chcę jedynie wspomnieć o wręcz przerażającej hipokryzji wysokich dostojników kościelnych przy zatajaniu plugawych faktów. Równie to odrażające, jak ongiś palenie na stosie za herezje czy czary. Choć z niechęcią, będę musiał kiedyś do tego wrócić.

Taką nader ważną, ogólną sprawą jest również to, co dzieje się teraz w naszym kraju a co nawiązuje do obrzydliwych metod hipokryzji z lat 1945 -56. Rażąca prywatą, niekompetencja, lekceważenie prawa, podwójna moralność dyskwalifikują rządzącą ekipę. I co jeszcze gorsze, demoralizują - muszę to stwierdzić ze smutkiem - znaczną część społeczeństwa. Co jest już wręcz groźne.

Dlatego mam jeszcze nadzieję, że skończą się wreszcie rządy bezkarnych, zadufanych w sobie hipokrytów.

DIALOGI POLSKIE

Teatrzyk CZERWONY PAJĄK przedstawia

Dialog I

Osoby:

ANIOŁ STRÓŻ

PREZES

ANIOŁ STRÓŻ - Dlaczego uparcie dzielisz naród polski?

PREZES - To konieczne. Najwyższy czas, aby wreszcie wyeliminować z naszego narodu przeróżne kanalie, nędzników, obcych agentów, szkodników itp. Osoby drugiego sortu.

ANIOŁ - Według jakiego kryterium dokonujesz takiego podziału?

PREZES - Kryterium jest tylko jedno: albo ktoś jest ze mną albo nie ma dla niego w Polsce miejsca. Żadnego protestu czy sprzeciwu nie toleruję.

ANIOŁ - I według tego samego kryterium dzielisz inne państwa?

PREZES - To jasne. Jeśli rząd jakiegoś kraju popiera moje działania, uważam go za przyjazny. Jeśli ośmiela się krytykować to, co robię - uznaję go za nieprzyjazny wobec Polski.

ANIOŁ - I tak samo traktujesz nawet najwyższe instancje Unii Europejskiej, której Polska jest członkiem?

PREZES - Unia Europejska nie ma w ogóle prawa krytykowania suwerennego

państwa, które z woli narodu prowadzę do szczęśliwej przyszłości. I nikt mi w tym nie przeszkodzi!

KURTYNA
opada szczęśliwa

(napisane 9 lipca 2019)

Dialog II

Osoby:

ANIOŁ STRÓŻ

SZERYF

ANIOŁ STRÓŻ - Dlaczego zamiast konsekwentnie walczyć z różnymi formami przestępczości, tyle energii i czasu poświęcasz na wojnę z wymiarem sprawiedliwości?

SZERYF - Uważam, że największym zagrożeniem dla polskiego wymiaru sprawiedliwości jest mafia sędziowska.

ANIOŁ - Co nazywasz mafią sędziowską?

SZERYF - Skorumpowanych prawników na rozmaitych stanowiskach, poczynawszy od sędziów Sądu Najwyższego.

ANIOŁ - Ależ to są uznane autorytety prawnicze!

SZERYF - To oni sami nawzajem uważają się za autorytety, nadają sobie tytuły profesorów i nie dopuszczają do ważnych stanowisk młodych, utalentowanych i ambitnych prawników np. takich jak ja.

ANIOŁ - A kto ma o tym decydować?

SZERYF - Minister Sprawiedliwości.

ANIOŁ - Czyli ty osobiście?

SZERYF - Ta, właśnie tak! Tym bardziej, że jestem zarazem Prokuratorem Generalnym. I nie pozwolę, aby skorumpowani sędziowie i przeróżni przestępcy decydowali o tym, co jest w Polsce zgodne z prawem. Skończą się wreszcie rządy sędziowskiej mafii i popierającego ją Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej!

KURTYNA
spada zgodnie z prawem

(napisane 11 lipca 2019)

Dialog III

„Jak w banku”

ANIOŁ STRÓŻ - Czy wiesz, że wielu ludzi nazywa cię kłamcą?

PREMIER - To obelżywe określenie jest zemstą różnych przegranych nieudaczników wobec mnie, osoby, której udało się być znakomitym bankowcem, ekonomistą i szefem rządu.

ANIOŁ - Ludzie wypominają ci twoje liczne niespełnione obietnice. Czy mają rację?

PREMIER - Wszystkie moje niepowodzenia jako premiera były wynikiem ogólnoswiatowego kryzysu, a także zawiści krajów, które nie potrafiły rozwijać się tak jak nasz pod moim kierownictwem.

ANIOŁ - Ludzie obciążają cię odpowiedzialnością za fatalną pracę większości ministrów twojego rządu.

PREMIER - To kłamstwa. Mój rząd ma same sukcesy w rozwoju kraju. Pokazują to statystyki.

ANIOŁ - Ludzie mają wątpliwości w sprawie twojej wrocławskiej działki.

PREMIER - To kolejne kłamstwo. Działkę kupiłem, ponieważ odpowiadała mi cena i położenie. A że przepisałem ją na żonę, to zgodne z prawem. Mamy po prostu rozdzielną majątkową. Czas, mój Aniele, abyś przestał wierzyć w te wszystkie plotki. Ja bardziej znam się na ekonomii, prawie, rządzeniu czy polityce niż ci wszyscy sklerotyczni pseudo-mędracy.

KURTYNA
spada z podziwu

(napisane 13 lipca 2019)

Dialog IV

„Zawsze wygrywam”

ANIOŁ STRÓŻ - Czy warto było po raz drugi kandydować na stanowisko nie aż ważne i decyzyjne?

EUROPOSŁANKA - Dla ważności sprawy - warto.

ANIOŁ - Jakiej sprawy?

EUROPOSŁANKA - Pozycji Kościoła w Polsce.

ANIOŁ - Czy nie przesadzasz?

EUROPOSŁANKA - O, nie! Kiedy walczyłam o to, aby Donald Tusk nie został ponownie wybrany na przewodniczącego Rady Europejskiej, sprawa dotyczyła moralnego autorytetu katolickiej Polski.

ANIOŁ - A twoje starania o wysokie nagrody dla ministrów i ciebie samej również dotyczyły prestiżu i moralności?

EUROPOSŁANKA - Oczywiście. A zwłaszcza moralności, gdyż nagrody były zasłużone. Dlatego zawsze wygrywam. Tym bardziej, że popiera mnie większość Polaków. Żaden z kandydatów w wyborach do Parlamentu Europejskiego nie miał tak wysokiego poparcia wyborców. Dlatego zwyciężam. To dzięki mnie Andrzej Duda został prezydentem, pokonując Bronisława Komorowskiego.

ANIOŁ - Ale jednak w innych zmaganiach poniosłeś klęski?

EUROPOSŁANKA - Ja? Wręcz przeciwnie! We wszystkich walkach odniosłam zwycięstwo. Ważniejsze niż każde inne. Zwycięstwo moralne. To ono zostanie w pamięci narodu. A nie te przyziemne, brudne oszczerstwa o moich rzekomych korzyściach czy przywilejach.

KURTYNA

spada bez żadnego uprzywilejowania

(napisane 15 lipca 2019)

Dialog V

„Kulturolog”

ANIOŁ STRÓŻ - Czy nie żałujesz, że wywołałeś niechęć i sprzeciw twórców, artystów, działaczy kultury, historyków?

PROFESOR - Nie żałuję. Jestem przekonany, że miałem i nadal mam rację. Moje działania oczyszczą atmosferę wokół kultury i skompromitują rzekome autorytety.

ANIOŁ - Czy nie dopuszczasz myśli, że te rzekome autorytety przyniosły Polsce międzynarodową sławę?

PROFESOR - Sławę? To kolejny mit. Przecież te wszystkie nagrody, wyróżnienia, wywiady nie interesują milionów zwykłych ludzi. Obecna kultura to po prostu jedna wielka sitwa karierowiczów. Organizują przeróżne przeglądy, konkursy, festiwale sami dla siebie. A rzekoma międzynarodowa sława? Na jeden sezon. Kto dzisiaj czyta nagrodzone przed zaledwie kilku laty książki? Albo słucha utworów muzycznych z ostatnich festiwali? Ogląda dziwacz-

ne teatralne inscenizacje? Chodzi na tzw. wystawy współczesnego malarstwa. Dlatego moim zadaniem jest przywrócić świetność polskiej kulturze. Czas przypomnieć o wielkiej tradycji narodowej opartej na trwałych wartościach jakimi były moralność katolicka i patriotyzm.

ANIOŁ - To dlatego pozbywasz się zasłużonych osób z instytucji kultury, takich jak np. teatry czy muzea?

PROFESOR - Mam czyste sumienie, nikogo nie pozbawiam możliwości pracy w wybranym zawodzie. A o zasługach zadecyduje społeczeństwo. I ja, jako jego przedstawiciel, odpowiadający za pielęgnowanie tego, co stanowi prawdziwe „dziedzictwo narodowe”.

KURTYNA

spada w ramach tego dziedzictwa

(napisane 17 lipca 2019)

Dialog VI

„Cenzor”

ANIOŁ STRÓŻ - Czy nie martwi cię kiepska opinia jaką mają o twojej telewizji tzw. opiniotwórcze media?

CENZOR - Kiedy jestem przekonany o słuszności tego co robię - nie mam żadnych zahamowań.

ANIOŁ - Pomimo zarzutu różnych środowisk, że w tzw. telewizji publicznej brak interesujących programów, a wszelkie informacje są rażąco jednostronne.

CENZOR - To oznacza tylko, że nie popieram ordynarnych antyrządowych oszczerstw. Proszę zauważyć, że do dyskusji przed kamerami zapraszam ekspertów o różnych światopoglądach. Transmituję „na żywo” msze oraz inne uroczystości religijne, a także wszelkie imprezy państwowe: obchody rocznicowe, pochody, defilady, wizyty zagranicznych dostojników oraz rozmaitych sławnych osobistości. No i wreszcie ważne mecze. Każdy telewidz może znaleźć coś interesującego dla siebie.

ANIOŁ - Opozycja skarży się, że nie udzielasz jej niemal wcale czasu antenowego. Że cenzurujesz ich teksty.

CENZOR - Telewizja publiczna utrzymywana jest, jak wiadomo, z budżetu. Nie będę trwonił państwowych pieniędzy na antypaństwowe działania. Szkodliwe i wręcz niebezpieczne. Inspirowane przez wrogie Polsce zagraniczne ośrodki.

Moim patriotycznym obowiązkiem jest temu przeciwdziałać bez przerwy, codziennie. I to właśnie robię jako prezes publicznej telewizji.

KURTYNA
spada z obowiązku

(napisane 19 lipca 2019)

REFLEKSJE

Książki mojego dzieciństwa

W różnych wywiadach powtarzałem, że w dzieciństwie na rozwój mojego umysłu i charakteru najbardziej wpłynęły: dom rodzinny, wojna i książki. Dzisiaj chciałbym powspominać właśnie książki mojego dzieciństwa. Oczywiście te, które ocalały w mojej pamięci.

Alcott - „Małe kobiety” i „Mali mężczyźni”, Kingsley - „Heroje”, Beecher-Stowe - „Chata wuja Toma”. Nie mogę się powstrzymać od komentarza, że zestaw tych tytułów był raczej bardzo przypadkowy dla sześciolatka.

Nie pamiętam nazwiska autora „Przygód kapitana Hatterasa”. Był to opis samotnej wędrowni podróżnika przez Antarktydę. Do dzisiaj pamiętam, że książka zrobiła na mnie ogromne wrażenie. Innego rodzaju emocje wzbudziła powieść Twaina „Księżę i żebrak”. Przypuszczam, że zainspirowała pierwsze zainteresowanie historią. „Przygody Tomka Sawyera” i „Przygody Hucka” Twaina, „Biały kiel” i „Zew krwi” Londona oraz zbiory ich opowiadań to następne etapy mojego rozwoju w dzieciństwie. Gdzieś obok miało miejsce głębokie przeżycie, które na zawsze pozostało w mojej pamięci : „Chłopcy z Placu Broni” Molnara. Śmierć Nemeczka oblałem rzewnym łzami, a zakończenie powieści stało się prawdopodobnie fundamentem przyszłego sceptycyzmu.

„Starą baśń” uznałem za okropnie nudną i nigdy do niej nie wróciłem przez całe długie życie. Kochałem natomiast baśnie Andersena i niektóre (w łagodnej wersji dla dzieci!) z „Baśni 1001 nocy”. Wracalem także do „Przygód Kacperka Góreckiego Skrzata” Kossak - Szczuckiej i „Księcia Godfryda, Rycerza Gwiazdy Wigilijnej” Górskiej. O ile mogę ufać pamięci, to wszystkie te książki czytałem w wieku od 6 do 10 lat. Nieco później poznałem obie „Księgi dżungli” Kiplinga. Oraz jego „Takie sobie bajeczki”. Nadal z przyjemnością czytałem baśnie z różnych krajów z wyjątkiem ... baśni braci Grimm. Do kilku - może kilkunastu - wraca-

łem, pozostałych dziesiątków po prostu nie lubiłem. W tym niektórych najpopularniejszych. Dopiero po wielu latach, jako dorosły, dowiedziałem się o bliskim pokrewieństwie pomiędzy sagami germańskimi a baśniami Grimma. I wówczas zrozumiałem swoją do nich niechęć. Tak samo nie podobały mi się (w wersji skróconej) „Przygody don Kichota”. Dziesięcioletni chłopiec nie mógł ocenić wielkości arcydzieła. Lubiłem natomiast „Ucieszne przygody Dyla Sowizdrzała”.

Mniej więcej, jeśli dobrze pamiętam, po Twainie i Londonie poznałem powieści Maya i Curwooda. Nie podobały mi się, choć nie wiem dlaczego. Wołałem Coopera, a w szczególności „Ducha puszczy”. Sympatie dziecka trudno zanalizować. W tym samym czasie dostałem w prezencie „Quo vadis” w formie in quarto z ilustracjami Piotra Stachewicza. (Uwaga na marginesie: jak wytłumaczyć, że takie szczegóły pozostają w pamięci po prawie osiemdziesięciu latach!). Byłem zachwycony i sięgnąłem po „Krzyżaków”. Pamiętam, że doznałem zawodu. Dlaczego - do dzisiaj nie potrafię wyjaśnić. A zaraz potem zacząłem czytać... „Trylogię”. Nie wiem czy to była odpowiednia lektura dla dziesięcio- czy jedenastolatka. „Ogniem i mieczem” mnie zawiodło. Główni bohaterowie nie potrafili zdobyć mojej sympatii. Ale opis bitwy pod Beresteczkiem do dzisiaj pamiętam, a w szczególności księcia Wiśniowieckiego pędzącego na koniu z odkrytą głową. Późniejsza moja wiedza o jakże odpychającej postaci strasznego Jaremy nie przesłoni obrazu stworzonego przez Sienkiewicza.

A tak na marginesie: na tym właśnie polega magia wielkiej literatury. Nie mającej nic wspólnego z prawdą historyczną. Wracając do „Trylogii”, to moim bohaterem przez długie lata był Kmicic. Dlatego do II i III tomu „Potopu” wracałem wielokrotnie. Zdarzało się, że kiedy wieczorami byłem zmęczony walką o przetrwanie instytucji w której pracowałem - sięgałem po sfatygowany III tom i czytałem ostatni rozdział. Opis wejścia do kościoła Laudy jest arcydziełem. Zachwycam się nim jako chłopiec i nadal zachwycam. Żałuję, że nie miałem okazji, aby próbować przekonać młodych czytelników do piękna języka i mistrzostwa opisu. Właśnie dlatego kocham Sienkiewicza, pomimo że dzisiaj drażnią mnie i śmieszą wsteczne opinie i komentarze wielkiego pisarza do współczesnych mu czasów.

Miałem nie więcej niż 7 - 8 lat, kiedy matka kupiła używaną etażerkę i mały notes z alfabetem. I powiedziała: „to twoja biblioteczka”. Poczuję się „posiadaczem”. Dzięki temu moja miłość do książek zyskała materialne podstawy.

Czas wspomnieć o poezji. Znałem oczywiście wiersze Konopnickiej, Porazińskiej, Szelburg - Zarębiny i Jachowicza. Niektóre potrafiłem recytować z pamięci, np. „Stefka Burczymuchę”. Nieodmiennie rozrzewniał wiersz Porazińskiej o wędrującym księżycu. Zapomniałem niestety tytułu. Ponieważ w Łodzi nie było osobnego teatru dla dzieci, tej dziedziny literatury nie mo-

głem poznać. Powetowałem to sobie dopiero po wielu latach chodząc z córką do wałbrzyskiego Teatru Lalek.

Mniej więcej w wieku 10 - 11 lat wpadła mi w ręce w czasie wakacji powieść „Na srebrnym globie” Żuławskiego. Kiedy zacząłem czytać ostatni rozdział nie mogłem opanować wręcz histerycznego płaczu. Przybiegli przestraszenie rodzice, myśląc, że - jak to się wtedy mówiło - zrobiłem sobie jakąś krzywdę. Ciekawe czy dzisiejsze dzieci także reagują głośnym płaczem w czasie czytania? Czy są równie wrażliwe na literaturę jak ja byłem w latach trzydziestych ubiegłego stulecia? Muszę zresztą dodać, że następne dwa tomy powieści Żuławskiego „Zwycięzca” i „Stara ziemia” nie zrobiły już na mnie wielkiego wrażenia.

Te skrótowe wspomnienia niech będą wyrazem wdzięczności dla pisarzy, którym zawdzięczam najgłębsze doznania. Równie tym, których dostarczają nam sztuki plastyczne i muzyka. Współczuję ludziom, których wrażliwość na piękno nie została rozwinięta w dzieciństwie. Szkoda, że o tym zapominają politycy, pedagodzy i rodzice.

Ach, ta kultura

Jednym z najczęściej używanych słów w rozmaitych dyskusjach jest kultura. I zarazem najwięcej wokół niej nieporozumień. Tym bardziej, że przeważnie wypowiadają się o niej różni pseudo-politycy. Ba, ale zarazem uważają się za jej znawców. Ponieważ kulturą w jej najrozmaitszych odmianach, formach, przejawach zajmowałem się przez całe moje długie życie - pozwolę sobie teraz na parę uwag.

Starożytni Rzymianie kulturą nazywali... uprawę roli. A tak, szanowni działacze. Kultura po łacinie oznacza bowiem hodowlę, kształcenie, uprawę. I tak było przez setki lat. Wprawdzie już u Cyserona (I wiek p.n.e.) znajdujemy określenie *cultura animi* oznaczające uprawę umysłu, ale szersze użycie tego terminu pojawiło się w epoce Odrodzenia. Dopiero od XVIII wieku zaczęto używać pojęcia kultura w bliskim naszych czasów rozumieniu. A zatem kultura to całokształt duchowego i materialnego dorobku ludzkości. Jeśli kogoś razi wyraz „duchowego” - można go zastąpić innymi: „umysłowego”, „intelektualnego”.

Pojęcie kultury rozszerzono na całkowicie inne dziedziny życia społecznego i mówimy obecnie o: „kulturze zachowania”, „kulturze picia”, „kulturze sportowej”, „kulturze politycznej”. Itd. do kultury zalicza się przede wszystkim sztuki piękne. Nikt nie będzie kwestionował, że arcydzieła literatury, malarstwa, czy muzyki należą do ogólnoludzkiego skarbcza kultury. Ba, napisałem arcydzieła, ale co robić jeśli kiepska powieść lub wiersz, kiczowaty obraz czy prymitywna melodyjka pretendują do miana wytworów kultury? Albo tandetne przedstawienie teatralne lub wy-

stęp fałszujących muzyków? Bo przecież kultura to nie tylko przedmiot materialny lecz także wykonawstwo dzieł literackich i muzycznych.

Funkcjonowało kiedyś, popierane przez władze, określenie „kultura masowa”. Obejmowało muzykę ludową, ruch amatorski i produkcje profesjonalne bazujące na tzw. przystępnym repertuarze. Dochodziło wówczas do zabawnych nieporozumień. Czy nieudolne wystawienie przez amatorów „Hamleta” jest upowszechnianiem kultury? Albo granie XIX-wiecznej pseudo-romantycznej, cikliwej ramoty przez wybitnych aktorów? Jeszcze bardziej rażące i o wiele częstsze było rzępolenie kilku muzyków, nazywających się orkiestrą zakładową i mającą w repertuarze menueta Mozarta i mazura Moniuszki? Niestety, do dzisiaj ponosimy konsekwencje tamtego „radosnego” upowszechniania kultury. Mało tego, dostępność do elektronicznych mediów, głównie telewizji, jeszcze bardziej spłycały pojęcie kultury. Już niemal każdy może się produkować publicznie i przedstawiany jest jako artysta. Rezultat wszyscy znamy: zalew tandety.

Z tym wiąże się problem finansowy. Jak wiadomo, nasz kraj nie jest bogaty. Pieniądzy brakuje, zwłaszcza w samorządach, na ważne społeczne cele. W takiej sytuacji każda złotówka przeznaczona na kulturę powinna być mądrze wydawana. Powinna przynieść dalekosiężne efekty. Jeżeli kultura to dorobek ludzkości, to nie wolno dopuścić do marnotrawienia pieniędzy na jakikolwiek przejaw tandety. Np. na wystawę kiczowatych obrazów jakiegoś malarza, który pseudo-patriotycznymi przemówieniami pokrywa warsztatową nieudolność. Jeśli np. filharmonia organizuje koncerty edukacyjne dla dzieci i najlepsi instrumentalisci z orkiestry wykonują utwory Beethovena, Chopina, Czajkowskiego - to jest to tworzenie kultury. Kultury, która wychowuje, kształci, rozwija. Pisał o tym już przed tysiącami lat Platon. Może dzięki tej kulturze Grecy przetrwali ponad tysiąc lat bez własnej państwowości?

A jeśli ta sama filharmonia poświęca cały koncert edukacyjny na prezentację wątpliwej wartości piosenek lub pseudo-góralskiego zespółiku - to nie tylko marnuje publiczne pieniądze, ale także niszczy estetyczną wrażliwość dzieci.

I sprawa ostatnia, związana z muzyką. Wiadomo, że towarzyszy ona człowiekowi dosłownie od urodzenia do śmierci. Ale nie każdy wytwór muzyczny jest kulturą. W starożytnej Asyrii wojownikom idącym do boju towarzyszyła orkiestra harfarzy. Czy to była także kultura? A muzyczka sącząca się z głośników w sklepach i autobusach? Lub muzyka ułatwiająca maszerowanie? I wreszcie cała muzyka taneczna? Odpowiem krótko - to nie jest kultura. Tzw. muzyka użytkowa, niezbędnie potrzebna w najrozmaitszych przejawach życia społecznego, po prostu nie należy do kultury. Nikt nie umniejsza jej znaczenia ani roli, którą pełni w naszym życiu. (Sam jako student potrafiłem przetańczyć całą noc!). Ale pamiętajmy

o różnicy: dopóki Strauss grał swoje walce do tańca w wiedeńskich kawiarniach - to była tylko muzyka użytkowa. A do kultury wszedł dopiero mocą swojego talentu dzięki walcom, których się nie tańczy. Przestały być użytkowe. I to jest pointa.

Rok o dziesięciolecia spóźniony

Marian Jachimowicz urodził się w roku 1906, a do Wałbrzycha przyjechał w 1945. Pracował na różnych stanowiskach, ale przede wszystkim pisał wiersze. Był bowiem od wczesnej młodości poetą. Wiemy, że o jego utworach wypowiadał się pochlebnie Julian Przyboś. A w wałbrzyskiej Bibliotece znajdują się tomiki z wierszami Jachimowicza. Zmarł mając 93 lata.

Kiedy w roku 1977 przyjechałem do Wałbrzycha, dowiedziałem się, że żyje w nim poeta Marian Jachimowicz. Ponieważ dotąd nie znałem tego nazwiska, pomyślałem, że to pewnie taka lokalna pseudowielkość, a w rzeczywistości prowincjonalny grafoman. Od wczesnej młodości byłem wielbicielem poezji. Już jako dzieci, moja siostra i ja „na wyścigi” uczyliśmy się na pamięć wierszy Mickiewicza i Słowackiego. Potem przyszła kolej na Broniewskiego, Tuwima, Słonimskiego, Leśmiana. A jeszcze później na Szymborską, Herberta, Pogonowską, Poświatowską. A wiersze dla dzieci Szelburg-Zarębiny, Tuwima, Brzechwy do dzisiaj nie straciły dla mnie swego uroku.

Dlatego było ciekawe, że nigdy nie słyszałem nazwiska Jachimowicza, a tym bardziej nie spotkałem się w księgarniach, które regularnie odwiedzałem, z tomikami jego wierszy. Dlatego, co przyznaję ze wstydem, zaskoczyła mnie wiadomość o uchwale Rady Miasta, ogłaszającej rok 2016 Rokiem Mariana Jachimowicza. I oczywiście od razu uznałem, że to znakomity pomysł uczczenia wałbrzyskiego twórcy. A także postanowiłem poznać wreszcie jego wiersze.

To bodajże Paul Verlain powiedział: „poetą jest ktoś kto przy pomocy zwykłych słów mówi rzeczy niezwykle”. Już nawet nasi romantyczni poeci potrafili zestawiając zwykłe, codzienne, potoczne wyrazy - urzekać nas świeżym i czystym pięknem. Ich następcy, począwszy od Wyspiańskiego, wzbogacili polski język neologizmami, również wywodzącymi się często z pospolitych słów lub pojedynczych sylab.

Kiedy otworzyłem pierwszy tomik wierszy Jachimowicza, przyznaję, że obawiałem się własnej reakcji. Zbyt dużo bowiem przeczytałem kiepskich „rymowanek”, które po prostu nie były dla mnie poezją. Na szczęście lektura wierszy Jachimowicza była wręcz urzekająca. Władał polskim językiem w sposób mistrzowski. Operował zestawieniami, porównaniami, zaprzeczeniami, niedopowiedzeniami. Czytając - obcowałem z prawdziwą poezją. I poczułem wstyd. Obok mnie żył

w Wałbrzychu poeta, a ja nie nawiązałem z nim żadnej znajomości. Jakże ciekawe mogłyby być nasze rozmowy!

A następnym uczuciem była gorycz, że my wszyscy obywatele Wałbrzycha nie potrafiliśmy docenić obecności wśród nas prawdziwego poety. Nie chcę nikogo urazić, ale nie przypuszczam aby wśród tzw. wałbrzyskich twórców był ktoś na miarę Jachimowicza. Piszę to z pełną odpowiedzialnością. Dobrze zatem, że choć z wieloletnim opóźnieniem, władze miasta wreszcie postanowiły go uczcić. Dowiedziałem się również, że ma być ogłoszony konkurs poetycki jego imienia. To bardzo dobry pomysł. Ale - moim zdaniem - nie wolno na tym poprzestać. W pełni nowoczesna poezja Jachimowicza na pewno dotrze do młodzieży, zarówno do studentów jak i licealistów. Jestem przekonany, że będzie dla nich bardziej bliska niż - z całym szacunkiem - arcydzieła romantycznych wieszczów.

Ba, a może zajęłaby się tym pani minister edukacji? I ogłosiła na przykład publiczne czytanie poezji Jachimowicza przez wałbrzyskich parlamentarzystów? Albo zawody w deklamowaniu między członkami PO i PiS? Ha! A może prezydent Wałbrzycha zamówiłby u wysokiej klasy filologa, polonisty, historyka sztuki pracę naukową o poezji Jachimowicza? Albo ufundował stypendium dla młodego naukowca za napisanie rozprawy doktorskiej? Ogłoszony Rok Jachimowicza stwarza takie możliwości. Sponsorem mógłby być minister kultury i dziedzictwa narodowego przy wydatnej pomocy ministra edukacji.

A ja tak marzyłbym sobie, aby radni miejscy zamiast kłócić się wzorem posłów o politykę, połączyli swoje siły w celu wspólnego uczczenia wałbrzyskiego twórcy. Byłby to piękny dowód, że potrafimy uszanować ludzi naprawdę zasłużonych, niezależnie od ich światopoglądów.

Mam wątpliwości co do racji

We wrześniu 1956 roku wyjechałem po raz pierwszy do Paryża. Od ulubionych kuzynek (starszych ode mnie o całe pokolenie) otrzymałem list polecający do Jerzego Giedroycia, z którym były zaprzyjaźnione jeszcze przed wojną. Oczywiście zaraz po przyjeździe do Paryża zatelefonowałem do niego. Kuzynki przezornie zaopatrzyły mnie w jego numer. Przedstawiłem się i zapytałem w jaki sposób mogę dostarczyć list. Umówiliśmy się na spotkanie w kawiarni a Giedroyc od razu zapytał wprost : „Czego pan ode mnie oczekuje?”. Odpowiedziałem jednym słowem: „Książek”. Wówczas padło drugie pytanie: „A jak pan je przewiezie przez graniczną kontrolę?” Wyjaśniłem także krótko: „Jestem dyrygentem i w teczce mam zawsze grube partytury. Między nimi”. Typowa rozmowa w tamtych czasach.

Na spotkanie przyszedłem z pustą teczką, Giedroyc z pełną. Oczywiście jak mówiłem, książki przywiozłem do kraju. Na Okęciu celnik zapytał: „Co pan ma w teczce?”. Odpowiedziałem zgodnie z prawdą: „Partytury”. Nie dodałem tylko, że między nimi były książki. Celnik kredą narysował jakiś znaczek na teczce i w ten sposób przewiozłem przez kontrolę celną tzw. nielegalne druki. Niektóre książki mam do dzisiaj, inne rozebrali i nie zwrócili znajomi. Wśród książek był „Umysł zniewolony” Czesława Miłosza, napisany w roku 1953.

Ten przydługi wywód był mi potrzebny, aby przytoczyć motto, które Miłosz umieścił w swojej książce. Cytuję z pamięci: „Jeżeli ktoś twierdzi, że ma 50% racji, to jest możliwe. Jeśli ktoś upiera się, że ma 75% racji, to już jest podejrzane. Ale jeżeli ktoś wrzeszczy, że ma 100% racji to jest to gwałciciel i rabuśnik. - Przypowieść starego Żyda z Podkarpacia”.

Nie wiem czy Miłosz cytował autentyczną wypowiedź, czy też może sam ją wymyślił. Ale według mnie zawiera głęboką mądrość, nad którą warto się zastanowić. Czy jakikolwiek człowiek może być nieomylny? I we wszystkim mieć stuprocentową rację? Przecież ciągle usprawiedliwiamy własne (rzadziej cudze) błędy, mówiąc: „człowiek jest omylny.” Z góry niejako uznajemy nasze prawo do popełniania takich czy innych pomyłek. Nawet papież jest nieomylny tylko i wyłącznie w sprawach wiary i moralności. A zatem może nie mieć racji w każdej innej kwestii. A cóż my, zwykli, ułomni, słabi ludzie?

Ale, ale!... Znalazł się jeden człowiek, który posiada niezłomną wiarę (więcej - pewnością!), że dysponuje całkowitą racją i rozciąga ją w dodatku na swoich wyznawców. Oto jego wypowiedź, która wryła się w moja pamięć.

„Musimy wiedzieć, że całkowita racja jest po naszej stronie. Jeżeli będzie trzeba tę rację umocnić poprzez akty normatywne, ustawy, to z całą pewnością to uczynimy”.

Ta, moim zdaniem, kuriozalna wypowiedź warta jest analizy. Po pierwsze ten człowiek przemawia nie w swoim imieniu, ale bliżej nieokreślonej grupy zwolenników. Czy to tylko członkowie partii czy także szeroki krąg osób popierających. A co znaczy zwrot „umocnić rację aktami normatywnymi?”. Wynika z tego, że posiadacz „całkowitej” (czyli stuprocentowej) racji ma absolutną władzę wprowadzania aktów normatywnych, do ustawy włącznie. Jak wiadomo taką władzę dysponowali w przeszłości pomazańcy boży, czyli cesarze i królowie. Nazywamy ich obecnie autokratami, dyktatorami lub despotami. Kim zatem jest autor przytoczonej wypowiedzi? Myślę, że Państwo już wie, że nie muszę podawać jego nazwiska.

Pozostaje jeszcze przypomnieć jak Miłosz nazwał tego kto wrzeszczy, że ma 100% racji. Pamiętacie Państwo? W dawnym żydowskim żargonie to „gwałciciel i rabuśnik”. Ja jako człowiek pełen wątpliwości wołałbym, aby ktoś taki nie dyspo-

nowa władzą absolutną i nie mógł przy pomocy „aktów normatywnych” narzucać społeczeństwu swoich racji. I mam nadzieję, że uda mi się przetrwać nadchodzące dni. A ile ich będzie, doprawdy trudno przewidzieć.

Bez wielkich słów

W połowie grudnia 1945 wróciłem do Polski. Wielokrotnie pytano mnie prywatnie lub publicznie dlaczego podjąłem taką decyzję. Spróbuję jeszcze raz odpowiedzieć w aktualnej sytuacji politycznej.

Po wyzwoleniu w maju 45 z obozu jenieckiego XB w Sanbostel (w Zachodnich Niemczech, gdzieś między Bremą a Hanowerem) otrzymywałem różne propozycje ułożenia sobie życia. Miałem 19 lat i właściwie dla tego wieku złudzenia, że cały świat do mnie należy. Nam, byłym jeńcom proponowano rozpoczęcie studiów na specjalnym wydziale uniwersytetu w Brukseli. Uznaliśmy to za mało atrakcyjne. Następną propozycja była służba strażnika w obozie dla niemieckich jeńców. Również i ją uważaliśmy za pozbawioną perspektyw. Następnie odwiedziła nas grupa polskich oficerów. Powiedzieli, że z uwagi na możliwość wybuchu wojny ze Związkiem Radzieckim, będą potrzebowali specjalistów do walk w mieście. Mieliśmy szkolić byłych partyzantów „Bohuna”, którzy w ostatnich miesiącach wojny zdołali uciec na Zachód. Tę propozycję odrzuciliśmy z oburzeniem. „Jak to, my, powstańcy warszawscy mielibyśmy szkolić tych volksdeutschów?” (Autentyczne!). I wreszcie ostatnia propozycja, tym razem tylko dla mnie: uczestnictwo w organizowanej na terenie Niemiec orkiestrze symfonicznej YMCA. Oferowano mi pensję, mieszkanie i... wiolonczelę. Do dzisiaj nie wiem w jaki sposób mnie znaleziono. Tajemnica wywiadu wojskowego? I tej propozycji także nie przyjąłem. Postanowiłem wrócić do kraju, pomimo najrozmaitszych informacji o prześladowaniu byłych akowców.

Z regularnie słuchanych audycji warszawskiego radia dowiedziałem się, że cała moja rodzina (z wyjątkiem ciotki, która zginęła na Ochocie w czasie Powstania) mieszka i pracuje w Łodzi. A mój przyrodni brat Kazimierz jest rektorem nowo otwartej Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej. Postanowiłem zaryzykować i wrócić.

Czy kiedykolwiek żałowałem tej decyzji? Odpowiadam szczerze: nigdy. Pomimo takich czy innych najróżniejszych problemów. Łącznie z politycznymi. I nigdy nie zastanawiałem się nad głupim w istocie pytaniem: co by było gdybym jednak został na Zachodzie?

Podobnie nie wahałem się później, kiedy otrzymywałem propozycje pracy w NRF i Szwecji. Pierwszą otrzymałem w roku 1970 w Wilhelmshaven. Po kon-

cercie z tamtejszą orkiestrą burmistrz zaprosił mnie na kolację do swojego domu i zaproponował objęcie stanowiska „generalmusik director”. Podziękowałem i ... odmówiłem, mimo że zaoferował znakomite warunki finansowe. Wystarczy powiedzieć, że za jedną pensję mógłbym kupić Volkswagena, zwanego u nas garbusiem. Zbyt wiele miejsca zajęłoby przytoczenie całej rozmowy, szczerzej i serdeczniej. Inną propozycję miałem w Sztokholmie w roku 1968. Była mniej konkretna, ale również dotyczyła objęcia stanowiska dyrygenta w jednej z prowincjonalnych szwedzkich orkiestr. I wreszcie trzecia, ostatnia już propozycja, którą otrzymałem po koncercie w Baden-Baden w roku 1988. Była nieco inna. Miałem zostać profesorem klasy orkiestrowej w Music Hoch Schule w Mannheim. Gwarantowano mi koncerty z orkiestrą studencką oraz obiecywano gościnne występy w innych miastach na terenie całego RFN. Na marginesie dodam, że moja siostra Wanda była od kilku lat profesorem skrzypiec w tej właśnie uczelni w Mannheim. A ja, mimo niewątpliwiej atrakcyjności propozycji, odmówiłem.

Nie miejsce w krótkim felietonie na prezentowanie złożonych przyczyn moich decyzji pozostawania na stałe w Polsce. Proszę jedynie aby Państwo traktowali je jako przyczynek do idiotyzmów, które wygłaszają obecnie nasi pseudopolitycy na temat patriotyzmu. A nazywanie awanturników (ja osobiście nazywam ich po prostu bandytami!) na ulicach i stadionach patriotami uwłacza zarówno pamięci poległych jak i obraża miliony uczciwych Polaków pracujących dla dobra swojej ojczyzny.

Czego brakuje politykom?

Coraz częściej, mówiąc o ministrach czy posłach, używamy takich słów jak: kwalifikacje i kompetencje. Warto się im przyjrzeć. Na początek krótkie, słownikowe objaśnienie znaczenia jakiegokolwiek wyrazu oraz zakres użycia. Inaczej: definicja.

Kwalifikacje to wykształcenie, przygotowanie do zawodu, nadawanie się do czegoś, umiejętności. A kompetencje to zakres wiedzy, umiejętności, odpowiedzialności. Oba wyrazy pochodzą z łaciny. Używamy ich często rozumiejąc ich społeczne znaczenie. Mówimy o kimś, że ma wystarczające kwalifikacje do zajmowania stanowiska dyrektora. Albo o kompetentnym lekarzu. Niestety, coraz częściej obu tych słów używamy w sensie negatywnym: ktoś ma niewystarczające kwalifikacje aby kierować zespołem pracowników. Albo że jest niekompetentnym ministrem.

Pamiętam okres tzw. PRL kiedy brak kompetencji zastępowano pochodzeniem społecznym i przynależnością partyjną. Jakże często, zwłaszcza w pierwszych

latach po wojnie, robotnik zostawał dyrektorem fabryki. Sam znałem dygnitarzy partyjnych, których jedynymi kwalifikacjami do rządzenia ważnymi gałęziami gospodarki były: cztery klasy szkoły powszechnej, rok czy dwa lata pracy przy obrabiarce, przekonania komunistyczne, aresztowanie po jakiejś demonstracji, pobyt w Berezie Kartuskiej i partyzantka. A po roku 1945 zostawali posłami na sejm i zajmowali najwyższe stanowiska w państwie.

Myślicie Państwo, że po transformacji ustrojowej w roku 1989 wiele się zmieniło? Bynajmniej. Wprawdzie prawie wszyscy byli opozycjoniści uzyskali matury, ale z ukończeniem studiów wyższych były już problemy. Ba, ale zamiast tego niektórym do zajęcia wysokich stanowisk wystarczyła legitymacja partyjna. Nie chcę być złośliwy, ale bardzo, bardzo często personalne układy w kierownictwie partii były ważniejsze niż kwalifikacje. Dotyczyło to zwłaszcza kolejności miejsc na listach wyborczych do sejmiku i senatu. A także stanowisk ministerialnych i szczególnie członkostwa w radach nadzorczych państwowych spółek. Czy muszę przytaczać nazwiska?

Przykro mi o tym pisać, ale z roku na rok było coraz gorzej. Do pierwszego sejmiku po transformacji weszło wiele osób, które poza zasługami w działalności opozycyjnej, miały znaczące osiągnięcia w nauce i kulturze. Osoby te „wykruszyły się” niestety po pierwszej kadencji. A potem pojawili się ludzie, dla których działalność polityczna była jedynie odskocznią do osobistej kariery. Kto z nas dzisiaj pamięta nazwy coraz to nowych partii i partyjek? Albo nazwiska ich szefów? Charakteryzowali się jednym - brakiem kompetencji. A niestety, byli ministrami, posłami, prezesami państwowych spółek. Ba, nawet premierami! Jakie np. kompetencje do rządzenia mieli panowie Jan Olszewski, Jerzy Buzek, Leszek Miller?

Warto przypomnieć, że poza kwalifikacjami naukowymi lub zawodowymi, niezbędne są kwalifikacje moralne czy inaczej - psychiczne. Można być znakomitym naukowcem, artystą, pedagogiem, lekarzem itd., ale nie posiadać kwalifikacji do kierowania ludźmi. Myślę, że każdy z nas mógłby wymienić wiele nazwisk. Zwłaszcza spomiędzy dziś rządzących. Podam jako najbardziej rażący przykład najwyższe stanowisko w naszym kraju - prezydenta. Nie sięgając do najodleglejszych czasów, Bolesława Bieruta. Według mnie, niezależnie od ogromnych zasług, na prezydenta nie nadawał się Lech Wałęsa. A także Bronisław Komorowski, o czym publicznie mówiłem i pisałem jeszcze w czasie jego kadencji. Również Andrzej Duda nie ma - moim zdaniem - kompetencji do pełnienia funkcji Pierwszego Obywatela Rzeczypospolitej.

Proponuję, aby Państwo po przeczytaniu tego krótkiego felietonu zrobili listę obecnych ministrów i zaznaczyli który z nich ma kompetencje do zajmowanego stanowiska (obiektywnie rzecz biorąc). Opierając się tylko na tym, co robią i mó-

wią. Czy np. Witold Waszczykowski, Antoni Macierewicz, Zbigniew Ziobro, Anna Zalewska nadają się na ministrów? Albo liczni szefowie różnych najważniejszych urzędów i instytucji? Ciekaw jestem jak wypadnie Państwa test.

P.S.

Użyłem w felietonie pełnych imion i nazwisk, ponieważ dotyczą osób publicznych, które codziennie pojawiają się w mediach. Myślę, że nie grożą mi procesy o naruszenie tzw. dóbr osobistych.

Reforma oświatowa

Zamiast mądrzyć się znowu wzorem innych na temat reformy edukacji, postanowiłem wspomnieć o systemie oświaty przed II wojną światową.

Wiosną 1938 roku, mając 12 lat, zdałem do państwowego gimnazjum. Nigdy nie zapomnę tablicy przed wejściem: „Państwowe Gimnazjum Męskie im. Mikołaja Kopernika”. W Łodzi było jeszcze jedno gimnazjum męskie, im. Stefana Żeromskiego i jedno żeńskie. Niestety, nie pamiętam nazwiska patronki, prawdopodobnie była to Maria Konopnicka. O gimnazjach koedukacyjnych w tamtych latach w Polsce nie słyszałem.

Szkoły powszechne (obecnie podstawowe) miały sześć klas. Po ich pomyślnym ukończeniu można było zdawać do gimnazjum. Oczywiście były odrębnymi jednostkami oświatowymi i nie mieściły się we wspólnych budynkach z gimnazjami. Natomiast gimnazja miały również sześć klas, ale po skończeniu czterech można było zdać egzamin i otrzymać tzw. małą maturę. Uprawniała do kontynuowania nauki w rozmaitych seminariach czy instytucjach. Mój ojciec był pedagogiem w seminarium nauczycielskim, ponieważ każdy nauczyciel musiał grać na jakimś instrumencie.

Mała matura nie uprawniała do studiów akademickich. Aby mieć możliwość kontynuowania nauki, należało zdać egzaminy po ukończeniu dwóch ostatnich klas gimnazjalnych, piątej i szóstej. A te nosiły dumną nazwę: liceum. Oczywiście miały tę samą lokalizację, tego samego dyrektora i kadrę pedagogiczną. Uczniowie tych dwóch ostatnich klas gimnazjalnych byli - jak się wówczas wydawało - wręcz zarozumiali. My, zwykli gimnazjaliści mieliśmy granatowe mundurki i szynele z niebieskimi wypustkami. I tarcze, również niebieskie, z numerem naszego gimnazjum. A „ważniacy” - uczniowie ostatnich dwóch klas, czyli liceum - mieli takie same granatowe mundury ale z wypustkami w kolorze czerwonym. I tarcze w kolorze czerwonym, choć z takim samym numerem jak my, zwykli gimnazjaliści.

Dzisiaj piszę o tym z rozbawieniem, ale także z rozrzewnieniem. Zwłaszcza, że nie było mi dane kontynuowanie nauki w regularnym trybie szkolnym dłużej niż

jeden rok. Wiosną 1939 ukończyłem pierwszą klasę, a - jak wiadomo - 1 września wybuchła wojna. Potem mogłem uczyć się jedynie na rozmaitych, nielegalnych kompletach, kursach czy prywatnych lekcjach. A po powrocie w grudniu 1945 z obozu jenieckiego nie dysponowałem żadnymi w ogóle świadectwami szkolnymi. Musiałem w ciągu kilku tygodni odtworzyć moją „wiedzę” i zdać egzamin na Uniwersytet Łódzki. W Warszawie nie było jeszcze wyższych uczelni. Miałem, czego do śmierci nie zapomnę, dwa egzaminy pisemne: z języka polskiego i historii. Oraz ustne z tych samych dwóch przedmiotów i także z matematyki, geografii i angielskiego. Jakoś udało mi się wszystkie pomyślnie zdać i bodajże w marcu 1946 roku zostałem studentem wydziału historii Uniwersytetu Łódzkiego.

Miałem to szczęście, że moim pierwszym rektorem był sam wielki Tadeusz Kotarbiński. A wśród kolegów byli późniejsi znakomici naukowcy z Leszkiem Kołakowskim na czele. Kiedy po latach spotykaliśmy się przy rozmaitych okazjach, mówiłem z żalem: wy jesteście profesorami wyższych uczelni, a ja co? Oni wówczas odpowiadali: to my ci zazdrościmy, że twoje nazwisko jest na afiszach, ciebie oklaskują w kraju i zagranicą i możesz tworzyć muzykę.

Dość tych wspomnień! Czas wrócić do dnia dzisiejszego. Choć nie podobał mi się dotychczasowy system w oświacie, nie widzę sensu w dokonywanej obecnie „rewolucji”. Szkoda mi dawnej nazwy gimnazjum. Należała do tradycji. A decyzję o rozpoczynaniu nauki w szkole dopiero w wieku siedmiu lat, uważam we współczesnym świecie za zwykłą głupotę. Ale to już osobny temat na inny felieton.

Tak było - tak jest

Narzekamy na wulgaryzację i brutalizację języka. Istotnie, nawet na najwyższych szczeblach władzy coraz częściej słyszymy niewybredne epitetki i obelgi. Także z sejmowej trybuny. Chciałbym przypomnieć, choć to zapewne wątpliwa pociecha, że było tak również w przeszłości. Oto parę całkowicie autentycznych przykładów z mojego życia.

W roku 1946 Miejska Rada Narodowa (oficjalna nazwa) w Łodzi miała przejąć nowo powstałą społeczną orkiestrę symfoniczną. Część radnych była przeciwna. Krzyczała na sesji (dosłownie!): „filharmonia to ropiejący wrzód na ciele robotniczej Łodzi.” Oraz: „muzycy nic nie robią tylko grają. Za co im płacić?”

A w tym samym 46 roku o pokojowym pochodzie studentów z okazji rocznicy 3 Maja: „Robotnicy rozpędzili chuliganów”. I te słowa podała potem gazeta.

Zaś w roku 1948, ponieważ krytykowałem narzuconego przez władze dyrygenta, powiedziano o mnie: „Jako były akowiec, niszczy kulturę robotniczej Łodzi.” Na marginesie dodam, że musiałem niebawem Łódź opuścić.

A wracając do problemu orkiestr symfonicznych, to w roku 1981 określano naszą nowo powstałą filharmonię dokładnie tymi samymi słowami jak przed 35 laty w Łodzi: „ropiejący wrzód na ciela robotniczego Wałbrzycha.” Byłoby to komiczne gdyby nie było tragiczne. Zaś 10 lat później, już po transformacji ustrojowej, jakiś działacz powiedział o moich koncertach edukacyjnych dla szkół i przedszkoli (cytuję z pamięci): „Te polskie dzieci, których nie zdążył zabić Hitler, chce teraz zabić Wiłkomirski.” A pewna radna ujęła to łagodniej: „Wiłkomirski jako były komunista chce, aby polskie dzieci były głupie.” Jak Państwo widziecie - mijają dziesięciolecia, imperia padają, ustroje się zmieniają - ale brutalny język pozostaje.

Pozwolę sobie jeszcze na parę wspomnień. Do roku 1956 byłem traktowany przez ówczesne władze jako „niepewny element”. Zaiste w oczach partyjnych „gorliwców” (tacy znajdują się w każdym politycznym systemie!) miałem liczne ujemne cechy. Po pierwsze moja rodzina nigdy nie pracowała fizycznie. Fatalne! W tamtych czasach w każdej ankiecie personalnej była rubryka: „pochodzenie społeczne”. Należało wyszczególnić: robotnicze, chłopskie, inteligenckie. Pierwszy minus. Drugim - opinia: były akowiec. O ile pamiętam dopiero gdzieś w latach siedemdziesiątych przestano to traktować jako obciążenie. Na uniwersytecie byłem działaczem katolickim. Opowieść o tym wymagałaby osobnego felietonu. Wspomnę tylko, że organizowałem uroczystości trzeciomajowe. Nigdy nie zakazane, ale jednak źle widziane przez władze.

No, a w roku 1964 (byłem już od siedmiu lat dyrektorem filharmonii w Szczecinie) poproszono mnie w Komitecie Wojewódzkim PZPR, abym wstąpił do partii. Nie wchodząc w szczegóły (również warte osobnego felietonu), po dłuższym zastanowieniu i licznych dyskusjach, zostałem partyjnym. A potem nadeszła transformacja i PZPR przestała istnieć. Ja natomiast zostałem radnym pierwszej samorządnej Rady Miejskiej w Wałbrzychu. Widocznie dla wyborców moja przeszłość nie stała się obciążeniem, choć niektórym - jak to opisałem wyżej - przeszkadzała. I doczekałem nawet porównania z Hitlerem!

A teraz przypuszczam, że obecne władze polityczne uważają mnie za Polaka „gorszego sortu”. Już taki mój pech, że np. przeszłość akowska raz była zaletą, a drugi raz wadą. Może dlatego, że władze się zmieniają, a ja pozostaję ten sam. Władze zmieniają priorytety, przekonania, wartości. A ja, jak na złość, mam ciągle te same przekonania i wyznaję te same wartości. Dzisiaj przez wielu uważane za anachroniczne. Ale zapewniam Czytelników, że nie zamierzam poddawać się żadnej, nawet najbardziej chwalonej „dobrej zmianie”.

Zaś owe wulgaryzmy to tylko brudna piana na rwącym nurcie naszego życia. I warto walczyć, aby pozostał czysty.

O cenzurze

Wyraz cenzura ma wyjątkowo negatywne konotacje. A wszystko zaczęło się w roku... 443 p.n.e.! od nazwy urzędu, na który wybierano co pięć lat dwóch szanowanych powszechnie obywateli. Cenzorzy byli wysokimi funkcjonariuszami państwa (przysługiwała im asysta liktorów, uzbrojonych w symbol władzy, czyli pęk różg z wetkniętym toporem) o szerokich uprawnieniach. Wymienię najważniejsze: decydowanie o politycznych prawach obywateli, kontrola moralności, przeprowadzanie spisu ludności, ustalanie cenzusu majątkowego rodzin. Wszystko od łacińskiego czasownika *censere* - oszacować, osądzić. Już w Rzymie republikańskim za niepoddanie się decyzjom cenzorów groziły surowe sankcje, od konfiskaty majątku, poprzez wygnanie aż do kary śmierci.

Kościół katolicki również kontynuował cenzurę. W roku 1215 została utworzona inkwizycja, spełniająca ściśle funkcje cenzorskie. Głównie dotyczące herezji, ale także ingerująca w kwestie moralne i obyczajowe aż po tak drobne, jak przestrzeganie postu. Ofiary tej cenzury historycy liczą na setki tysięcy, od wieku XIII do XVIII. Inkwizycja została zlikwidowana dopiero w roku 1859 we Włoszech (w innych krajach sukcesywnie już od wieku XVII). Ważnym elementem cenzorskiej funkcji Kościoła był Indeks Ksiąg Zakazanych. Trafiły do niego, obok poważnych dzieł o charakterze religijnym, także dzieła m.in. Kopernika („O obrotach ciał niebieskich!”), Kartezjusza, Mickiewicza, Kanta itd. Trudno w to uwierzyć, że za czytanie dzieł astronomicznych, filozoficznych, biologicznych groziła wiernym kara ekskomuniki.

W czasie rozbiorów, w podzielonej Polsce czytanie pism patriotycznych zagrożone było surowymi karami więzienia. A że cenzura obejmowała obok druków także wszelkiego rodzaju imprezy, od zwykłych spotkań aż do przedstawień teatralnych - odpowiedzialność karna groziła autorom, reżyserom, aktorom a nawet czytelnikom i widzom.

Cenzurę można podzielić na dwa zasadnicze typy: prewencyjną i represyjną. Ten pierwszy typ ma zapobiegać drukowaniu książek i gazet oraz wystawianiu sztuk teatralnych. Drugi ma za zadanie niszczenie już wydrukowanych książek i gazet, oraz zakazywanie kontynuowania przedstawień. Naprawdę nie wiem, który jest bardziej szkodliwy społecznie. Już wydrukowany nakład książki można spalić, ale zawsze okazuje się potem, że ileś egzemplarzy jakoś udało się uratować. Tak samo z widowiskiem. Nawet jeśli nie odbyła się publiczna premiera, dany spektakl zaistniał jako fakt w świadomości społecznej.

Powyższe rozważania „dedykuję” oczywiście wszelkiego rodzaju politykom, decydentom rządowym oraz także samorządowym. Jakakolwiek cenzura niesie

w sobie zawsze niebezpieczeństwo ograniczania wolności słowa. Ale co - moim zdaniem - jest jeszcze groźniejsze, prowadzi do intelektualnego wyjałowienia. Właśnie starcia najróżniejszych światopoglądów, zaciekle spory ideologiczne, nawet agresywne dyskusje - są lepsze niż narzucona przez jakiegokolwiek władze jednomyślność. Prowadzi do psychicznego marazmu. Tzw. polityczna poprawność jest cenną zdobyczą dojrzałej demokracji. Nie należy jednak z tym przesadzać. Jestem przekonany, że zderzenie rozmaitych, nawet skrajnych poglądów, jest mimo wszystko lepsze niż jałowe potakiwanie.

I ostatnie zastrzeżenie. Nawet najbardziej „światła” władza nie posiada monopolu na nieomyślność. Warto pamiętać - nie ma już Inkwizycji i Indeksu, a dzieła Kopernika czy Mickiewicza są ciągle żywe i razem z dziełami Giordano Bruno, Spinozy, Kartezjusza stanowią nieśmiertelny skarb ludzkości.

Nasza historia obłudy

Obłuda otacza nas, oblepia, paraliżuje ruchy i słowa. Ale z drugiej strony ułatwia, ba, wręcz umożliwia życie w społeczeństwie. A tym bardziej w rodzinie i najbliższym środowisku. Każdy od dzieciństwa stykał się z obłudą w codziennym życiu. Warto zatem poświęcić jej choć jeden krótki felieton. Zwłaszcza, że zajmuje poczesne miejsce w wielkiej i małej polityce.

Po raz pierwszy z obłudą w polityce zetknąłem się mając niecałe dwadzieścia lat, po powrocie z obozu w grudniu 1945 roku. Zaskoczyła mnie zakłamaną polityka ówczesnych władz. Slogany o przyjaźni polsko-radzieckiej, milczenie o Katyniu, frazesy o przodującej klasie robotniczej - to tylko kilka przykładów rażącej obłudy. Co innego mówiono w domach, co innego drukowano w gazetach. Zdemaskowanie tzw. okresu błędów i wypaczeń pozwoliło po październiku 1956 na lekki powiew prawdy. Niestety skończyło się to w roku 1958. Obłuda ogarnęła całą politykę w latach sześćdziesiątych. Z kulminacją dziesięć lat później. Oficjalna propaganda biła rekordy obłudy. Próby wyswobodzenia społeczeństwa z wszechogarniającego zakłamania czy fałszowania zarówno historii jak i bieżących wydarzeń podejmowane przez grupy intelektualistów i światłą część episkopatu - były szybko i skutecznie likwidowane.

Muszę uczciwie powiedzieć, że w latach siedemdziesiątych nastąpiła znaczna poprawa w oficjalnej obłudzie i została zastąpiona przez tzw. politykę sukcesu. Również daleką niestety od prawdziwego obrazu rzeczywistości. Ale trzeba przyznać, że sytuacja geopolityczna uniemożliwiała całkowitą likwidację obłudy w stosunkach międzynarodowych i co gorsze także w stosunkach wewnętrznych, np. fatalne przecenianie klasy robotniczej.

Wydarzenia roku 1970 były - moim zdaniem - szansą na choćby częściowe zmniejszenie presji obłudy. Niestety, ówczesne władze nie wykorzystały tej szansy. Czy zabrakło im odwagi? Nie wiem. Zostawiam ten problem historykom.

Powstanie „Solidarności” to nowa fala obłudy. Pozornie apolityczny związek zawodowy, który przeżył przejście politycznej władzy. Frazesy goniły frazesy. A frustraci i nieudacznicy dławili spontaniczny ruch społeczny chwaleniem „mądrości klasy robotniczej”. Przykro mi to napisać, ale nawet stan wojenny był obłudą; zapewne konieczną wobec Związku Radzieckiego. I dlatego nie mógł pokonać powszechnego zakłamania. Zagrożenie „wejść, nie wejść” uniemożliwiło zbliżenie się do prawdy.

Obrady tzw. okrągłego stołu i następująca po nich transformacja to szczyty obłudy. To w rzeczywistości brudna walka o władzę. I żadne piękne słówka tego nie zmienia. Obłudne frazesy o wolności zderzyły się brutalnie z tragedią tysięcy ludzi tracących nie tylko pracę, ale także sens życia.

A co mamy dzisiaj? Obłudę jakiej dotąd u nas nie było. Takiego zakłamania nie znają ludzie, którzy nie przeżyli końcówki lat czterdziestych i początków lat pięćdziesiątych XX wieku. Oficjalna propaganda oparta jest na wręcz przerażających kłamstwach. Niestety, znaczna część społeczeństwa im ulega. I właśnie na tym polega siła obłudy. Prawda może być niewygodna, a dotarcie do niej wymaga nieraz znacznego wysiłku. Obłuda oparta na prymitywnych pochlebstwach i przekazująca łatwe pseudoprawdy jakże jest przyjemna w odbiorze!

Pozwoliłem sobie przedstawić mój punkt widzenia na potęgę obłudy. Towarzyszy ona ludzkości od niepamiętnych czasów. Czy jest to dla nas pociechą? Moim zdaniem - wątpliwą. I dlatego należy z obłudą walczyć. Na każdym polu. Bezustannie. Zachęcam.

Moje wojenne wigilie

Sięgając we wspomnieniach do najwcześniejszych nawet lat dzieciństwa, pamiętam, że w mojej rodzinie Wigilia Bożego Narodzenia była najbardziej uroczystym dniem. Aż do roku 1939. Jak wiadomo z historii, Łódź, w której mieszkaliśmy, została opanowana przez wojska niemieckie bez walki. W ciągu pierwszych tygodni nowe władze wyrzuciły ze śródmieścia Polaków i Żydów. Tych drugich do utworzonego w dzielnicy Bałuty getta, a Polaków na peryferie, do dzielnic robotniczych. Moją rodzinę do dzielnicy Koziny. Otrzymaliśmy mieszkanie na parterze, w dawnym sklepie piekarniczym. Ojciec utrzymywał nas z dawania tzw. prywatnych lekcji oraz grania w parafialnym kościele. Często ze mną i z moją siostrą Wandą, a wówczas proboszcz zwiększał skromną kwotę w markach, którą uczciwie wypłacał ojcu.

Nadeszła zima, a z nią pierwsze święta Bożego Narodzenia. Dowiedzieliśmy się wówczas, że Polakom nie wolno kupować choinek! Przypominam na marginesie, że Łódź, która zmieniła nazwę na... Litzmanstadt, znalazła się w obrębie Wielkiej Rzeszy. W przeciwieństwie do np. Warszawy czy Krakowa, które znalazły się w obrębie tzw. Generalnej Guberni.

Moja siostra i ja - co dobrze pamiętam - byliśmy wręcz zrozpaczeni. Cóż to za Wigilia bez choinki? Wówczas matka wpadła na pomysł, aby zbierać na ulicach śródmieścia odłamane gałązki ze świeżo zakupionych przez Niemców choinek, ciągniętych beztrąsko po jezdni. Dopiero po latach zdałem sobie sprawę jak bardzo ryzykowałam. Mogła przecież zostać pobita i oskarżona o kradzież.

Gałązki te ojciec umocował przy pomocy starych, pękniętych strun do ... kija od szczotki. Z ozdabianiem nie było kłopotu, gdyż mieliśmy całe pudło bombek i własnoręcznie robionych w poprzednich latach łańcuchów z pociętych słomek, bibulek i tzw. podgumowanego papieru. Czy ktoś z Państwa zna te najpiękniejsze, domowe roboty ozdoby? No i mieliśmy jeszcze resztki świeczek z poprzedniej Wigilii.

Jako prezenty moja siostra i ja otrzymaliśmy po małym batoniku czekoladowym. Zapewne matka dostała je od któregoś niemieckiego ucznia. O uroczystej wieczerzy wigilijnej nie było co marzyć, ale na szczęście proboszcz dał nam kawałek opłatka. Ta pierwsza, wojenna Wigilia na zawsze pozostanie w mojej pamięci nie tylko jako jedno z najpiękniejszych wspomnień całego długiego życia, lecz także jako cenny skarb i wzór miłości.

Następne wigilie, już w Warszawie, nie pozostawiły aż tak wyrazistych śladów. Zapamiętałam natomiast wigilię w 1944 roku w obozie jenieckim. Jakże była smutna. Jedzenia nam nie brakowało, otrzymywaliśmy przecież paczki Czerwonego Krzyża. Ale nie wiedzieliśmy, czy żyją nasi najbliżsi. Dopiero później otrzymaliśmy zgodnie z konwencją genewską prawo do korespondencji.

No i niezapomniana Wigilia w roku 1945. Do kraju wróciłem w połowie grudnia. W Łodzi przebywała wówczas cała moja, szczęśliwie ocalała, rodzina. Z wyjątkiem ciotki, która po wypędzeniu umarła w obozie przejściowym dla warszawiaków w Pruszkowie. W Łodzi mój przyrodni brat był rektorem, a ojciec i przyrodnia siostra profesorami w Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej. Na tę pierwszą, wspólną, powojenną Wigilię mieliśmy już sporo, zakupionego na tzw. czarnym rynku, jedzenia. I prawdziwą choinkę i prezenty. A przede wszystkim radosny nastrój. Przeżyliśmy wojnę i koszmar okupacji. I co by dzisiaj przeróżne „oszołomy” nie mówiły i pisały, my wiedzieliśmy, że żyjemy i pracujemy we własnym kraju. Że odbudowujemy ze zgliszcz i ruin domy, kościoły, szpitale, szkoły, mosty i drogi. A także naukę i kulturę. Kto tego nie przeżył, nie potrafi chyba nigdy pojąć, że mieliśmy świadomość bycia u siebie. To wydaje się tak banalne, a właśnie

ta „świadomość bycia u siebie” zapewniała radość, energię, chęć do życia. Po prostu: to była nasza Ojczyzna - Polska.

Mój protest

Pan Andrzej Duda, piastujący stanowisko prezydenta Rzeczypospolitej, powiedział 1 marca br., że nasz kraj zawdzięcza wolność i suwerenność walce i krwi Żołnierzy Niezłomnych. Byłem oburzony tym oświadczeniem i wyrażam mój protest w jedyny sposób, jaki jest w moim wieku i stanie zdrowia możliwy.

Ja i - jak przypuszczam - wielu moich rodaków niczego nie zawdzięczamy tzw. żołnierzom wyklętym, których pan Andrzej Duda nazywa niezłomnymi bohaterami. Powtarzam: niczego! Tych kilkuset ludzi, ukrywających się w różnych trudno dostępnych miejscach, zaiste dla naszej wolności, suwerenności, pracy, nauki, słowem - życia, dosłownie nic nie zrobiło. To my, miliony Polaków, własnymi rękami odgruzowywaliśmy Warszawę czy Wrocław. To my odbudowywaliśmy miasta i wsie, szosy i ulice, domy i kościoły, szkoły i fabryki. To my tworzyliśmy naukę, kulturę, przemysł, służbę zdrowia, transport. Moim zdaniem to tylko dzięki naszym wieloletnim wysiłkom i wyrzeczeniom mamy - by użyć słów pana Andrzeja Dudy - wolność i suwerenność.

Moje pokolenie walczyło w czasie II wojny światowej. Godzi się przypomnieć: od beznadziejnego oporu we wrześniu 1939, poprzez Narwik i Tobruk, lotników w bitwie o Anglię, wyzwalenie Normandii, zdobycie Monte Cassino, szlak Lenino - Berlin aż do Powstania Warszawskiego. Nie miało znaczenia w jakich formacjach i na jakich frontach. Cel był zawsze jeden, nadrzędny: Polska. O ustrój można się było kłócić, o wolność - nigdy. I dlatego jestem całkowicie przekonany, że mamy dzisiaj moralne prawo protestować przeciwko jakimkolwiek próbom fałszowania historii. A to właśnie zrobił pan Andrzej Duda swoją wypowiedzią z 1 marca br.

Czas teraz na moje osobiste wspomnienia. Mając 18 lat walczyłem w Powstaniu w zgrupowaniu Gustaw - Harnaś. Na ścianie budynku Nr 1 przy Krakowskim Przedmieściu znajduje się tablica informująca, że nasze zgrupowanie straciło 60% stanu. Wszyscy, którzy przeżyli byli ranni. Ja w szyję. Z obozu jeńskiego wróciłem do kraju w połowie grudnia 1945. Musiałem się oczywiście ujawnić jako były żołnierz Armii Krajowej. Studiowałem, jednocześnie pracując zawodowo. A potem zajmowałem różne stanowiska w Warszawie, Krakowie, Poznaniu, Szczecinie, Wałbrzychu. Trzy razy miałem konkretne i intratne propozycje pracy w Niemczech i Szwecji. Odmawiałem twierdząc, że moim obowiązkiem jest pracować w kraju, za który walczyłem i przelewałem krew. Jakby trwać na żołnierskim posterunku. Podobnie traktowałem koncerty zagranicą.

Kiedy dyrygowałem w Paryżu, Hawanie, Bejrucie, Jerozolimie czy Pradze - miałem świadomość, że robię to dla polskiej kultury muzycznej. Czyli dalej pełnię służbę. Opublikowałem setki artykułów w prasie centralnej i lokalnej. Na różne tematy. A teraz, mając ponad dziewięćdziesiąt lat i nie mogąc już dyrygować, nadal staram się być społecznie użyteczny.

Dlatego protestuję przeciwko słowom pana Andrzeja Dudy. Jeżeli żyję w Polsce wolnej i suwerennej, zawdzięczam to przede wszystkim swojej walce i ciężkiej pracy. I dlatego nie potrafię pana Andrzeja Dudy tytułować prezydentem. Według mnie stracił do tego moralne prawo, obrażając miliony Polaków. Czy kiedyś to zrozumie?

O pięknie w literaturze

Tak się złożyło, że w ciągu kilku ostatnich tygodni przeczytałem sporo artykułów i wywiadów o literaturze. Autorzy i rozmówcy dogłębnie analizowali różne aspekty tego, co nazywamy literaturą piękną. Było o patriotyzmie, psychologii, historii, światopoglądach, przekonaniach religijnych i politycznych, itd. Uderzyło mnie jednak, że zabrakło w ogóle jakiegokolwiek wzmianki o pięknie języka polskiego. Naprawdę! A zajmowano się przecież wielkimi pisarzami, mistrzami poezji i prozy!

Postanowiłem nadrobić ten ewidentny brak tym skromnym felietonem. Zaczęną od Sienkiewicza, na którego dziełach dosłownie zostałem wychowany. O ile pamiętam, mając zaledwie 10 lat, czytałem już nowele, „Trylogię” i „Quo vadis”. A nieco później, w okupowanej Warszawie, recytowaliśmy z pamięci, „na wyścigi” długie fragmenty tych arcydzieł. (Uwaga na marginesie: z pełnym przekonaniem użyłem określenia arcydzieła).

Sienkiewicz miał wprost niewiarygodne wyczucie języka, jego precyzji, sugestywności, urody. Oto pierwszy z brzegu przykład. Porucznik Kuszel wraca z podjazdu i mówi do księcia Wiśniowieckiego: „Bar wzięty”. Tylko dwa słowa, choć mogłoby być ich więcej, np. „Bar został zdobyty”. Albo w „Quo vadis”, kiedy Ursus skreślił kark bykowi i uratował Ligę. Również dwa słowa: „Amfiteatr oszalał!”. I już wszystko wiemy, słyszymy, widzimy! Oto magia wielkiej literatury. Opisy bitew z „Trylogii” są nieporównywalnie piękne: pod Beresteczkiem, kiedy książę Jeremi Wiśniowiecki pędzi na czele wojsk bez hełmu, z rozwianym włosiem. Albo relacja Wołodyjowskiego z szarży husarii w bitwie warszawskiej w III tomie „Potopu”. A mój ulubiony w dzieciństwie opis bitwy pod Prostkami. Aż żal, że brak miejsca nie pozwala na zacytowanie choćby kilku zdań.

Aby nie ograniczać się tylko do bitew, wspomnę jeszcze opis wejścia Laudy do kościoła w Upicie. Moim zdaniem wręcz hipnotyzujący swoją plastycznością.

Jestem przekonany, że wielkość Sienkiewicza opiera się właśnie na pięknie języka.

A Żeromski, którego kochałem od młodości. Władał językiem ojczystym w sposób mistrzowski. „Puszcza jodłowa” czy „Duma o hetmanie” to najczystsza poezja. A pierwsze zdanie „Popiołów”? „Ogary poszły w las”. Nie „pobiegły” lub „pomknęły”. Znowu przykład wyczucia piękna polszczyzny. Wręcz olśniewający!

Po tych mistrzach prozy czas sięgnąć do poetów. Znamy „Sonety krymskie”, arcydzieła romantyzmu. Także „Ballady”. Ale warto wspomnieć pierwsze zdanie „Pana Tadeusza”. Chyba wszyscy je pamiętają. Porównanie ojczyzny do zdrowia to odkrycie, to rewolucja, to czyste piękno. Zaś opisy koncertów Wojskiego czy Jankiela to natchnione poematy. W młodości kochałem poezję Słowackiego. Czy muszę cytować „Hymn”, „Mój testament” lub „Grób Agamemnona”? Nazywamy tych wielkich poetów wieszczami. Dla mnie byli i nadal są przede wszystkim dawcami piękna.

I jeszcze jedno wspomnienie z lat wojny. Wiersze Broniewskiego i Słonimskiego. Zналиśmy je na pamięć. Nie dlatego, że były patriotyczne, lecz przede wszystkim były piękne. Urzekły nas nieprzebranym bogactwem ojczystego języka - polszczyzny. Nie miało żadnego znaczenia, że Broniewski był komunistą, a Słonimski miał żydowskie pochodzenie. Dla nas byli - i pozostaną na zawsze - wielkimi polskimi poetami. Władcami piękna polskiego języka.

A na zakończenie tych rozważań o pięknie krótki cytat z zakończenia „Łąki” Leśmiana, najbliższego mi poety: „A kto pieśni wysłuchał - niech mi poda dłoń!”

TEATRZYK „CZERWONY PAJĄK”

przedstawia

oratorium w czterech aktach pod tytułem
CHWAŁA

Osoby:

PREZES

CHÓR DWORAKÓW zwany dalej CHÓREM

AKT I

PREZES - Postanowiłem na razie wstrzymać się ze zmianą ustawy o dopuszczalności aborcji.

CHÓR - Chwała Wielkiemu Przyjacielowi Kobiet!

AKT II

PREZES - Postanowiłem na razie nie powiększać aglomeracji warszawskiej o sąsiednie gminy.

CHÓR - Chwała Odnowicielowi Polski!

AKT III

PREZES - Postanowiłem na razie nie zmieniać zasad kadencyjności dla prezydentów, burmistrzów i wójtów.

CHÓR - Chwała Wielkiemu Strategowi!

AKT IV

PREZES - Postanowiłem na razie nie zmieniać premiera, rady ministrów, sejm i senatu.

CHÓR - Chwała Największemu Mężowi Stanu!

KURTYNA

spada na chwałę...

tragifarsę w trzech aktach pod tytułem

WETUJĘ USTAWY

Osoby:

PREZYDENT

RZECZNIK

Akt I

PREZYDENT - Jestem zdecydowany: zawetuję dwie ustawy.

RZECZNIK - Dlaczego nie wszystkie trzy?

PREZYDENT - Wystarczą dwie, co za dużo to niezdrowo.

AKT II

PREZYDENT - Jestem stanowczy i ograniczę ilość zmian.

RZECZNIK - Szkoda.

PREZYDENT - Nie żałuj i tak będą sprzeciwy.

AKT III

PREZYDENT - Jestem niezłomny i wprowadzę modyfikację zmian.

RZECZNIK - Dlaczego?

PREZYDENT - Bo tego wymaga ... suweren.

KURTYNA

spada bez żadnych zmian

farsę w trzech aktach pod tytułem
PRYWATYZACJA

Osoby:

PRAWNIK

PZPR

UNIA WOLNOŚCI

PiS

AKT I

PRAWNIK - Trzeba pilnie wprowadzić ustawę o upaństwowieniu wszystkich prywatnych nieruchomości w Warszawie.

PZPR - Po co? Klasa robotnicza potrzebuje mieszkań a nie ustaw.

AKT II

PRAWNIK - Należy jak najszybciej wprowadzić ustawę o uregulowaniu statusu wszystkich prywatnych nieruchomości w Warszawie.

UNIA WOLOŚCI - To zbyt wiele. Święte prawo własności nie potrzebuje ustawy.

AKT III

PRAWNIK - To konieczne, aby ustawa uregulowała wreszcie sprawę prywatnych nieruchomości w Warszawie.

PiS - To byłby błąd. Dobra zmiana potrzebuje powołania specjalnej, nadzwyczajnej komisji reprivatyzacyjnej a nie ustawy.

KURTYNA

spada także bez ustawy. I co ?

komedie w trzech aktach pod tytułem
„ZGODA BUDUJE”

Osoby:

OPOZYCYJONISTA S.

OPOZYCYJONISTA P.

LUD

AKT I

OPOZYCYJONISTA S. - Jako przewodniczący największej partii opozycyjnej, proponuję współpracę i zgodę.

OPOZYCYJONISTA P. - Wszystko będziemy razem uzgadniali.

LUD - Niech żyją!

AKT II

OPOZYCYJONISTA S. - Przedstawiam mojego kandydata na prezydenta Warszawy.

OPOZYCJONISTA P. - Nie zgadzam się. Ja proponuję mojego.

LUD - Co się stało? Nie mogli tego w ramach zgody uzgodnić?

AKT III

OPOZYCJONISTA S. - Jako największa partia opozycyjna mamy prawo przedstawić naszego kandydata jako najważniejszego.

OPOZYCJONISTA P. - Żądamy w ramach uzgodnień i współpracy jednej trzeciej miejsc na przyszłych listach wyborczych.

LUD - Już im się odechciało zgody?

KURTYNA

spada bez uzgodnienia

wywiad o polskiej kulturze w trzech aktach pod tytułem

KŁOPOTY Z TEATRAMI

Osoby:

DZIENNIKARZ

MINISTER

Akt I

DZIENNIKARZ - Środowisko teatralne ma do pana ministra pretensje o błędne decyzje kadrowe we Wrocławiu i Krakowie. Co pan na to?

MINISTER - Jakie środowisko? Po prostu grupka kilku sfrustrowanych reżyserów i zawiedzionych w swoich ambicjach aktorek.

Akt II

DZIENNIKARZ - Ale protestują także dziennikarze i publiczność.

MINISTER - A skąd taka opinia? Robił pan naukowe badania? Ja mam inne dane. Publiczność ma dość tych wiecznych eksperymentów. Tych 7-godzinnych spektakli, tych udzivnień, tych współczesnych aluzji wtrącanych do tekstów klasyków.

Akt III

DZIENNIKARZ - Ale co pan minister proponuje zamiast tych nowatorskich inscenizacji?

MINISTER - Nie będę niczego narzucał. U nas jest całkowita wolność wypowiedzi artystycznej. Ale będę wspierał patriotyczną, moralną, optymistyczną sztukę. I przedstawienia o prawdzie historycznej. Nie zamierzam także promować pornografii, opluwania Polski, niszczenia wartości chrześcijańskich, deprawacji dzieci i młodzieży, gender, in vitro, zbroczeń seksualnych. Ot co!

KURTYNA

spada ze wstydu

nową wersję rzeczywistości w trzech aktach
POLSKA JEST NAJWAŻNIEJSZA

Osoby:
MINISTER
WICE

Akt I

MINISTER - Koniec z fałszywym określeniem „Polska leży w środkowo - wschodniej Europie”. Teraz wolno będzie mówić i pisać tylko: „Polska znajduje się w centrum Europy”.

WICE - A może lepiej brzmi: w centrum świata?

Akt II

MINISTER - Będziemy mówić Polska ma najwyższe góry. Cóż znaczą przy Tatrach takie Alpy.

WICE - Czy nie warto dodać po Alpach także Himalaje?

Akt III

MINISTER - Bałtyk ma być uznany za najgłębsze morze świata.

WICE - Co tam morze! Za najgłębszy z oceanów: Ocean Bałtycki.

KURTYNA

spada najszybciej. Ze wstydu.

dialog w trzech aktach pod tytułem
IM GORZEJ - TYM LEPIEJ

Osoby:
PREZES
ZAUFANY

Akt I

ZAUFANY - Departament Stanu ogłosił, że prezydent i premier Polski zostali uznani za „persony non grata”.

PREZES - To dobrze, mój chłopcze. Zaoszczędzimy na kosztach ich podróży do USA. A i tak nic by tam nie załatwili. He-he!

Akt II

ZAUFANY - Unia Europejska przymierza się, by ukarać Polskę za zmiany w sądownictwie wdrożeniem paragrafu 7.

PREZES - Nie martw się, mój chłopcze, nie wdrożą tego paragrafu. Nie zaryzykują wyjścia Polski z Unii po Brexicie. He-he-he!

Akt III

ZAUFANY - Premier Morawiecki - przepraszam, że to mówię - popełnił nie-

zręczność, stwierdzając w swoim wystąpieniu, że niektórzy Żydzi również byli oprawcami w czasie Holokaustu. Musimy to jakoś naprawić.

PREZES - Niczego nie będziemy naprawiać, mój chłopcze. Poczekamy. Tak zwana opinia publiczna niebawem o tej gafie zapomni. A premierowi powiem, żeby zabierał głos tylko na tematy gospodarcze. Politykę niech zostawi mnie. He-he-he-he !

KURTYNA

spada optymistycznie. He-he-he-he-he-he!

patriotyczny i moralny dialog w trzech aktach
pod tytułem

KULTURKAMPF

Osoby:

PYTEK

MINISTER

Akt I

PYTEK - Dlaczego pan minister cofnął dotacje dla niektórych teatrów i twórców?

MINISTER - Dlatego cofnąłem, że szkoda publicznych pieniędzy na realizację przedstawień nie patriotycznych i niemoralnych, wręcz szkodliwych społecznie.

Akt II

PYTEK - Dlaczego zatwierdza pan decyzje władz lokalnych, odwołujących ze stanowisk kierowniczych w instytucjach kultury, wybitnych twórców o międzynarodowej sławie?

MINISTER - Popieram wyłącznie twórców, których dzieła wnoszą wartości patriotyczne i moralne.

Akt III

PYTEK - Dlaczego zmienił pan profil i działanie niektórych instytutów i muzeów?

MINISTER - Ponieważ uważam, że jedyną wartością wszystkich instytucji kultury są walory patriotyczne i moralne.

KURTYNA

spada patriotycznie i moralnie

farsę w trzech aktach z epilogiem pod tytułem

PRZYJACIELSKI DIALOG

Osoby:

JAREK

ZBYSZEK

Akt I

JAREK - Coś ci, Zbyniu, nie wyszło z tą nowelizacją ustawy o IPN? (śmiech)

ZBYSZEK - A tobie z tak zwaną konstytucją dla nauki, co? (śmiech)

Akt II

JAREK - Sędziowie i adwokaci jakoś nie chcą być przez ciebie reformowani. (śmiech)

ZBYSZEK - A czołowe uczelnie, profesorowie, rektorzy negują celowość twoich pomysłów. (śmiech)

Akt III

JAREK - Jakoś cicho o twoim dziedziczeniu stanowiska po prezesie. (śmiech)

ZBYSZEK - A tymczasem twoja kandydatura w ogóle nie jest brana pod uwagę. (śmiech)

EPILOG:

JAREK, ZBYSZEK i MATEUSZEK fałszują w egzotycznym trio

KURTYNA

spada ze śmiechu

komedię muzyczną w dwóch aktach z epilogiem pod tytułem

ZBĘDNA FILHARMONIA

Osoby:

MINISTER

PUBLICYSTA

Akt I

MINISTER - (rok 1977) Na razie brakuje pieniędzy na kulturę. Może za trzy lata zorganizujemy w Wałbrzychu filharmonię.

Akt II

PUBLICYSTA - (rok 1990) Mamy kryzys, brakuje pieniędzy na kulturę. Trzeba zlikwidować kilka filharmonii. Na przykład w Wałbrzychu.

Epilog

Filharmonia Sudecka w Wałbrzychu obchodzi w roku 2018 jubileusz 40-lecia. Ma w dorobku tysiące koncertów w kraju i zagranicą, m.in. w Paryżu i Berlinie.

KURTYNA

spada i litościwie zasłania nazwiska MINISTRA i PUBLICYSTY

dialog w trzech aktach
CO WAŻNE

Osoby:

ANIOŁ STRÓŻ

PREZES

Akt I

ANIOŁ - Ublizanie posłom opozycji od kanalii i złodziei nie było chyba konieczne?

PREZES - Taki już jestem, szczerzy i bezpośredni.

Akt II

ANIOŁ - Chyba niepotrzebnie, jako polityk, wdałeś się w rozmowy z przedsiębiorcami na temat milionowych interesów deweloperskich?

PREZES - Taki już jestem, szczerzy i bezpośredni.

Akt III

ANIOŁ - Czy twój pseudo-ojcowski stosunek do młodych, niezbyt uczciwych i o bardzo wątpliwej reputacji karierowiczów nie budzi uzasadnionych wątpliwości oraz podejrzeń?

PREZES - Taki już jestem, szczerzy i bezpośredni. To moja wielka zaleta. Nie uważasz, mój Aniele?

KURTYNA
spada, spada i spada

wywiad po tytulem
KIERUNEK BRUKSELA

Osoby:

SCEPTYCZNY REPORTER

CHÓR KANDYDATEK PiS

REPORTER - Podobno tak znaczna ilość kandydatek PiS na wybory do Parlamentu Europejskiego to dowód, że chcecie zabezpieczyć się przed spodziewaną utratą władzy waszej partii w najbliższych wyborach parlamentarnych?

CHÓR - Bzdura! Władzę w Polsce utrzymamy na zawsze, ale musimy i chcemy zmienić Unię Europejską.

REPORTER - Co to znaczy zmienić Unię Europejską?

CHÓR - Chcemy sięgnąć do korzeni. Unia musi być chrześcijańska, jak była dwa tysiące lat temu. A i potem za świętego Augustyna, za inkwizycji, za „Młota na czarownice”. Zlikwidujemy ateizm, lewactwo, gender, in vitro, związki jednopłciowe, masonerię.

REPORTER - Powrót do średniowiecza?

CHÓR - Powrót do naturalnego porządku. Tak będzie!

KURTYNA

spada zgodnie z naturalnym porządkiem

dialog niebiański w trzech aktach
pod tytułem

PROTEST ANIOŁÓW

Osoby:

CHÓR ANIOŁÓW STRÓŻÓW

ŚWIĘTY PIOTR

Akt I

CHÓR - Dosyć już mamy pilnowania grzeszników, bez prawa ich karania. Jesteśmy wściekli z powodu naszej bezsilności.

ŚW. PIOTR - Przypominam, że jesteście aniołami czyli bezcielesnymi bytami i nie godzi się wam wściekać.

Akt II

CHÓR - Święty Piotrze, wybacz, ale twoje słowa to wykręt. Nie chcesz się ustosunkować do sytuacji, w której się znajdujemy.

ŚW. PIOTR - Rozumiem waszą sytuację, ale nie mogę wchodzić w nie swoje kompetencje. To wy, Anioły Stróże, odpowiadacie za wszelkie złe postęпки ludzi, którymi się opiekujecie.

Akt III

CHÓR - Domagamy się, aby niepoprawni grzesznicy nie mogli iść od razu do raju. Najpierw czyścić, a potem zaświadczenie od Anioła Stróża.

ŚW. PIOTR - Obiecuję, że przedstawię Najwyższej Instancji wasz postulat. Tyle mogę zrobić.

KURTYNA

spada bez zaświadczenia

MOIM ZDANIEM

Nieodpowiedzialne słowa

Pan Jarosław Kaczyński powiedział (cytuję z pamięci): „Nienawiść do własnej ojczyzny jest jedną z chorób, która dotknęła część sędziów”.

Jesteśmy, niestety, przyzwyczajeni do nieodpowiedzialnych wystąpień najwyższych przedstawicieli władz, ale słowa pana Kaczyńskiego wygłoszone na konwencji PiS przekroczyły dopuszczalną granicę. Każdy może nie zgodzić się z takim czy innym poglądem sędziów, ale nie jest to podstawą do użycia określenia „nienawiść do ojczyzny”. Moim zdaniem jest to skandaliczne nadużycie. Nawet całkowita negacja obecnych poczynań rządu nie dowodzi „nienawiści do ojczyzny”. Czyżby członkowie PiS na czele z Panem Kaczyńskim byli całą Polską? I kto się z nimi nie zgadza - nienawidzi ojczystego kraju?

To nie tylko skrajna megalomania, ale groźny przejaw utożsamiania jednej partii z całym krajem. Znamy to z historii. Tak było we wszystkich systemach totalitarnych. I wiemy do czego to prowadziło. Do łamania praworządności i prześladowań oponentów. O ile się nie mylę, w demokratycznym kraju każdy obywatel ma prawo do posiadania jakichś przekonań politycznych. I nie muszą być zgodne z przekonaniami pana Kaczyńskiego i jego zwolenników. Ale ta niezgodność nie uprawnia nikogo do oskarżeń o nienawiść do Polski.

Powtarzam: nienawiść do własnego kraju nie ma nic wspólnego ze światopoglądem. To ewidentna bzdura. Ktoś, kto nie zgadza się z ustrojem może być lojalnym obywatelem. Ba, może walczyć w jego obronie. Przyznaję, że w moim długim życiu nie spotkałem kogoś, kto by przejawiał nienawiść do Polski. Można powiedzieć, że socjaliści nienawidzili endeków. A endecy - socjalistów. Ale jedni i drudzy - jak sądzę - kochali Polskę. I dlatego chcieli dla niej jak najlepszego według nich ustroju. Czy to naprawdę tak trudno zrozumieć?

Wracam do wypowiedzi pana Kaczyńskiego. Z przykrością muszę stwierdzić, że coraz częściej on sam i jego otoczenie używają całkowicie nieodpowiedzialnie ojczystego języka. Nie podejrzewam, że go nienawidzą, zamiast kochać. Po prostu nie potrafią ocenić jego piękna. Podobnie postępowali Wandale i inni barbarzyńcy. Coś, co przerastało ich wrażliwość estetyczną wywoływało w ich prymitywnych umysłach złość, sprzeciw, bunt ...nienawiść. Czy przesadzam tym porównaniem?

Uczono mnie przed laty, że im wyższe stanowisko, tym większa odpowiedzialność. Za słowa i czyny. A nie odwrotnie. To, co wygadują obecnie ministrowie czy posłowie woła - jak dawniej mówiono - o pomstę do nieba. Jak państwo z pewnością pamiętają, pan Kaczyński krzyczał kiedyś w sejmie, że posłowie opozycji zabili jego brata. I nazwał ich kanalami. To szczyty nieodpowiedzialności. Żadne emocje nie są usprawiedliwieniem. I tak oto człowiek, rządzący de facto Polską, okazał się po prostu całkowicie nieodpowiedzialny za to, co mówi. Za mojej młodości takim ludziom nie podawało się ręki.

A teraz oskarżył bez żadnych podstaw sędziów. Nie tylko oskarżył, ale także ich obraził. Nie miał żadnego prawa. Publicznie zarzucał im, że nienawi-

dzą własnego kraju. Zarzut całkowicie bezpodstawny. W dodatku pozbawiony sensu. Nawet zdrajca, szpieg, sprzedawczyk nie postępuje tak podle z powodu nienawiści. Raczej dla pieniędzy, z zemsty, chorej ambicji lub innych osobistych przyczyn. Nie chcę być złośliwy, ale przypuszczam, że pan Kaczyński nie zna dobrze ojczystego języka. Nie w pełni rozumie znaczenie słowa nienawiść. Warto czasami, zanim się coś nieodpowiedzialnego powie, przypomnieć naukę w szkole podstawowej. Albo zajrzeć po prostu do słownika. Nawet tego wydanego w PRL! Szczerze radzę.

I - jak mnie uczono w młodości - zanim się otworzy usta, policzyć w myśli do dziesięciu.

Ja, Narcyz

W mitologii starożytnych Greków był piękny młodzieniec, w którym zakochała się nimfa Echo. Ponieważ odrzucił jej miłość, bogini Nemezis ukarała go w niezwykle sposób. Zakochał się w samym sobie! Nie mogąc oczywiście tej miłości zaspokoić, umarł z tęsknoty do samego siebie. I zamienił się w kwiat piękny i wyniosły. A my dzisiaj tym słowem określamy w psychologii kogoś bezkrytycznie zakochanego w sobie, w to kim jest, jak wygląda, co robi, co mówi.

Termin narcyzm to inaczej autoerotyzm. Zachwył własną osobą, oraz cechami psychicznymi i fizycznymi. We wczesnym dzieciństwie to etap prawidłowego rozwoju. U osób dorosłych mniejsze lub większe zaburzenia, zakłócające kontakty interpersonalne. Występują w różnych formach w niektórych psychonerwicach, psychozach czy nawet w psychopatiach.

Rozpisałem się o przepadłości narcystycznej, ponieważ „narcyze są wśród nas”. Nie ma to związku z wiekiem, płcią, narodowością, zawodem, wykształceniem, stanowiskiem, intelektem. Narcyzów można spotkać wszędzie. Czasem mogą mieć pozytywny społecznie wpływ na ludzkie działania, częściej jednak przez zniekształcanie rzeczywistości powodują katastrofalne szkody. Ci, których określamy mianem wielkich naukowców lub artystów, przeważnie zmagali się w własnymi wątpliwościami. Oraz głębokim, nieraz agresywnym sprzeciwem otoczenia. Galileusz, Kopernik, Einstein, Rousseau, Kant, Mozart - to tylko kilka nazwisk geniuszy, którzy nie byli „zakochani w sobie”. Opuśćmy jednak te wspaniałe wyżyny ludzkich myśli i rozejrzyjmy się dookoła siebie na otaczający nas świat.

Nie wiem jak Państwo, ale ja w swoim długim życiu ciągle spotykałem się z narcyzami. Oczywiście nie byli geniuszami, ale zdarzało się, że z ich zachowania przebijała pewność, iż uważają siebie za wybitne osoby. Zresztą utwierdzali

się w tym mniemaniu przez pochlebców. Nieraz o tym pisałem w naszych felietonach. Takie oto określenia pojawiały się i niestety nadal pojawiają w mediach: „największy polityk po wojnie”, „największy Polak w historii”, „wielki strateg”, „wybitny mąż stanu” itd., itp. Nasi politycy nie zauważają nawet jak są śmieszni (tak, wręcz komiczni!) w swoich zachowaniach i wypowiedziach. Te „bohater-skie”, wysunięte podbródki, te „władcze” wskazujące palce, te dumne oburęczne wspieranie się o brzegi mównicy! Te wszystkie pozy to, niestety, przejaw narcyzmu. Przypuszczam, że byłyby aż nadto czytelne dla zawodowego psychologa. I jeszcze jedna uwaga. Narcyz nie znosi najmniejszej nawet krytyki. Ot co! Stykałem się z tym przez całe moje „dyrektorskie” życie. Najmniejsza nawet krytyka ministra, czy prezydenta miasta, nie licząc pomniejszych dygnitarzy - powodowała, że stawałem się od razu wrogiem. Co, mówiąc nawiasem, zaciążyło ujemnie nad moją tzw. karierą zawodową. Skoro narcyz jest stale zachwycony tym, co robi i mówi, to jak ktokolwiek śmie nie wpadać w zachwyt? Ech!...

Kończąc te parę uwag, proponuję Państwu zabawę. Rozejrzyjcie się wokół siebie i spróbujcie „wyłowić” przeróżnych narcyzów rodzaju żeńskiego i męskiego na rozmaitych wysokich stanowiskach w kraju i zagranicą. Powodzenia!

Tak było

Wiosną 1977 roku, z nowo utworzonego miasta wojewódzkiego - Wałbrzyska, otrzymałem propozycję zorganizowania 16-osobowej orkiestry. Odpowiedziałem, że mnie to zupełnie nie interesuje. Mogę się podjąć utworzenia instytucji o nazwie filharmonia, z 60, 70-osobową orkiestrą symfoniczną oraz rozbudowanym działem edukacji muzycznej dla dzieci, zwanej upowszechnianiem muzyki. Nie wdając się w szczegółowy opis rozmów na rozmaitych szczeblach władz administracyjnych i partyjnych (a jakże!) zapadła decyzja przyjęcia moich żądań oraz przydziału (takie były wtedy czasy) 70 mieszkań dla muzyków zaangażowanych z różnych miast, a także zakupu niezbędnych kilkudziesięciu instrumentów.

Środowisko muzyczne Wrocławia i część prasy były przeciwne. Także silne lobby górnicze Wałbrzyska. Oraz - co najdziwniejsze - Ministerstwo Kultury i Sztuki. Za - dwaj muzycy i pedagodzy szkoły muzycznej Aleksander Czajkowski i Tadeusz Rupociński. I oczywiście pełni entuzjazmu prawdziwi twórcy Filharmonii: Sekretarze Komitetu Wojewódzkiego PZPR Danuta Mika i Jerzy Grochmalicki oraz wojewoda Antoni Trembulak. Ryzykowali swoje wysokie stanowiska, powołując instytucję kultury bez zgody resortowego ministra i otwierając dla niej konto w PKO!

We wrześniu 1978 roku za pulpitami usiadło dokładnie 69 młodych muzyków. Po miesiącu intensywnych prób, 3 października orkiestra wystąpiła z koncertem w... Hradec Kralove w ramach organizowanych tam Dni Kultury Wałbrzycha! Oczywiście ja dyrygowałem, a solistką była zaprzyjaźniona ze mną Halina Czerny-Stefańska, wówczas najślawniejsza polska pianistka. Oficjalna inauguracja Filharmonii odbyła się 24 listopada. Bez przesady mogę napisać, że był to historyczny dzień. Ale minister, najwidoczniej obrażony na „samowolę” lokalnych władz, nie przysłał nawet swojego przedstawiciela! Ba - dzisiaj nikt już nie pamięta nawet nazwiska ministra, a Filharmonia obchodzi 40-lecie działalności.

Orkiestra w minionych 40 latach występowała w kraju i zagranicą, m.in. kilkadziesiąt razy we Włoszech, Niemczech i Francji. W tym także w Paryżu i Berlinie. Filharmonia zorganizowała tysiące koncertów edukacyjnych dla szkół i przedszkoli. Nie tylko w dużych ośrodkach, także w miasteczkach i na wsiach. Teraz, z okazji czterdziestej rocznicy, mogę z czystym sumieniem napisać, że nie zawiodłem zaufania ani mieszkańców Wałbrzycha, ani działaczy z tamtych lat. I z dumą mogę wspominać najpiękniejszy koncert mojego życia, który odbył się 5 września 1994 roku. Wykonaliśmy (orkiestra i ja) IX symfonię Beethovena w kościele św. Magdaleny w Paryżu. Z chórami i solistami polskimi i francuskimi. A ponieważ od końca lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku Filharmonia nosiła nową nazwę, na ulicach Paryża oglądałem z satysfakcją afisze: „Orkiestra Symfoniczna Filharmonii Sudeckiej. Wałbrzych, Polska”.

Kończę te wspomnienia z chwalebnej przeszłości gorzką refleksją. Co, czy może kto, jest przyczyną, że Filharmonia nie kontynuuje tej dawnej, wspaniałej tradycji rozślawiania polskiej muzyki?

Samorząd i ja

Kiedy używam określenia samorząd, myślę nie tylko o ustawowych organach takich jak różnego szczebla rady (np. miejskie, gminne itd.), lecz znacznie szerzej. Dla mnie samorządem są wszystkie ciała wybieralne (np. stowarzyszenia, społeczne fundacje, rady, związki). Innymi słowy wszystko to, co nie jest urzędem, nie ma w nazwie słowa „państwowy” (a, e) i nie jest formacją mundurową. W samorządzie uczestnictwo jest dobrowolne i opiera się całkowicie na pełnej wybieralności. Stąd wszystkie organy samorządowe są w swojej działalności niezależne od władzy państwowej.

Ten krótki wstęp był mi niezbędny do przedstawienia mojej wieloletniej działalności w różnych formach samorządności. Zacząłem już w roku 1946 jako stu-

dent na Uniwersytecie Łódzkim. Z przyczyn politycznych musiałem przerwać te działania aż do roku 1956. Wtedy stałem się jednym z inicjatorów powstania pierwszego niezależnego związku zawodowego muzyków, który niebawem przekształcił się w SPAM (Stowarzyszenie Polskich Artystów Muzyków). W roku 1957 zostałem dyrektorem Państwowej Filharmonii w Szczecinie i uznałem, że to koliduje z działalnością samorządową. Dlatego zrezygnowałem z mandatu.

W roku 1966 zostałem wybrany do Miejskiej Rady Narodowej w Szczecinie. Zgodnie z obowiązującymi wówczas przepisami praca w państwowej instytucji nie kolidowała z działalnością samorządową. Jednocześnie w latach 1964 - 70 byłem prze dwie trzyletnie kadencje przewodniczącym Towarzystwa Rozwoju Ognisk Artystycznych. Pamiętam, że dzięki pozycji dyrektora i radnego udało mi się zdobyć lokal dla ogniska muzycznego i dotację na zakup instrumentów.

W Wałbrzychu, tworząc w roku 1977 nową filharmonię i przekształcając dotychczasową szkołę muzyczną w obecny Zespół Szkół Muzycznych, musiałem z braku czasu zrezygnować z działalności samorządowej. Aż do roku 1984. Zostałem wówczas zaproszony do kilkunastoosobowego Partyjnego Zespołu Muzyków przy Komitecie Centralnym PZPR. Udało mi się wówczas, pomimo oporu Ministerstwa Kultury i Sztuki oraz CRZZ, przeforsować nową, postępową strukturę instytucji kultury. Wprowadziliśmy daleko idące zmiany, które - co raczej zabawne - obowiązują do dzisiaj pomimo transformacji ustrojowej!

A w roku 1990 zostałem wybrany radnym pierwszej wolnej Rady Miejskiej Wałbrzycha. I potem jeszcze raz na drugą kadencję. Za mój niewątpliwy sukces w samorządzie uważam wybór na przewodniczącego nadzwyczajnej komisji do spraw wodociągów i kanalizacji. Dzięki mojemu nieustępliwemu stanowisku (naraziłem się wówczas rozmaitym wysoko postawionym osobom) władze zrezygnowały z projektowanej podwyżki opłat za wodę.

Teraz, jako emeryt, jestem członkiem Rady Kultury i - już drugą kadencję - Rady Seniorów przy Prezydencie Miasta. Myślę, że mogę o sobie mówić jako o starym samorządowcu i z tej racji zachęcać młodych ludzi do działalności właśnie w wybranej formie samorządności. Gotów jestem zaryzykować taką nawet formułę: Kto w młodości nie działał jako społecznik, na starość będzie.... no kim? Zręczdliwą babcią lub zręczdliwym dziadkiem. Mającym pretensje o to, co się w naszym mieście/kraju dzieje. A nie łaska wziąć się do pracy w samorządach?

Z okazji jubileuszu

Jak Państwo wiedzą, w naszych felietonach często cytuję wypowiedzi ludzi mądrych, choć zdarzają się także cytaty głupców połączone z komentarzami.

Dzisiaj również, korzystając z jubileuszu 40-lecia istnienia Filharmonii, pozwolę sobie na kilka cytatów. Tym razem wyłącznie okolicznościowych. Oto pierwszy, dotyczący powołania Filharmonii Sudeckiej, opublikowany w roku 1998 z okazji 20-lecia Filharmonii, w jubileuszowym programie.

„Niewątpliwie była to jedna z najlepszych decyzji ówczesnego „oświeconego” absolutyzmu, która dziś daje nam okazję podziękowania tym, którzy tworzyli tę niepowtarzalną atmosferę przeżywania sztuki muzycznej przez okres 20 lat.” I dalej: „Muzyka rozbrzmiewająca w Sali Filharmonii to jest coś ponadczasowego i z pewnością znacznie trwalszego niż zmieniające się ekipy polityczne czy mody i gadżety współczesnego świata.” A na zakończenie: „Politycy odchodzą, województwa przemijają a Filharmonia Sudecka pozostaje.” Podpisał: Bolesław Marciniśzyn - ostatni Wojewoda Wałbrzyski w XX wieku.

Czyż to nie piękny i mądry cytat?

Od tamtego jubileuszu minęło następne pięć lat. Pozwolę sobie teraz na kolejne cytaty z okolicznościowego programu: „Filharmonia Sudecka przez dwadzieścia pięć lat istnienia zapisała się w tradycji znaczącym dorobkiem artystycznym w wymiarze regionalnym, krajowym i zagranicznym. Zyskała prestiż i popularność.” A na zakończenie przytaczam dłuższy cytat: „Dwadzieścia pięć lata istnienia Filharmonii w Wałbrzychu to wspaniała i bogata historia pracy artystycznej ludzi z pasją i zamiłowaniem. Z przyjemnością pragnę wyrazić szacunek, serdeczne gratulacje i słowa najwyższego uznania. Życząc wielu dalszych lat owocnej pracy, wyrażam przekonanie, że wszelkie Państwa poczynania będą powodem do dumy Dolnoślązaków.” Podpisał: Marszałek Województwa Dolnośląskiego, Henryk Gołębiowski.

W wypowiedzi Marszałka i także Wojewody były jeszcze liczne wzmianki o mojej osobie. Zrezygnowałem z ich cytowania. Uczono mnie bowiem w dzieciństwie, że „samochwała....!”. Nie zacytowałem także w tym felietonie dziesiątków listów i depesz od osób oficjalnych i prywatnych. Przypuszczam, że są zmagazynowane w archiwum Filharmonii i pokrywa je kurz.

Na zakończenie pozwolę sobie tylko na podanie kilku nazwisk z Komitetu Honorowego 25-lecia. Obok autora wstępnej wypowiedzi, Marszałka Henryka Gołębiowskiego, znaleźli się m.in. : Waldemar Dąbrowski - Minister Kultury, Wojciech Dzieduszycki - publicysta, Piotr Kruczkowski - Prezydent Wałbrzyska, Stanisław Łopatowski - Wojewoda Dolnośląski, Benedykt Konowski - kompozytor.

I wreszcie przytoczę pierwszą stronicę jubileuszowego programu: Jubileusz 25-lecia Filharmonii Sudeckiej w Wałbrzychu pod patronatem Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Aleksandra Kwaśniewskiego.

Jak mi powiedziano, żadnej innej polskiej filharmonii nie spotkał dotąd taki zaszczyt.

Kto jest prawdziwym Polakiem

Tzw. narodowcy propagują hasło: „Polska dla Polaków”, hałaśliwie maszerując i śpiewając fałszywie i nierówno piosenki o agresywnych tekstach. Można byłoby lekceważąco machnąć ręką na te ekscesy, gdyby nie pamięć lat trzydziestych XX wieku w Niemczech. Wiemy jak przerażająco skończyły się dla Europy. Dlatego pozwolę sobie na kilka osobistych uwag.

Zajmę się hasłem „Polska dla Polaków”, równie pozbawionym sensu jak i całkowicie ahistorycznym. Kto z tzw. narodowców ma moralne prawo do dzielenia Polaków i określania kto jest prawdziwym a kto nieprawdziwym. Zacznę od najbardziej znanych postaci. Mikołaj Kopernik. Czy według narodowców jest prawdziwym Polakiem? Urodził się w Toruniu w rodzinie niemieckiej Watzenrode. Jego wuj był później biskupem warmińskim. Kopernik studiował w Akademii Krakowskiej oraz na uniwersytetach w Bolonii, Padwie i Ferrarze zarówno prawo jak i matematykę oraz medycynę. Był księdzem z tytułem kanonika. Swoje dzieła pisał wyłącznie po łacinie. Czy był prawdziwym Polakiem?

A oto inna, znana na całym świecie postać: Fryderyk Chopin. Jego ojcem był Francuz. Fryderyk urodził się w Żelazowej Woli, zmarł w Paryżu. Z Polski wyjechał mając 30 lat i nigdy potem jej nie odwiedził. Uznawany przez miliony melomanów za największego polskiego kompozytora. A czy nasi narodowcy uznają go za prawdziwego Polaka? Zwłaszcza, że - jak mniemam - nie należą do bywalców koncertów.

Maria Skłodowska - Curie, jedna z największych postaci światowej nauki. Posiadaczka aż dwóch nagród Nobla: z fizyki i chemii. Po I wojnie światowej założyła w Paryżu Instytut Radowy. Dlaczego nie w Warszawie - zapytają „patriotycznie” nastawieni narodowcy.

Z kolei wielki twórca literatury, Joseph Conrad, uznawany przez Anglików i nie tylko, za największego marynistę. Mając 17 lat wyjechał z Polski. Wszystkie swoje dzieła pisał po angielsku, ale w encyklopediach i słownikach zaznacza się jego polskie pochodzenie. Czy dla zacietrzewionych narodowców urodzony w Polsce w rodzinie szlacheckiej jako Józef Korzeniowski światowej sławy pisarz jest prawdziwym Polakiem?

I jeszcze dwa nazwiska. Pierwsze: Samuel Bogusław Linde. Urodzony Niemiec, twórca pierwszego w historii „Słownika języka polskiego” (1807 - 1814). Co naprawdę się liczy: pochodzenie etniczne czy zasługi dla wybranego kraju i jego mieszkańców? I chlubę, którą im przynosi? Oto pytanie do wrzaskliwych pseudo-patriotów.

Drugie nazwisko: Oskar Kolberg. Ojciec z pochodzenia Niemiec, matka - Francuzka. A on sam - pierwszy (i zapewne zarazem największy!) polski etnograf muzyczny. Zapisany złotymi literami w historii polskiego folkloru. Przez 50 lat wędrował po Polsce, której w XIX wieku nie było jako państwa. Jego dzieło zawarte w 54 tomach uratowało od zapomnienia tysiące polskich pieśni i tańców, a także obyczajów codziennego życia, obrzędów i tradycji. Ba, ale czy przeróżni hurra-patrioci uznają Kolberga za Polaka, skoro w jego żyłach nie płynęła ani jedna kropla „czystej” polskiej krwi?

Mógłbym przytoczyć jeszcze wiele nazwisk ludzi zasłużonych dla Polski i znanych w kraju i za granicą. Ale cóż, grupy otumanionych nacjonalistów nadal hołdują popłuczynom po skompromitowanym rasizmie. Czy któryś z rządzących obecnie polityków nie powinien wreszcie powiedzieć „wyznawcom” rasizmu, że ich działania po prostu szkodzą Polsce?

Mity lat 1914-1918

Jak wiadomo wszelkiego rodzaju mity niosą w sobie niebezpieczeństwo zastępowania rzeczywistych faktów lub choćby ich zniekształcania. Mity, te piękne opowieści, stanowią nie tylko materiał wielkiej literatury lecz także istotny element tradycji narodowej. Ba, ale nie należy traktować ich jako prawdy historycznej. Albert Camus napisał: „Tylko biedni ludzie potrzebują mitów”. My w Polsce, pozbawieni przez ponad 120 lat wolności i państwowości, rozdeleni zaborami, byliśmy szczególnie podatni na wpływ przeróżnych mitów. Należą do nich nawet tak świeże, jak te związane z I wojną światową. Moim zdaniem czas, abyśmy wreszcie zanalizowali mit, w którym i ja sam zostałem wychowany. A brzmi on mniej więcej tak: niepodległość w roku 1918 została przez nas wywalczona zbrojnie. Tymczasem prawda jest całkowicie inna. Pozwolę sobie w dzisiejszym felietonie przedstawić krótkie kalendarium z minimalnym komentarzem.

Aby zachęcić Polaków do wstępowania w skład zaborczych formacji wojskowych, już w roku 1914 car Mikołaj II ogłosił manifest, w którym zapewnia: „...jedność swobodnej Polski pod berłem Cesarza Rosyjskiego”. W ślad za tą wręcz „wzruszającą” propozycją, zaborcze władze organizują Polskie Legiony. A rok później rosyjski premier Iwan Goremykin zapewnia Polakom „...własne życie narodowe, kulturalne i ekonomiczne oraz autonomię”. Oczywiście pod berłem Cara. Ponadto obiecuje powołanie w 1916 polskiego parlamentu, a nawet zawarcie unii polsko - rosyjskiej!

W monarchii Austro - Węgierskiej również już w roku 1914 powstają Polskie Legiony. Ale widocznie klęski wojsk habsburskich spowodowały, że

w roku 1916 cesarze Niemiec i Austrii wspólnym aktem powołali (!) Królestwo Polskie. Jak dowcip brzmi ich sugestia, że królem mógłby zostać książę saski! I kolejny dowcip, tym razem gorzki - minister spraw zagranicznych Wielkiej Brytanii, Arthur Balfour, w lutym 1916 stwierdził: „utworzenie niepodległej Polski byłoby szkodliwe”. Pozostawię to stwierdzenie bez komentarza.

Na szczęście rok 1917 przyniósł ważną zmianę. Prezydent USA Woodrow Wilson sojusznik Ententy oficjalnie stwierdził, że Polska będzie „...zjednoczona, niezależna i samorządna” a także z dostępem do morza. Rok później I wojna światowa dobiegła końca, choć zbrojne konflikty trwały nadal w różnych punktach naszego globu. Wracam jednak do tematu naszego dzisiejszego felietonu. Czy Polska rzeczywiście zbrojnie wywalczyła niepodległość? Czy może raczej razem z wieloma innymi narodami uzyskała niepodległość a także państwowość? Czy była to raczej „spuścizna” po upadłych imperiach: rosyjskim, austriackim, niemieckim?

Polacy walczyli w przeróżnych formacjach wojskowych, w tym także zaborczych, ale nie zapisali się znacząco w historii I wojny światowej. Chciałoby się dopisać „i na szczęście”. W Wersalu ustalono granice nowo powstałego państwa - Rzeczypospolitej Polskiej. Nie były to dobre granice, o czym od początku wiedziało wielu rozsądnych ludzi. A dowodem trzy Powstania Śląskie oraz Wielkopolskie. A także tzw. wojna polsko - bolszewicka. I ponury problem mniejszości narodowych. Ogromną cenę za to zapłaciliśmy w czasie II wojny światowej i pierwszych latach po jej zakończeniu.

Czas abyśmy się wreszcie otrząsnęli i przestali żyć mitami. W okresie zaborów mogły spełniać ważną rolę podtrzymywania świadomości narodowej. Zarówno Kościół Katolicki jak i cała kultura zapisały piękne karty. Ale nie da się patrzeć tylko w przeszłość. I nie da się budować przyszłości na najwspanialszych nawet legendach. A uporczywe powtarzanie, że w I wojnie światowej (1914 - 1918) wywalczyliśmy zbrojnie niepodległość - jest obecnie po prostu szkodliwym mitem.

Ciekawe porównania

Pozwoliłem sobie na dokonanie kilku zaledwie porównań z całkiem oficjalnych statystycznych dokumentów, pochodzących z trzech różnych okresów historycznych. Sądzę, że warto je poznać i wyciągnąć wnioski.

Oto dane z dziennika statystycznego tzw. II Rzeczypospolitej, czyli okresu sprzed II wojny światowej. Niektórzy określają ten okres jako rządy sanacyjne. Trwały, jak wiadomo, 20 lat. Do ich funkcjonowania wystarczyło 120 000 urzędników wszystkich rodzajów i szczebli. A także 40 000 policjantów oraz

członków innych służb mundurowych. Nie wiem czy to dużo, czy mało. Niech się wypowiedzą fachowcy.

Kiedy Sanacja zakończyła swój żywot, po przerwie spowodowanej przerażającą okupacją, w roku 1945 rządy objęła Polska Ludowa. Do dzisiaj określana jako państwo z ograniczoną suwerennością. Aby jednak jakoś funkcjonowało, potrzeba było już 200 000 urzędników. No, ale przecież prawie wszystko było wtedy „państwowe”. A dla utrzymania obywateli w ryzach o 100%, czyli do 80 000, wzrosła ilość policji, zwanej Milicją Obywatelską, razem z innymi służbami.

Transformacja w roku 1989 zmiotła z kart historii PRL i nastąpiła wolna, tym razem III Rzeczypospolita. Dla zapewnienia obywatelom tej wolności sukcesywnie rosła ilość urzędników, aby w roku 2018 osiągnąć 400 000. Wręcz zaskakujące. W wolnej, suwerennej Polsce, wbrew zapowiedziom władz, nasze państwo nigdy nie było zatem aż tak drogie. Pomimo że zwyciężył prywatny przemysł, a także całkowicie sprywatyzowane rolnictwo. Zaś - co jest wręcz komiczne - wzrosła niebywale ilość policji. W roku 2018 liczyła aż 180 000!

Jeśli Państwo lubicie efektowne zestawienia, proponuję narysowanie prostej tabelki. Opartej na całkowicie oficjalnych danych. Oto ona:

ROK	URZĘDNICY	POLICJA
1939	120 000	40 000
1989	200 000	80 000
2018	400 000	180 000

Myślę, że można łatwo skomentować powyższy zestaw. Niezależnie od systemu politycznego nie potrafimy wykorzystać kompetentnych fachowców. PZPR preferowała zasadę „nasz człowiek”. Kiedy tłumaczyłem rozmaitym partyjnym dygnitarzom, że ten a ten dyrektor nie nadaje się na dane stanowisko, słyszałem „ale to nasz człowiek, mamy do niego zaufanie”. I tak samo jest obecnie. A zwiększenie ilości urzędników czy policjantów jest po prostu wynikiem braku kompetencji ich szefów. Piszę to na podstawie własnego doświadczenia. Kompetentny szef nie potrzebuje pomocy rozbudowanego urzędu. Wystarczy dobra organizacja. W każdym ministerstwie czy komisariacie, szpitalu czy filharmonii. Dobre funkcjonowanie państwa zależy nie od ilości urzędników i policjantów, lecz od kompetencji rządzących na wszystkich szczeblach, od ministrów i komendantów. To ich umiejętności decydują właśnie o sprawnym funkcjonowaniu całości. I także poczucie osobistej odpowiedzialności. A nie ideologia.

P.S.

A może tak znaczna (a nawet ogromna!) ilość urzędników z przeróżnymi wicepremierami, a szczególnie wiceministrami na czele jest niezbędna tylko i wyłącznie dla zapewnienia dobrze płatnych posad dla „swoich ludzi”?

Parę zdań o kulturze

Zapewniam PT Czytelników, że nie należę do ludzi, którzy mają zwyczaj narzekać na to, co się dzieje teraz, wspominając z nostalgią dawne, rzekomo dobre czasy. Myślę, że mój wiek upoważnia mnie do tego, aby negocjować taką postawę. Ciekawe, że najwięcej zarzutów kieruje się nie pod adresem czołowych polityków (co byłoby jak najbardziej uzasadnione), ale przeróżnych dyrektorów, prezesów, naczelników, kierowników. Posłużę się kulturą jako przykładem.

W moim przekonaniu to, co cennego dzieje się dzisiaj w polskiej kulturze zawdzięczamy konkretnym twórcom i artystom wykonawcom. Wyłącznie! I to we wszystkich dziedzinach kultury. Przez ponad czterdzieści lat pracowałem jako dyrektor dwóch kolejnych filharmonii. A - co ważne - przedtem przez kilkanaście lat jako muzyk orkiestrowy i dyrygent. I być może to właśnie doświadczenie nauczyło mnie, że kierując jakąkolwiek instytucją kultury należy przyjąć zasadę: najważniejsze to nie przeszkadzać! Artyści (lepsi czy gorsi) sami znajdą właściwe rozwiązanie artystycznych problemów. Chciałoby się dodać: rozwiązanie lepsze czy gorsze. Najważniejsze, aby było ich własne, czyli profesjonalne.

Narzucani przez władze polityczne, administracyjne lub samorządowe szefowie teatrów lub filharmonii, a także muzeów, bibliotek itd. niszczą często podległe im instytucje. Po prostu nie potrafią, lub nie chcą zrozumieć specyfiki pracy tych instytucji. I przede wszystkim mentalności artystycznej, jakże różnej od urzędniczej. Oto kilka najbardziej prostych przykładów. Czy ktokolwiek, kto nie zna problemów zdrowotnych skrzypków grających w nienaturalnej pozycji kręgosłupa może pojąć ich wysiłki i trudności wykonawcze? Albo tzw. dęciaka, czyli muzyka grającego np. na flecie piccolo lub tubie basowej? A czy widz w teatrze pojąć może psychiczne napięcie aktorki grającej rolę odrażającej, straszliwej Lady Macbeth? Albo rozterki krwawego Borysa Godunowa?

A czy można być dobrym bibliotekarzem nie kochając „Pieśni o Rolandzie”, „Anny Kareniny”, bądź „Małego księcia”? Ktoś, kto nie wzruszał się pięknem Wenus z Milo, nie tracił oddechu na widok nieśmiertelnej Kaplicy Sykstyńskiej, nie upajał się „Nenufarami” Moneta - nie potrafi z pewnością kierować jakimkolwiek muzeum.

Nie chcę być złośliwym staruszkim, ale jak najwybitniejszy nawet profesor socjologii może być ministrem „od kultury”, nie chodząc regularnie na przedstawienia do teatru i koncerty symfoniczne do filharmonii? Siedząc w gabinecie ministerialnym przy Krakowskim Przedmieściu - przepraszam - nie ma się żadnego, absolutnie żadnego kontaktu z tym, co jest istotą kultury.

Podobno każde stanowisko kierownicze w kulturze musi zaakceptować minister. Nie mogę pojąć jak potrafi podejmować takie decyzje, nie uczestnicząc w życiu kulturalnym kraju. A jak się okazuje - podejmuje. Skutki - wręcz opłakane. Znane są liczne przykłady; media zajmują się nimi od kilku lat. I co? Ano nic.

Przykro mi, że w tym felietonie zamiast zająć się niewątpliwymi osiągnięciami polskich twórców i artystów - zająłem się smutnymi przejawami niekompetencji tzw. oficjalnych czynników. Które swoją ignorancję pokrywają gorliwością w realizowaniu jakichś politycznych zadań. A może warto byłoby zorganizować krótki kurs kulturoznawstwa dla ministrów, posłów, senatorów. Najwyższy czas! A potem zmienić jakże wielu szefów instytucji kultury. Zacząć zaś od ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

P.S.

Sama nazwa tego resortu jest - moim zdaniem - niewłaściwa. Ale to już temat na inny felieton.

Samotność starości

Z prawdziwą satysfakcją obserwuję wzrost zainteresowania różnych władz, organizacji, instytucji osobami starszymi. To dobry objaw, ponieważ skutkuje już pozytywnymi działaniami. Korzystając z tej sprzyjającej atmosfery, chciałbym wrócić do pomysłu, który przedstawiłem przed kilku laty na posiedzeniu Wałbrzyskiej Rady Seniorów.

Na wstępie dzisiejszego felietonu pozwolę sobie zrezygnować ze sztywnego moim zdaniem słowa „senior”. Pochodzi z łacińskiego senex - stary. Ma długą, historyczną tradycję i różnorakie zastosowania. Osobiście wolę określenie z mojego dzieciństwa: człowiek stary lub osoba starsza. Dlatego będę w tym felietonie pisał po prostu: ludzie starzy. A nie seniorzy i seniorki.

Mój pomysł dotyczył zorganizowania w każdej dzielnicy pomieszczenia przeznaczonego w określonych godzinach dla starych ludzi. Pomieszczenia oświetlonego i ogrzewanego w okresie jesienno - zimowym. Z możliwością skorzystania z toalety, gdyż - jak wiadomo - i co jest naturalne, ludzie starzy muszą często z niej korzystać. A całe wyposażenie to kilkanaście miękkich krzeseł lub foteli oraz kilka stołów. W tym miejscu istotna uwaga. Bardzo często różne organizacje dobrej woli traktują ludzi starszych jak przedszkolaków. Organizują im rozmaite atrakcje, spotkania, zajęcia. Według mnie jest to zupełnie zbędne. Starzy ludzie na podstawie wieloletniego doświadczenia, potrafią sami zorganizować swój czas. Dysponując pomieszczeniem, będą wiedzieli jak je najlepiej

dla siebie wykorzystać. Jedni będą woleli czytać lub grać w szachy, warcaby czy nawet karty. Albo po prostu rozmawiać w większym lub mniejszym gronie.

Wszystko, co powyżej napisałem oparte zostało na wypowiedziach różnych osób oraz własnej obserwacji tego, co od dawna widzę przez okno. Jeżeli pogoda pozwala, nieliczne ławki zajmują starzy ludzie. Ci, dla których zabrakło miejsc siedzących, stoją dookoła. Zdarzało się również, że na ławce rozkładano szachownicę i wówczas stojący obserwowali przebieg gry. Kiedy jeszcze mogłem chodzić, zaczepiano mnie i zadawano rozmaite pytania. Dowiedziałem się wówczas i nigdy tego nie zapomnę, że starym ludziom brakuje bezpośredniego kontaktu z rówieśnikami. A tak! Brakuje wymiany wspomnień. Najbardziej nawet żyta rodzina tego nie zastąpi. Czułość czy troskliwość nie zatrze różnicy pokoleń.

Stary człowiek (a sam nim jestem) potrzebuje tego co nazwałem wymianą wspomnień. Należy pamiętać, że wspomnienia z długiego, kilkudziesięcioletniego życia stanowią bezcenną wartość. I stary człowiek chciałby tę wartość przekazywać. Zaś młodsze pokolenia zamiast tej przeszłej wartości wolą zajmować się dniem dzisiejszym. Nic zatem dziwnego, że następuje tzw. konflikt interesów.

Pozwalam sobie wrócić do mojego pomysłu. Jego realizacja pozwoliłaby starym ludziom wymienić wspomnienia, czuć się potrzebnym i dowartościowanym społecznie. I to nie tylko we własnym gronie. Mam nadzieję, że radni i zarząd miasta zechcą o tym pomyśleć.

Wigilijne tradycje

O ile się orientuję, w żadnym innym kraju wieczorny posiłek zwany Wigilią nie ma tak uroczystego charakteru jak w Polsce. Samo słowo „wigilia” pochodzi z łaciny i oznacza straż, czuwanie, pilnowanie. A ściślej dzień poprzedzający jakiś ważny dzień lub wydarzenie. W Kościele rzymsko - katolickim to Święto Bożego Narodzenia. A w Polsce stał się bardziej narodową niż religijną tradycją.

Pamiętam z najwcześniejszego dzieciństwa, że żadne inne święto, z Wielkanocą włącznie, nie było tak ważne. I tak oczekiwane, zarówno przez dzieci jak i dorosłych. I tak obrosłe w najrozmaitsze zwyczaje, nakazy, zakazy, zalecenia. Także te związane ze sferą konsumpcyjną. Już na kilka tygodni przed Bożym Narodzeniem zapobiegliwe gospodynie zaczynały gromadzić niezbędne produkty, dla mniej lub więcej bogatych potraw, różnych zresztą w poszczególnych częściach kraju. Najwięcej właśnie na Wigilię. W mojej rodzinie, o ile dobrze pamiętam, łączono kresowe zwyczaje z mazowieckimi. Spróbuję je teraz w najbardziej skrótowej formie przedstawić, ponieważ stały się pielęgnowaną do dzisiaj tradycją. W Wigilię obowiązywał post. Tak więc

wieczorny posiłek nie miał zawierać mięsa w jakiegokolwiek postaci. Były za to śledzie w śmietanie lub oliwie, marynowane octem bądź musztardą, cebulą, żurawiną, borówką. Do tego tzw. sałatka ziemniaczana. Napisałem „tzw.” ponieważ ziemniaki stanowiły zaledwie jedną połowę. Na drugą składały się: jajka na twardo, gotowana marchewka, cebula, kiszzone ogórki, groszek zielony, fasolka czerwona, sól, pieprz i mnóstwo majonezu. Proporcje składników zależały całkowicie od gustu.

W staropolskim przepisie preferowano jako potrawę rybną szczupaki. My woleliśmy karpie. O innych rybach nie było w ogóle mowy. Karp powinien być na wigilijnym stole prezentowany w dwóch postaciach: w galarecie i smażony. To także rezultat zwyczajów z różnych regionów naszego kraju.

Czas teraz aby zająć się chyba najbardziej charakterystyczną wigilijną potrawą: czerwonym barszczem i uszkami z nadzieniem kapuściano-grzybowym. Koniecznie z dodanym jajkiem, które zapewnia mu smak i spistość. Ile dodamy soli i pieprzu to wyłącznie sprawa naszego gustu.

Kolejność podawania potraw zależy od naszych możliwości konsumpcyjnych. My robimy przynajmniej jedną przerwę w dowolnym punkcie i przeznaczamy ją na rozdawanie prezentów. Może być między potrawami zimnymi i ciepłymi, albo dopiero przed ciastem. My preferujemy makowiec i sernik, kluski z makiem oraz kompot z suszonych owoców. Jak wiadomo ma specyficzny smak. Ale powiem szczerze, że nie jemy owoców a tylko wypijamy sam płyn.

Naprawdę nie wiem, jak wiele tradycyjnych przepisów złożyło się na naszą rodzinną tegoroczną wigilijną wieczerzę. Mam nadzieję, że przejmie ją nasz trzyletni wnuczek. Że stanie się dla niego tradycją. I przekaże ją gdy dorośnie swojej rodzinie za kilkadziesiąt lat.

A przecież obok jedzenia jest jeszcze w tej tradycji sporo ważkich elementów. Choć uległy rozmaitym modyfikacjom, podstawowe pozostały bez zmian. Musi być choinka z mnóstwem różnokolorowych lampek oraz lekkie łańcuchy. I przede wszystkim łamanie się opłatkiem przed rozpoczęciem wieczerzy wigilijnej i składanie sobie życzeń. I - jak wcześniej wspomniałem - wzajemne obdarowywanie się prezentami. A także wyłączenie się z codziennych problemów choćby tylko na kilka godzin. Nie reagujemy wówczas na telefony i dzwonki do drzwi, nie oglądamy telewizji, nie słuchamy radia. I nie rozmawiamy o polityce. Nam się to udało. I tego właśnie życzę, choć ze sporym opóźnieniem, Czytelnikom naszej świątecznej gazetki. Oby i Wam udało się w przyszłym roku przeżyć taki piękny wieczór wigilijny jak nasz.

Państwo anormalne

Od tysiącleci grupy ludzkie tworzą różne formy wspólnego funkcjonowania od małych kilkusetosobowych plemion aż po wielomilionowe imperia. Powstają i giną albo przekształcają w bardziej stabilne organizacje, trwające czasami tysiąclecia. Jedną z takich najbardziej stabilnych form jest państwo. Ze wszystkimi zaletami i wadami, sukcesami i klęskami.

Na czele każdego państwa stoi jeden człowiek lub grupa ludzi działająca według z góry określonych reguł. Ale w każdej grupie ktoś jeden musi mieć głos decydujący. Dowodzi tego cała historia ludzkości. Cesarz, król, kacyk, szaman, papież, dyktator, satrapa, prezydent - to najczęściej używane tytuły. W monarchiach władca jest dziedziczny, ale w naszych czasach przeważnie wybierany i w dodatku jego władza bywa znacznie ograniczona (np. król konstytucyjny lub prezydent kadencyjny).

Od XVIII wieku wprowadzono w tzw. krajach demokratycznych trójwładzę wybieralną: ustawodawczą, wykonawczą, sądowniczą. Ponieważ ten podział jest powszechnie znany, nie będę wchodził w szczegóły i przejdę od razu do sytuacji w naszym kraju. Do sytuacji, która, niestety, daleka jest od zasad przyjętych w cywilizowanych państwach.

Mamy władzę ustawodawczą? Mamy. Wybieralną w wolnych wyborach? Mamy. Ale nie całkiem wolnych, ponieważ na listach wyborczych widnieją wyłącznie nazwiska kandydatów z zarejestrowanych partii. Gdybym dopisał np. nazwisko swojego sąsiada - cały mój głos będzie nieważny! Zatem wybory są moim osobistym zdaniem tylko częściowo wolne.

Podobna sytuacja ma miejsce w przypadku władzy wykonawczej. Rada Ministrów składa się z osób zaproponowanych przez premiera, desygnowanego przez prezydenta, który został wybrany spośród kandydatów przygotowanych przez partie polityczne. Proszę się nie śmiać drodzy Czytelnicy. Ta kolejka zależności wygląda rzeczywiście na parodię demokracji!

Ale to, co napisałem wyżej to nie koniec parodii. W naszym kraju osiągnęliśmy jeszcze wyższy stopień śmieszności. Coś w rodzaju sparodiowania parodii. Mamy trójpodział władzy? Oczywiście, że mamy. Ale w jakiej formie? Po prostu wynaturzonej. W Sejmie posłowie partii, która wygrała wybory parlamentarne mają większość i przegłosowują każdy swój projekt. A nawet najlepszy wniosek opozycji - odrzucają. Praktycznie zatem władza ustawodawcza jest raczej sparaliżowana. Lub jeśli ktoś woli - jest fikcją demokracji.

Podobnie dzieje się z władzą wykonawczą. Rada Ministrów z premierem na czele i liczne instytucje centralne wykonują wszystkie polecenia zwycięskiej

partii o nazwie Prawo i Sprawiedliwość (sic!). To także fikcja. Nie partia, ale ograniczone grono przeróżnych dygnitarzy. Z prezydentem na czele. Czy ktoś z tego grona ośmielił się mieć inne zdanie? Przepraszam za to naiwne pytanie. Ale prawda jest jeszcze bardziej niewiarygodna. Na czele tego małego grona tzw. prominentów stoi jeden człowiek, którego wola decyduje o wszystkim. I to bez żadnej kontroli. W ten sposób w naszym kraju demokrację zastąpiła autokracja.

A co z trzecią władzą - sędowniczą? Jeszcze walczy o niezależność Sąd Najwyższy. Jak długo? Trybunał Konstytucyjny na skutek personalnych, wręcz żenujących powiązań stracił swoją niezawisłość. Smutny to obraz. Ale niekompletny. Pojedynczy sędziowie oraz prawnicy zrzeszeni w rozmaitych organizacjach walczą nadal. A także media prywatne i przede wszystkim samorządowi działacze. Walka trwa. Ba, osiągają znaczące sukcesy, co mimo wszystko napędza mnie optymizmem.

Chcę wierzyć, że forma państwa (anormalnego i amoralnego), którą pan Kaczyński i jego partia narzucili Polsce zbliża się do niechlubnego końca. Dla wspólnego dobra naszego, naszych dzieci, wnuków i prawnuków.

O felietonach

Zmarł Ludwik Stomma. Zajmował różne stanowiska, a jednocześnie pisał skromne felietony. Jego śmierć jest ogromną stratą, również dla mnie osobiście. Był w pewnym sensie przykładem, by nie rzec - wzorem dziennikarstwa. Jego felietony w „Polityce” i w „Przeglądzie” uczyły mnie, amatora, jak należy je pisać. Stomma operował przed wszystkim swobodną, ale bogatą polszczyzną. Ponadto pisał kulturalnie, nie używając wulgaryzmów i nie obrażając nikogo, kto ma odmienne poglądy. W żadnym felietonie nie atakował przeciwników brutalnie. Zachowywał tak cenny umiar przy zalewie rozmaitych agresywnych prasowych wypowiedzi. Nie dał się sprowokować do obniżenia poziomu polemiki. Za to często posługiwał się drwiną, nigdy nie tracąc dobrego smaku. Będzie Go brak.

Skoro jednak poruszyłem temat felietonu, pozwolę sobie przy okazji na kilka uwag. Felieton to rodzaj krótkiego artykułu w dowolnej formie. Może być wspomnieniem, anegdotą, scenką, dialogiem, fikcyjnym i żartobliwym wywiadem. Jak widać, autor felietonu ma dużą swobodę. Może, ale nie musi cytować dosłownie czyichś słów. Tymi cechami różni się od eseju czy problemowego artykułu. Tutaj pozwolę sobie na krótkie definicje:

felieton - krótki utwór literacki w lekkiej formie

esej - rozprawa, szkic literacki.

„Kariera” felietonu rozpoczęła się razem z rozpowszechnieniem prasy. Jeszcze w XIX stuleciu dominowały długie artykuły, z których wiele przeszło do historii. Ba, wpłynęło na bieg wydarzeń politycznych. Często autorami byli wybitni literaci: Zola, Prus, Dickens, Twain. Kiedy w XX wieku pojawiły się codzienne gazety, felietony zdobyły znaczącą pozycję. I stały się czymś niezbędnym w życiu społecznym.

Przejdę teraz do początku mojej działalności jako felietonisty. Był rok 1949. (Aż trudno uwierzyć, że to działo się tak dawno!). Pracowałem wówczas w Państwowej Filharmonii w Łodzi jako wiolonczelista orkiestry symfonicznej. Dotychczasowy dyrektor przeniósł się na stanowisko dyrektora Teatru Wielkiego w Poznaniu (kolejna dygresja: w tamtym czasie ani w Warszawie ani w Łodzi nie było jeszcze opery!). Nowym dyrektorem Filharmonii został kiepski dyrygent. I koledzy z orkiestry poprosili mnie, abym w ich imieniu napisał krótki felieton do codziennej gazety „Słowo Powszechne” z wnioskiem do władz o odwołanie tego dyrygenta. Był to rok 1949. Co zrobiły władze? Wyrzuciły mnie dyscyplinarnie z pracy z uzasadnieniem, że ja, jako były AK-owiec celowo niszcze „...socjalistyczną kulturę robotniczej Łodzi”. Dosłownie! A ponieważ byłem jednocześnie studentem Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej, relegowano mnie z uczelni z tzw. wilczym biletem, czyli bez prawa studiowania. Ot co!

Tak, proszę Państwa, wyglądał mój pierwszy kontakt z pisanem felietonów! Czyż nie wart wspomnienia?

Muszę jednak dodać, że cała sprawa została pomyślnie zakończona dzięki interwencji kilku rozsądnych profesorów. Zostałem jedynie zmuszony przez władze do opuszczenia Łodzi. Przeniosłem się zatem do Warszawy i tam zezwolono mi na pracę i dokończenie studiów. Ja natomiast nauczyłem się nie występować nigdy w czyimś imieniu. Tylko i zawsze we własnym. Zaś następne felietony zacząłem pisać dopiero po dziewięciu latach, już jako dyrektor Filharmonii w Szczecinie. I piszę je do dzisiaj, przez ... 70 lat! Ile felietonów napisałem, doprawdy nie wiem. A wielbicielem tej formy byłem i jestem do dzisiaj. Żywię także nadzieję, że kiedyś powstanie książeczka ze zbiorem moich felietonów. Niestety będzie ich tylko kilkaset. „W międzyczasie” - jak wiadomo - robiłem najróżniejsze rzeczy. Ale to już nie należy do tematu tego felietonu.

DWUTYGODNICZEK

Ukazywał się od 2014 do maja 2020 roku, kiedy to Józef Wiłkomirski napisał ostatni z jego felietonów. Autor publikował je w dwóch cyklach - „Okiem sceptyka” oraz „Mała antologia głupoty”, od 33. numeru jako „Mała antologia chamstwa i głupoty”.

Wydawca

Cafe - Galeria Ogród Sztuki

58-310 Szczawno-Zdrój

ul. Kościuszki 6



MAŁA ANTOLOGIA GŁUPOTY
potem
MAŁA ANTOLOGIA CHAMSTWA I GŁUPOTY

Mała antologia głupoty

Dzisiaj przytaczam orientacyjne koszty „upiększania” mężczyzn (według „Der Spiegel”, cytuję za „Forum”). Ceny w euro, wyższe niż w przypadku kobiet.

Samo wygładzenie skóry - 1000, plastyka powiek - 2000 za każdą, lifting czoła - 3000, korekcja uszu - 2500 za każde, implanty łydek 4000, a implanty pośladków (ho-ho!) aż do 7000, zmniejszenie piersi - do 4000, odsysanie tłuszczu - do 5000. Najdroższe są transplantacje włosów, obojętnie na czym: głowie, klatce piersiowej, brodzie - 7000. No i wreszcie korekcja (cokolwiek to znaczy) penisa - 7000. Czyż to nie podniecające?

Ciekawe czy istnieje możliwość, aby emeryci otrzymywali zniżki? Na przykład 1% ceny każdego zabiegu za każdy rok od przejścia na emeryturę. Ba, ale pozostaje jeszcze 99% ceny. To spora kwota. Skąd ją wziąć? Z emerytury?

A może znany z hojności NFZ zrefundowałby polskim emerytom cały zestaw „upiększeń”? To byłaby prawdziwa „dobra zmiana”. Przynajmniej wyglądu kilku milionów emerytów. Myślę, że jakieś lustra jednak mają.

Katolicy o islamie

Tygodnik „Wprost” rzuca hasło „Zakazać islamu!”.

Niejaka pani Miriam Shaded, była muzułmanką - teraz jest chrześcijanką. W „Tygodniku Solidarność” mówi: „Chciałabym, żeby islam był zdelegalizowany”. Niezbyt to szlachetne życzenie po zmianie religii. Cóż, gorliwa neofitka.

Pan profesor Bogusław Wolniewicz pisze w „DoRzeczy”: „Gdy flotylla muzułmańskie zbliżają się do brzegów Europy, trzeba je najpierw wezwać do zawrócenia. Jeśli nie posłuchają, to strzeli im się przed dziób, jeden raz. A jeżeli płyną dalej, to strzelać już prosto w nie.”

Nie wiem czego profesorem jest pan Wolniewicz, ale jego słowa są haniebne. A co jeśli w łodzi są niewinni ludzie uciekający przed wojną? A wśród nich kobiety i dzieci?

Bez komentarza

Oto garść plugawych obelg i gróźb skierowanych do inaczej myślących: zdrajcy, spisak antypolski; zlewaczące, spedalone towarzystwo; zetrzeć w proch pederastów i pseudointelektualistów; mafia sądowo-prokuratorska; zamach na Polskę; sędziowie chcą być niezależni od narodu, sprawiedliwości i prawa, a są zależni od bezpieki i złodziei; KOD-ziarze to jest rak, wrzód, którego tolerować nie wolno, Kijowski powinien pójść do więzienia; za zdradę narodu spotka was kara, zawiśnięcie na sznurze; odebrać miasta lewakom i łotrom; kto nie popiera PiS' u, to zdrajca i kretyn; trzeba pozbyć się dokuczliwych Owsiaków i innych glist ludzkich; „Gazeta Wyborcza” to obca narośl na polskim systemie, szkodząca polskim interesom; homoseksualistów należy honorowo i uczciwie rozstrzelać.

Takim językiem posługuje się elita rządząca dziś Polską. Nie macie Państwo już dosyć tych obrzydliwości, wybranych spośród setek innych? Bo ja tak.

Ach, te kobiety!

Protesty kobiet wywołały falę komentarzy. Zarówno chwalcących jak i ganiących. To zrozumiałe, że tego rodzaju wydarzenie nie zostanie jednoznacznie przyjęte. Nie mogę się jednak zgodzić z poziomem niektórych wypowiedzi i dlatego postanowiłem te najbardziej dosadne umieścić w naszej Antologii.

„Feminizm dotarł także do Polski, łamiąc w życiu publicznym kolejne granice zbydłczenia - choć w kraju Urbana i Palikota, gdzie w wojnie politycznych plemion imano się już łamania wszelkich świętości i łamania wszelkich tabu, wydawać by się to mogło niemożliwe” - Rafał Ziembkiewicz, „Do Rzeczy” 24. X

„Jeszcze bardziej przerażający jest styl wyrażania tego protestu. To jest ryneczek. To jest ryneczek, a w ryneczku trudno wieść spór” - ks. prof. Paweł Bortkiewicz, Fronda.pl 25 X.

Zgadzam się z autorami obu wypowiedzi: „zbydłczenie”, „ryneczek” - rzeczywiście trudno wieść spór w takim stylu, szanowny księżu profesorze!

A pan Lech Makowiecki w „wPolityce” także 25 X określił manifestantki jako „wyuzdane, wulgarne i agresywne”. (Jak z takimi można w ogóle „wieść spór”?)

Głębiej sięga pan Tomasz Teluk (nadal Fronda pl. 25 X), pisząc: „Sabat czarownic w czerni przybiera coraz to nowe formy. Ataki na Kościół, agresja wymierzona w policjantów i obrońców życia, pokazuje duchową stronę całego przedsięwzięcia”. A skoro już mamy „Sabat czarownic”, to pan Stanisław Janecki (wPolityce.pl, 23 X) odkrywa złowrogą prawdę: „Czarne protesty, widać ogrom-

ne pokłady antyklerykalizmu i braku tolerancji, choć przedstawiają się jako wytryski tolerancji, mają w sobie ogromny ładunek magii, a wręcz czarów”.

Ot, co! W XXI wieku?

My a Unia Europejska

Już od dłuższego czasu nie zajmowaliśmy się Unią Europejską, a mówiąc precyzyjnie, wypowiedziami naszych pseudopolityków na jej temat. A były to zarówno osoby w garniturach, spódnicach jak i sutannach.

„Unia Europejska zmierza w bardzo złym kierunku. Tak naprawdę jest to mniej totalitarna forma ustroju komunistycznego” - powiedziała pani Beata Gosiewska, europosłanka PiS.

Brak mi słów, aby podobną bzdurę skomentować w poważny sposób. Nie życzę tylko autorce, aby na własnej skórze poznała ustrój komunistyczny, nawet w mniej totalitarnej formie.

„Bruksela chciałaby stworzyć z Europy jedno państwo ateistyczne”.- ks. prof. Dariusz Oko „wPolityce”.

Zadziwia mnie apodyktyczność tej wypowiedzi. Skąd autor wie co chciałaby stworzyć z Europy Bruksela?

I jeszcze jeden cytat.

„Nienawidzę tego ścierwa sowieckiego, którym jest Unia Europejska.” - Wojciech Cejrowski, Polsat News.

Bez komentarza.

P.S.

Nie będę cytował „recept” naszych pseudopolityków na „uzdrowienie” Unii Europejskiej. Ich poziom jest nazbyt żenujący. Nawet dla Widliszka.

Mała antologia chamstwa i głupoty

„Kiedy mówimy o aborcji, to mówimy o największej wojnie w dziejach ludzkości, wojnie, która trwa od zarania dziejów. Od 20 lat do chwili obecnej w wyniku aborcji na świecie zabito ponad miliard istnień ludzkich”. - poseł Tadeusz Woźniak

Zadziwiająca jest historyczna wiedza autora. A o embriologii równie imponująca.

„Embrion w 10 tygodniu ciąży miał głowę, miał wyraźne ręce, miał nogi, był powiązany z matką, odczytywał emocje matki, cieszył się, smucił się, bał się” (...). „Wykorzystywanie embrionów podczas procedury in vitro to brak poszanowania godności ludzkiej” - ten sam poseł, niejaki Tadeusz Woźniak.

Dla informacji. Według słowników embrion to inaczej zarodek zwierzęcy lub roślinny, płód. Nigdzie nie znalazłem określenia, że jest organizmem zdolnym do samodzielnego życia. A tym bardziej do odczuwania jakichkolwiek emocji.

Jeszcze o ateistach

„W dziejach człowieka żadna marginalna mniejszość - a do takiej należą ateści - nie dokonała zbrodni na tak wielką skalę, jak właśnie ci, którzy usiłują urządzić świat bez Boga. Wygląda na to, że o ludobójstwach dokonanych wiedzą wszyscy poza ... ateistami” - ks. Marek Dziewiecki, Fronda pl. 29 IV

Zadziwiająca pewność siebie autora. Skąd czerpie tak dokładną wiedzę o zbrodniach, w tym ludobójstwie, dokonanych przez ateistów?

Podobnie rozległą wiedzę dysponuje arcybiskup. Oto jego słowa:

„Ateizm doprowadził do bezmiarów okrucieństw, przemocy, poniżania ludzkiej godności, wojen” - homilia z dnia 23 IV.

Nie sposób komentować ahistorycznego idiotyzmu zawartego w słowach tego wysokiego dostojnika i kapłana, Marka Jędraszewskiego.

Mała antologia chamstwa i głupoty

Podczas gdy ludzie martwią się o ogromne zniszczenia w drzewostanie, warto posłuchać „mędrców od ekologii”.

„Przedstawiciele wszystkich partii „zielonych” czyli ekolodzy, to są przywódcy światowego lewactwa, które jednocześnie wyklucza człowieka z przyrody, zaprzeczając Panu Bogu jako stwórcy tego świata” - Przemysław Czarnek, wojewoda lubelski.

Dawno nie słyszałem takiego bełkotu.

Ale na szczęście Jan Szyszko czuwa. Nie tylko nad puszcza białowieską. Oto co pisze o nim ks. prof. dr hab. Tadeusz Guz.

„Minister Szyszko... odnawia kulturę życia w Polsce opartą na nadprzyrodzonych, bo chrześcijańskich (...) zasadach. Tym samym Naród Polski zyskuje rolę nauczycielki setek innych narodów Ziemi”.

„Zakaz wycinki i zakaz zabijania zwierząt kreowany jest przez ruch satanistyczny”.

I w dalszym ciągu o zagrożeniach:

„...wojujący neokomunizm światowy, (w którym) najpierw odrzucona zostaje biblijno - naukowa prawda o istnieniu Boskiego (planu) Stwórcy kosmosu”.

Cóż za pomieszanie boskiego planu kosmosu z puszczą białowieską, neo-komunizmem, ruchami satanistycznymi itd.

Jubileusz

„Polska jest dziś wyrzutem sumienia zachodniej Europy. Polska jest dzisiaj również wzorem demokracji, wzorem kraju bezpiecznego i cieszę się, że sercem tej wspaniałej Polski jest Rodzina Radia Maryja” - wiceminister Maciej Małecki, 4 XII.

(Frazesy, frazesy! Nie zauważyłem jakoś wyrzutów sumienia zachodniej Europy. Przecież to i językowa i logiczna bzdura! O ile się orientuję, to tylko człowiek jako jednostka ma to, co nazywamy sumieniem)

„Wierzę, że z tej toruńskiej służby Panu Bogu i Ojczyźnie wyrośnie lepszy świat i Polska naszych marzeń” - Jarosław Kaczyński, 2 XII.

(Rozumiem, że uroczystości jubileuszowe wymagają komplementów, ale nie należy przesadzać. Ilość słuchaczy Radia Maryja i widzów Telewizji Trwam nie spowoduje powstania „Polski naszych marzeń”, a tym bardziej nie „wyrośnie z tego lepszy świat”).

Mała antologia chamstwa i głupoty

„Panowie wiedzą, kto przepędzał Żydów do warszawskiego getta? Panowie myślą, że Niemcy ich zaganiali do getta? Nie, Żydzi sami poszli, bo im powiedzieli, że tam będzie enklawa, że nie będą mieli z tymi wstrętnymi Polakami do czynienia” - Kornel Morawiecki, marzec 2018.

(Wręcz zaskakująca jest wiedza autora o mentalności Żydów a także non-szalancja w traktowaniu zagłady milionów niewinnych ludzi).

„Potrzebna jest dekomunizacja środowiska naukowego” - Joanna Lichocka. Posłanka PiS, kwiecień 2018.

(Bez komentarza)

„To jest walka o Polskę, na śmierć i życie. Rzucono wszystkie zasoby, by zdławić nasze demokratyczne powstanie” - Krystyna Pawłowicz, luty 2018.

(To o konflikcie z Unią Europejską)

Mała antologia chamstwa i głupoty

„Polska - czy kto się Michnikom i Lisom podoba czy nie - jest pępkiem Europy, była nim zawsze, dlatego nasi sąsiedzi postanowili ją wymazać z mapy

świata” - Krystyna Grzybowska. „Sieci”

(Wręcz pasjonujący „wykład” historiozoficzny).

„Na razie brutalna wojna, która dotyczy przyszłości Kościoła katolickiego, toczy się na wielu frontach poza granicami Polski. Jednak dotyczy także przyszłości Kościoła katolickiego w naszym kraju” - ks. prof. Andrzej Kobyliński, „DoRzeczy”.

(Nie bardzo wiem na czym polega brutalność tej wojny).

„Bolesne dziedzictwo II wojny światowej - okrutnych wojen trwających po dzień dzisiejszy i nieujawnione statystyki zabijania nienarodzonych” - abp. Wacław Depo, 1 IX.

(Łączenie II wojny światowej z problemem aborcji brzmi nieco dziwnie. Zastanawia jednak obsesyjność wszystkich trzech autorów. Wymazywanie Polski z mapy, wojna z Kościołem katolickim, zabijanie nienarodzonych! A gdzie słynny Pokój Boży, Pax Dei?).

Mała antologia chamstwa i głupoty

Ponieważ Widliszek jest z natury złośliwy, nawet ta wigilijna antologia nie może być łagodna. No, może trochę...

Było to przed II wojną światową. Miałem wtedy może 10 lub 11 lat. Chcąc pomóc dorosłym w przygotowywaniu wigilijnych potraw, zaproponowałem, że będę ucierał lukier na świąteczną babkę. Usiadłem zatem przy stole, na którym stały różne papierowe torebki. Miałem sypać do miski cukier puder i ucierać z ciepłą wodą. A potem pędzelkiem rozprowadzać po stojącej z boku upieczonej babce.

Z zapałem i dumą wykonywałem powierzone mi odpowiedzialne zadanie. Kiedy kończył się w misce lukier, na zmianę dolewałem ciepłą wodę i dosypywałem biały proszek z jednej ze stojących przede mną torebek. Kiedy cała babka lśniła lukrem, z dumą ogłosiłem sukces. Po zakończeniu całej kolacji pokrojono babkę i każdy dostał swoją porcję. Ktoś pierwszy nadgryzł i ... krzyknął ze zgrozą. Lukier, a zatem cała babka, był słony!

Okazało się, że w ferworze ucierania pomyliłem torebki i sypałem nie cukier puder a sól. Nie przytoczę epitetów, którymi mnie obdarzono. Najłagodniejszym był: „Józio - pokraka!”.

Mała antologia chamstwa i głupoty

„Widzimy, jak bardzo sfera seksualna, sfera popędu seksualnego stała się narzędziem politycznym. To wszystko, co zostało oderwane od całości prawdy o człowieku staje się narzędziem walki politycznej, staje się narzędziem lewac-

kiej rewolucji, która jest przeprowadzana na naszych oczach” - ks. prof. Paweł Bortkiewicz, Telewizja Trwam, 31.12.

(Przynaję, że już dawno nie słyszałem równie bełkotliwej wypowiedzi. Naprawdę nie potrafię zrozumieć o co księdzu profesorowi chodzi).

No, ale na szczęście ksiądz profesor czuwa. Oto następny cytat:

„Na tle odwróconego porządku cywilizacyjnego możemy dostrzec rolę katolicyzmu i Kościoła Katolickiego (...). Kościół jest jedyną instytucją chroniącą racjonalny porządek świata. Dlatego wobec Kościoła stosowane są formy ataku, z którymi się dzisiaj spotykamy. Kościół jest cierniem w łapie bolszewicko - lewackiej, którą ten świat jest potrząsany” - (ks. prof. Paweł Bortkiewicz).

(Nie wiem co to jest „odwrócony porządek cywilizacyjny” albo „racjonalny porządek świata”. A nazywanie Kościoła „cierniem w łapie bolszewicko - lewackiej” bije wszelkie rekordy absurdu).

Mała antologia chamstwa i głupoty

„Nam, Polakom, właśnie najbardziej tego potrzeba, aby w XXI wieku permanentnie odnawiać nasz katolicyzm na fundamencie stałej Obecności naszego Boskiego Stwórcy i Zbawiciela. Tam gdzie Pan Bóg tam powinna być Polska, tj. przed wiecznie żywym Bogiem jest i pozostanie Polska. Poza Bogiem nie było i nie będzie Polski. W przeszłości było wiele Narodów, ale pozostały po nich tylko archeologiczne ślady, bo - z różnych racji - nie żyły lub nie chciały żyć przez Obliczem Bożym” - ks. prof. Tadeusz Guz, „Nasz Dziennik”, 23 II.

(Naprawdę szanuję wszystkie przekonania religijne i rozumiem „apostolski zapal”, ale myślę, że nawet najbardziej szczerą wiarą nie zastąpi logicznego myślenia. Zwłaszcza u profesora. W powyższym cytacie roi się od absurdów logicznych i historycznych. Wypunktuję tylko ostatnie długie, rozbudowane zdanie. Autor pisze, że liczne narody w przeszłości pozostawiły po sobie „tylko archeologiczne ślady”. To fałsz. Poza wspaniałymi świątyniami także wielką literaturę, malarstwo i rzeźby. A w późniejszych wiekach arcydzieła muzyki. Ale - ważniejsza uwaga - zniszczenia dawnych cywilizacji miały miejsce z najrozmaitszych powodów: np. kataklizmów przyrody, epidemii, wojen. A nie dlatego, że „...te narody nie żyły przed Obliczem Bożym”).

Mała antologia chamstwa i głupoty

„Widzimy, jak bardzo sfera seksualna, sfera popędu seksualnego stała się dzisiaj narzędziem politycznym. To wszystko, co zostało oderwane od całości

prawdy o człowieku, staje się narzędziem walki politycznej, staje się narzędziem lewackiej rewolucji, która jest prowadzona na naszych oczach”.

„Nikt z wiernych Kościołowi Katolickiemu nie może być obojętnym i nie może nie reagować na inwazję homoideologii. Ta ideologia niszczy miłość, niszczy osobę ludzką, niszczy małżeństwo i rodzinę, niszczy kulturę prawną naszej cywilizacji” - ks. prof. Paweł Bortkiewicz, Radio Maryja, 9 III.

(Jestem w kłopotcie jak mam ustosunkować się do obu wypowiedzi utytułowanego autora. Przecież roi się tam od absurdalnych sformułowań : „lewacka rewolucja”, „inwazja homoideologii”, która „niszczy kulturę prawną naszej cywilizacji” itp. Doprawdy nie mogę się domyślić na czym polega „homoideologia”. Czy ksiądz profesor Bortkiewicz nie może pojąć, że homoseksualizm, tak jak i heteroseksualizm, nie jest przecież żadną ideologią? A kwestia „niszczenia” jest w ogóle pozbawiona jakiegokolwiek sensu. Czy rzeczywiście najsilniejsza nawet wiara autora musi zaćmiewać jego jasność myślenia?).

J. Widliszek

Tak autor podpisywał felietony tego cyklu.

OKIEM SCEPTYKA

Wszyscy jesteśmy uchodźcami

W roku 1919 moja rodzina przyjechała pociągiem z Rosji Radzieckiej do Polski. Opowiadał mi o tym później mój ojciec. A po wielu latach niemal dokładnie ten sam opis przeczytałem w „Przedwiośniu” Żeromskiego. Nazwał tamten pociąg eszelonem. Rodzina składała się wówczas z mojego ojca i jego ojca w stadium daleko posuniętej sklerozy, chorej na zaawansowaną gruźlicę żony oraz trojga dzieci: 19-letniego Kazimierza, 16-letniego Michała i 15-letniej Marii. Ponieważ ojcu nie udało się zatrudnić na stałe w Warszawie, pojechali wszyscy do Kalisza. Tam ojciec został dyrektorem szkoły muzycznej i prezesem Towarzystwa Muzycznego.

Piszę o tym, ponieważ wszyscy z mojej rodziny byli Polakami wyznania rzymsko-katolickiego. W domu (tak opowiadał mi ojciec) rozmawiało się wyłącznie po polsku. Ale... ale - o ile wiem - wszyscy rodzili się w Rosji! Tam mieszkali, uczyli się, pracowali. I nader istotny szczegół: ojciec mojego ojca,

czyli mój dziadek, był lekarzem wojskowym carskiej armii. Tak więc mogę nazywać moją rodzinę uchodźcami. Osiedlili się - jak wyżej napisałem - w Kaliszu. Tam umarł mój dziadek i pierwsza żona ojca. Po jej śmierci ojciec ożenił się po raz drugi i z tego małżeństwa w roku 1926 urodziłem się ja, jako potomek uchodźców. I to za ledwie w pierwszym pokoleniu.

Ten przydługi wstęp był konieczny, aby przedstawić zawiłe losy milionów Polaków. Przecież po I wojnie światowej, do nieznanej często ojczyzny przybyli uchodźcy z wielu krajów, nieraz bardzo odległych. Jak mi opowiadano, zdarzało się, że niektórzy słabo mówili ojczystym językiem. Mój ojciec na przykład do końca życia zmiękczał końcówki niektórych słów. Co - przynajmniej - bardzo mnie śmieszyło w dzieciństwie. Ci wszyscy uchodźcy włączyli się w odbudowę odzyskanej ojczyzny. Jak wiadomo z historii byli wśród nich oficerowie zaborczych armii, którzy szybko awansowali na generałów Wojska Polskiego. Inni zostali wysokimi urzędnikami w centralnych urzędach. Uchodźcy stworzyli polską naukę, a niektórzy zdobyli międzynarodową sławę. Podobnie było w kulturze. Wystarczy sięgnąć do encyklopedii, aby znaleźć dziesiątki nazwisk. A wśród nich Józefa Piłsudskiego! Pochodził przecież z kresowej rodziny.

Oczywiście zdaję sobie sprawę, że istnieje zasadnicza różnica pomiędzy przybyłym do odrodzonej Polski po I wojnie światowej kresowiakiem lub reemigrantem z Niemiec. Ale do Polski przyjechali również uchodźcy z Rosji, uciekający przed nową, bolszewicką władzą. A potem także uciekinierzy z hitlerowskich Niemiec. Tysiące osiedliły się zarówno w Polsce, jak i w licznych krajach zachodniej Europy, a także w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej. Nie mogę w tym miejscu powstrzymać się od przypomnienia, że gdyby nie europejscy uchodźcy nie powstałaby bomba atomowa! Warto zastanowić się dlaczego ci wielcy uczeni i artyści opuszczali swoje rodzinne kraje.

Moim zdaniem podstawową przyczyną była zmiana politycznego ustroju. To właśnie autorytaryzm stalinowski i hitlerowski uniemożliwił tym wybitnym osobowościom życie i pracę w rodzinnym kraju. Wystarczy kilkanaście nazwisk: Einstein, Toscanini, Shoenberg, Adorno, Picasso, Jaspers, T. Mann, H. Mann, Fermi, Klemperer, Meitner, Schroedinger, Neumann, Strawiński, Rachmaninow, Kusewicz, Szaliapin, Zweig.

My w Polsce również wiele zawdzięczamy przybyszom z innych krajów. Byli wśród nich np. Żydzi, którzy uciekli w XV w. z Hiszpanii. To ich potomkowie w ciągu następnych wieków weszli do polskiej elity naukowej i kulturalnej. Dali nam wybitnych matematyków, prawników, lekarzy. A także światowej sławy artystów. Skąd możemy wiedzieć czy wśród potomków obecnych uchodźców z Bliskiego Wschodu nie pojawią się wybitne jednostki, które „odpłacą

się” za gościnę, udzieloną dzisiaj ich rodzicom czy dziadkom. Ale powyższe wywody nie są tak ważne, jak zwykła ludzka solidarność. Uchodźcy to przecież nasi bliźni. Czy można odmówić im pomocy, życzliwości, troski, zrozumienia. Nie wymagam miłości do uchodźców ani nawet zwykłej sympatii. Myślę, że wystarczy jeśli zobaczymy w nich po prostu ludzi w potrzebie. Czy to jest aż tak bardzo trudne?

Obłuda Europy

Kiedy słyszę różne antymigracyjne wypowiedzi, nie wiem czy mam się oburzać, czy śmiać. Zaiste, Europejczycy są ostatnimi ludźmi, którzy mają moralne prawo, aby oskarżać muzułmanów z państwa islamskiego o zbrodnie. Przecież liczba ofiar w historii Europy jest wręcz przerażająca. Spróbuję przypomnieć najbardziej znane.

Rzymianie przez setki rządili ogromnymi obszarami wokół Morza Śródziemnego. Stosowali słynne rzymskie prawo, którego do dzisiaj uczą się studenci wydziału prawa wszystkich uniwersytetów. To prawo zezwalało na okrutne widowiska w amfiteatrach, od krwawych walk gladiatorów aż do rozszarpywania niewinnych ludzi (w tym dzieci) przez dzikie zwierzęta. Jak Rzymianie zemścili się na zbuntowanych gladiatorach Spartakusa - wiemy. Podobnie postąpili z Kartagińczykami i Żydami. Wszystko to zapisali czołowi rzymscy kronikarze. O prześladowaniu chrześcijan również.

Kiedy chrześcijaństwo w IV wieku stało się w cesarstwie rzymskim obowiązującą religią, zaczęło postępować tak samo. Zabijano nie tylko pogan (przy okazji nawracania!), lecz także heretyków, czyli odstępców od jedynej prawdziwej wiary. W czasie tzw. krucjat przeciwko albigensom, waldensom, katarom wymordowano setki tysięcy niewinnych ludzi. Tylko dlatego, że mieli inny pogląd na Tróję Świętą albo podwójną naturę Chrystusa. Kiedy wojska króla Francji szykowały się do decydującego natarcia na miasto Beziers, gdzie schroniły się resztki katarów, wódz Szymon de Monfort zapytał legata papieskiego Arnolda Amalrica, co mają robić po zdobyciu miasta. Znajdowali się tam przecież, poza heretykami, prawowierni chrześcijanie. Odpowiedź była krótka: „Zabijcie wszystkich. Bóg odróżni swoich”. Był to rok 1209. Na stosach w roku 1314 spalono setki Rycerzy Chrystusowych zwanych templariuszami z wielkim mistrzem Jakubem de Molay.

Inni rycerze-zakonnicy, których nazywamy Krzyżakami, wymordowali dwa plemiona: Jaćwingów i Prusów. Po tych pierwszych nie pozostała nawet nazwa, a po drugich jedynie nazwa terytorium.

Kiedy Europejczycy zdobywali nowe ziemie, zabijali rdzennych mieszkańców. Tak postępowali Hiszpanie i Portugalczycy. Potem także Anglicy, Francuzi, Holendrzy, Belgowie.

Niewolnictwo w Stanach Zjednoczonych to następna czarna karta w dziejach Europy. Przecież wszyscy bez wyjątku Amerykanie byli emigrantami z Europy! I uważali się za właścicieli murzyńskich niewolników. To było prawo białego człowieka. Wymordowanych tubylców z Ameryki Północnej i Południowej historycy liczą na miliony.

Wróćmy jeszcze do wypraw krzyżowych. Jak zapisali europejscy kronikarze po zdobyciu Jerozolimy w roku 1099, rycerze krzyżowi zabili około 100 000 muzułmanów. Ale to jeszcze nic w porównaniu z IV wyprawą. Sfinansowała ją Republika Wenecka. Flota z krzyżowcami zawinęła do Konstantynopola i zamiast płynąć dalej do Ziemi Świętej, aby wyzwać Grób Święty, pobożni rycerze zaczęli rabować, palić, niszczyć, zabijać chrześcijańskich mieszkańców stolicy cesarstwa wschodnio-rzymskiego. Nie oszczędzali nawet kościołów. A tym bardziej zakonnic, które „dla zabawy” (co zapisała historia) gwałcili specjalnie na ołtarzach. Bowiem zarówno kościoły jak i zakonnice były prawosławne!

Palenie w Europie czarownic stało się masowe między XV a XVII wiekiem. Według historyków okrutną śmierć poniosło ponad milion niewinnych kobiet i dziewcząt. W roku 1496 opublikowano unikalne w dziejach ludzkości dzieło. Nosiło złowrogi tytuł „Młot na czarownice” („Maleus Maleficarum”) i było podręcznikiem dla członków inkwizycyjnych sądów. Autorami byli dwaj inkwizytorzy: Institoris i Sprenger. Watykan dzieło zatwierdził. W tym miejscu warto przypomnieć o kolejnym przykładzie obłudy Europy. Sądy inkwizycyjne były w ręku ojców dominikanów. Ale kiedy torturami sprawiono, że oskarżone przyznawały się do obcowania płciowego z diabłem i do rzucania czarów - oddawano nieszczęsne ofiary w ręce świeckiego wymiaru sprawiedliwości. Czyż w podobny sposób nie działali osławieni „urzędnicy z za biurka” w hitlerowskich Niemczech?

A co mam jeszcze dodać z „pełnej chwały” historii Europy? Wojnę stuletnią między Anglią i Francją? Może także wojnę trzydziestoletnią? W jej wyniku zniszczono przecież połacie Śląska i wymordowano tysiące ludzi. A warto się zastanowić nad tym, kto z kim walczył. Chrześcijanie z ...chrześcijanami! Protestanci mordowali katolików, a katolicy protestantów. I to wszystko w imię tego samego Boga. A my teraz piętnujemy muzułmanów, że szyici zabijają sunnitów, a sunnici szyitów.

I wreszcie obie wojny światowe. Rozpętali je Europejczycy. Wielkie i wspaniałe osiągnięcia nauki i sztuki nie przeszkodziły mieszkańcom naszego kontynentu w wywołaniu najbardziej przerażającego kataklizmu w dziejach ludzkości. Ilość ofiar i zniszczeń przekracza wyobraźnię. Rozmiary samego

Holokaustu są nieporównywalne z największym nawet barbarzyństwem minionych epok, obciążającym ludy pozostałych kontynentów.

I sprawa ostatnia. My, Europejczycy, brzydzimy się publicznym ścinanie głów przez żołnierzy tzw. państwa islamskiego. Kolejny przejaw europejskiej hipokryzji. Przecież już od czasów rzymskich wszelkiego rodzaju egzekucje były publiczne. I wręcz wywoływały entuzjazm widzów. A potworne auto-da-fe? Lub palenie na stosie na głównych placach stołecznych miast Europy? A w czasie Rewolucji Francuskiej, którą słusznie się szcycimy, na osławionym placu de Greve Paryżanie od świtu zajmowali całymi rodzinami miejsca o najlepszej widoczności. Zaś stare kobiety, nazywane „ciotkami rewolucji”, patrząc na spadające głowy robiły zimowe skarpety dla żołnierzy, którzy nieśli przez Europę szczytne hasła „Wolność - Równość - Braterstwo”.

Kończąc te smutne rozważania, chciałbym powtórzyć to, co napisałem na początku naszego felietonu. My, Europejczycy, nie mamy żadnego moralnego prawa, aby oskarżać mieszkańców innych kontynentów. Toż to szczyt obłudy! Uderzmy się najpierw we własne piersi. Nie pouczajmy innych. I pamiętajmy o słowach z Ewangelii: „Kto z was jest sam bez winy, niech pierwszy rzuci kamieniem”. Dedykuję je wszystkim tzw. moralistom. Czas skończyć z obłudą oficjalną i prywatną. Ba, ale czy to w ogóle możliwe?

Duże litery

Kiedy miałem zaledwie dwanaście lat, śmieszyły mnie plakaty, na których marszałek Edward Rydz-Śmigły patrzył w dal. A pod spodem widniał napis: „Silni - Zwarcy - Gotowi”. Do dzisiaj nie wiem, co mnie rozśmieszało: duma na obliczu marszałka czy podświadomie odczuwany patos napisu. Potem nadzedł wrzesień 1939 roku i najwyższe polskie władze uciekły za granicę. Z marszałkiem, czyli naczelnym wodzem, na czele. Okazało się, że nasz kraj nie był ani silny, ani zwarty, ani gotowy. I tak zaczęła się moja nieufność do patetycznych haseł i dużych liter na plakatach.

Pamiętam hasło: „Ein Volk - ein Fuhrer”. Co po nim zostało? Miliony trupów, nieopisane cierpienia i największe zniszczenia w dziejach. Potem przyszedł czas na Generalissimusa. Największego geniusza w historii ludzkości. A wraz z nim patetyczne zapewnienia, że oto rozpoczyna się nowa era ogólnej szczęśliwości. Z jakim patosem opisywano i u nas kolejnych pierwszych sekretarzy. O, przepraszam, zapomniałem o dużych literach! Pierwszy Sekretarz - to brzmiało dumnie. Witano ich w całym tzw. obozie socjalistycznym z entuzjazmem. Przychodzili jako mężowie opatrnościowi - odchodzili w niesła-

wie. Tłumy śpiewały Towarzyszowi Pierwszemu Sekretarzowi Władysławowi Gomółce: „Sto lat” w roku 1956. Ach, ach! A w roku 1970 następnemu Pierwszemu Sekretarzowi Edwardowi Gierkowi na jego pytanie: „Pomożecie?” lud obiecał: „Pomożemy”. Ta pomoc, czyli poparcie skończyły się w 1980 roku.

I tak życie nauczyło mnie niewiary w masowy entuzjazm, wielkie słowa i patetyczne zapewnienia. Bez względu na towarzyszące im okoliczności. Kiedy słyszę gromkie okrzyki, wzniosłe frazesy - zaczynam być nieufny. Zaczynam po prostu podejrzewać, że za tymi dużymi literami kryją się całkiem małe interesy. Działają na mnie odstręczająco. Czy słowo ojczyzna musi być zawsze pisane z dużej litery a wymawiane z namaszczeniem? Mógłbym sporządzić listę słów, których według polityków należy używać z odpowiednio uroczystym wyrazem twarzy. A najlepiej w pozie wyrażającej szacunek. Ba, w dodatku z oczami wzniesionymi do nieba.

Przykro mi, że piszę z drwiną, ale zalew patosu w ostatnich latach jest wręcz przytłaczający. Odnoszę wrażenie, że ten patos często ukrywa pustkę emocjonalną. Lub gorzej - intelektualną. Albo jedną i drugą! Moim zdaniem o sprawach ważkich można i powinno się mówić zwykłym językiem. Czy jeśli napiszę o narodzie polskim, to koniecznie muszę użyć dużej litery? Czy mój naród stanie się mniejszy, jeśli napiszę po prostu naród, a nie patetycznie Naród? Czy duża litera wyróżni go spośród innych narodów? Dobrze pamiętam, że moi rodzice mówiąc o ojczyźnie, narodzie polskim, muzyce, obowiązkach itd. nie używali języka „ociekającego patosem”. Czyli nie używali w przenośni dużych liter. I pamiętam również, że w czasie Postania nigdy nie rozmawialiśmy z kolegami o tzw. wielkich sprawach. O tym, że walczymy o wolność Polski, że spełniamy swój patriotyczny obowiązek, że byliśmy gotowi złożyć swoje życie w ofierze. Gdyby ktokolwiek użył takiego języka - zostałby po prostu wyśmiany. A o czym rozmawialiśmy? O przeczytanych książkach, o zabawnych zdarzeniach, o dziwactwach krewnych i znajomych. Przyznam się, że umiejąc opowiadać - choć najmłodszy w naszej kompanii - cieszyłem się pewną estymą. Podobnie było potem w obozie. Zwrot: „Józek opowiada” słyszałem ciągle. Ale to już zupełnie inny temat. Mogę tylko dodać, że opowiadając nie używałem patetycznego języka. Wystarczało mi zwykłe słownictwo. A pisząc swoje felietony również unikam dużych liter. I PATOSU!

Kończę i pozwolę sobie podzielić się z Czytelnikami nadzieją, że ta fala patosu i dużych liter opadnie i wrócimy do poczciwej, zwykłej polszczyzny. A jedzenie jabłek czy szynki nie będzie aktem patriotyzmu. Mówiąc inaczej zaczniemy myśleć, mówić i pisać w sposób normalny. Taka właśnie dobra zmiana jest nam najbardziej i to od zaraz potrzebna.

Don Kichot

W bieżącym roku przypada tzw. okrągła rocznica 400 lat od śmierci Miguela Saavedra Cervantesa. A przed rokiem 400 lat od ukończenia jego arcydzieła: opowieści o „Don Kichotcie, przemyślnym szlachcicu z La Manchy”.

W historii literatury niewiele jest dzieł, których tytuł kojarzy się nierozdzielnie z nazwiskiem twórcy. Oto kilka przykładów. Jak „Faust” - to Goethe; „Anna Karenina” i „Wojna i pokój” - to Tolstoj; „Pani Bovary” - to Flaubert; „Zbrodnia i kara” - to Dostojewski; „Sto lat samotności” - to Marquez. Itd. Dla Polaków nie ma wątpliwości, że „Pan Tadeusz” wywołuje natychmiast w pamięci nazwisko Mickiewicza, a „Quo vadis” lub „Potop” Sienkiewicza. Rekordzistami są zapewne: Moliere ze „Świątoszkiem”, „Skąpce” i „Mieszczaninem szlachcicem” (słynnym Panem Jourdinem) oraz oczywiście Szekspir. Kiedy słyszymy takie imiona jak: Hamlet, Macbeth, Romeo i Julia wiemy, że te postacie stworzył Szekspir.

Podobnie jest z innymi sztukami pięknymi: muzyką czy malarstwem. Jak „Requiem” to oczywiście Mozart, choć przecież inni wielcy kompozytorzy również pozostawili znakomite msze żałobne. A „Pory roku” zawsze będą nam kojarzyć się z Vivaldim. Zaś obraz „Lekcja anatomii” z Rembrandtem, podobnie jak „Mona Lisa” czy „Gioconda” z Leonardem da Vinci, a freski w kaplicy sykstyńskiej z Michałem Aniołem (???). Arcydzieła unieśmiertelniły nazwiska twórców.

Ale nie tylko. Stworzone przez geniuszy postacie stały się symbolami i weszły do potocznego języka. Znakomity filozof Carl Jung nazwał je archetypami. Niezależnie od interpretacji widzów, słuchaczy lub czytelników, arcydzieła żyją - jeśli wolno mi użyć takiego określenia - własnym życiem.

Powyższe rozważania prowadzą nas do „Don Kichota”. Ta opowieść sprzed czterystu lat jest jedną z najpopularniejszych książek świata. A niektóre z jego przygód potocznymi zwrotami. Chyba każdemu zdarzyło się użyć określenia „walka z wiatrakami”. Nawet jeśli nie wiedział, że pochodzi z „Don Kichota” Cervantesa. Dla jednych ma znaczenie pejoratywne. Dla innych wręcz przeciwnie - komplementujące. Dla tych pierwszych oznacza po prostu wariata, dla drugich nieustępliwego bojownika. Don Kichotowi zdawało się, że wiatrak to smok, a zatem jako prawdziwy rycerz staje do walki. To jego obowiązek. Jedni czytelnicy pukają się w czoło, ale drudzy twierdzą, że nawet z urojonymi wrogami trzeba walczyć. Genialność Cervantesa sprawiła, że czytelnik musi sam znaleźć interpretację tego zdarzenia. I co więcej - samej postaci Don Kichota.

Ileż to razy każdemu z nas zdarzyło się użyć zwrotu „wydaje mi się”. No właśnie! Don Kichotowi wydawało się, że wiatrak to smok. A smok to przecież niebezpieczeństwo dla bezbronnych ludzi. Zatem rycerz ma moralny obowią-

zek ich obrony. I nie jest ważne czy tylko wydaje mu się, że wiatrak to smok, czy też jest rzeczywistym zagrożeniem. Don Kichot musi stanąć do walki.

Zająłem się jedną z przygód „Rycerza Smutnego Oblicza”. A w książce jest ich dużo, dużo więcej. Większość kończy się przegraną. Tak jak to często bywa w realnym życiu. Don Kichot szedł (a raczej jechał) za swoimi marzeniami. Że często okazywały się tylko urojeniami? Jakie to ma znaczenie? Rozejrzyjmy się dookoła. Czyż w otaczającej nas rzeczywistości nie znajdujemy ogromnej ilości przykładów, że nasze plany, zamiary, dążenia okazują się w zderzeniu z realnym światem, niestety, jedynie urojeniami? I to wpędza nas we frustrację? Lub - co gorsze - w chorobliwą depresję? Ba, ale Don Kichot sam płacił za swoje klęski. Gorzej, jeśli za niepowodzenia w próbach realizacji swoich urojeń płacą inni ludzie. A tak - jak wiadomo - dzieje się często w polityce.

Gdyby Don Kichot słuchał swojego służącego, Sancho Pansy, uniknąłby wielu klęsk. Ba, ale wówczas nie powstałoby arcydzieło literatury. Przecież w konsekwencji to Don Kichot odniósł ostateczne zwycięstwo - stał się nieśmiertelny.

P.S.

I na zakończenie osobista refleksja. Ileż to razy zdarzyło mi się „walczyć z wiatrakami”! I choć oczywiście przegrywałem - nie żałuję.

Faworytek

Staroświeckie słowo „fawor” wyszło z obiegu. Oznaczało kiedyś: łaskę, poparcie, protekcję, wyróżnienie, specjalne względy. Ale pochodne od tego słowa pozostały i są, jak wiadomo, ciągle w użyciu. Faworyt to ulubieniec, wybraniec, pupil. A jak brzmi rodzaj żeński? Faworyta lub faworytka. Używane dawniej na określenie kochanki władcy. A tak! Rodzaj męski od faworytki to kto? Faworytek oczywiście!

Historia przekazała nam imiona i nazwiska faworytów i faworyt władców. Często zastępowano te słowa innymi: przyjaciel, przyjaciółka. Wiemy, że Aleksander Macedoński zabił swojego przyjaciela-faworyta. Podobno po pijanemu. Podobno... Swetoniusz w swoim dziele „Żywoty cesarów” wspomina o licznych faworytach na cesarskim dworze. Niektórzy papieże również opiekowali się i wyróżniali młodych krewnych, przeróżnych bratanków i siostrzeńców. W wieku kilkunastu lat zostawali oni biskupami i kardynałami. A po osiągnięciu pełnoletniości otrzymywali od papieża święcenia kapłańskie. Przytaczam te fakty bez jakiegokolwiek ukrytej myśli. Jak już w V wieku p.n.e. napisał Herodot: „relata refero”, co oznacza: „powtarzam tylko to, co mi mówiono, co słyszałem, co przeczytałem”.

I jeszcze kilka wybranych przykładów z historii. Królowa Elżbieta I Wielka przez szereg lat popierała hrabiego Essex. Można śmiało uznać, że był jej faworytem. To dla niej tłumił bunty walczących o wolność Irlandczyków. A kiedy Essex naraził się swojej protektorce, po prostu kazała mu ściąć głowę. Wyrok został wykonany. Ba, ale Elżbieta była - jak wiadomo - wielką władczynią.

Caryca Katarzyna II również zyskała przydomek Wielkiej. Miała, co wiemy z historii, licznych faworytów. Jeśli dobrze się zasłużyli (znowu piszę to bez żadnej ukrytej aluzji) nagradzała ich tytułami ministrów i marszałków. Jeden został nawet królem Polski. Pozwolę sobie przypomnieć, że kiedy Polska straciła niepodległość a król tron - wyjechał... Nie, drodzy Czytelnicy, nie na emigrację do Paryża, ale do Petersburga. Na emeryturę? Były król umarł spokojnie w roku 1793, a caryca w 1797 r.

Królowie Francji słynęli ze swoich... hm, faworyt. Nazwiska tych skądinąd pięknych kobiet przeszły do historii. Oto najsłynniejsze: Diana de Poitiers, Madame du Barry, Madame Pompadour, Madame de Maintenon. To dla nich władcy budowali zamki i pałace, a także prowadzili wojny. Wpływały również na polityczne decyzje.

Wielcy uczeni i artyści, ho-ho, a jakże, mieli swoich faworytów i faworyty. Nie stały się tak sławne jak ci i te, którymi opiekowali się władcy. Oczywiście historycy dysponują rozmaitymi dokumentami, ale często są to tylko plotki, listy, oszczerstwa. W tym miejscu wspomnę jedynie o Mikołaju Koperniku. Był - jak wszyscy wiemy - kanonikiem i nadwornym lekarzem biskupa, skądinąd jego wuja. Otóż przez wiele lat genialny astronom żył (przepraszam za słowo!) w konkubinacie z pewną wdową. Kiedy umarł, wygnano ją z miasta. Co za niesprawiedliwość! Nigdy się nie dowiemy czy może właśnie faworyta Kopernika zapewniała mu spokój do twórczej pracy, która zrewolucjonizowała ludzkie myślenie.

Czas skończyć z historią. Czy w dzisiejszym świecie obecnie rządzący mają także faworytki i faworytów? Na tak postawione pytanie nie potrafię odpowiedzieć. Dochodzę jednak do wniosku, że „instytucja” młodych mężczyzn i kobiet korzystających jawnie ze szczególnej opieki, poparcia, względów nie jest możliwa w systemie demokratycznym. Tylko rządy autorytarne pozwalają na protegowanie, które w pewnym sensie omija prawo. Wolność słowa, swobodne media i współczesna technika tworzą sytuację, która nie istniała w przeszłości. Powtarzam: władca autorytarny może sobie pozwolić na lekceważenie obowiązującego prawa. Ba, także na łamanie przyjętych konwenansów a nawet naruszanie moralności. Jeżeli ktoś korzystający z niczym nie uzasadnionej protekcji może zajmować wysokie stanowiska (np. prezydenta, premiera, mi-

nistra, pełnomocnika itd.) - to dowód, że w danym kraju upada demokracja. I zaczyna panować system autorytarny. Należy o tym mówić oraz pisać otwartym tekstem, jako o realnym zagrożeniu.

Precz z faworytkami obu płci!

Mój protest

Polskie słowa „protest” czy „protestować” pochodzą od łacińskiego „protestare” - oświadczać. Tak więc oświadczam, że nie zgadzam się z tym, co dzieje się obecnie w Polsce. W kraju, za który dosłownie przelewałem krew w warszawskim powstaniu, a którego kulturę po powrocie z obozu jenieckiego budowałem. Mam zatem moralne prawo do publicznego wyrażania protestu wobec obecnych władz.

W ciągu mojego długiego życia protestowałem wielokrotnie przy najróżniejszych okazjach. Zacząłem w roku 1946 (miałem wtedy zaledwie 20 lat!) od 3-majowego pochodu jako student łódzkiego uniwersytetu a skończyłem w sierpniu 2017 publicznym wystąpieniem przeciwko bezprawnemu zmniejszaniu emerytur byłym pracownikom MO. Zatem wymienienie choćby tylko tematów moich protestów rozsadziłoby ramy tego felietonu. Dlatego rezygnuję i przechodzę do meritum, a jest nim spór o celowość protestowania. Niektórzy z moich znajomych uważają wszelkie formy protestów po prostu za nieskuteczne. Przytaczają, co przyznają z goryczą, konkretne przykłady. Czy jakikolwiek ustrój został zmieniony przez protesty? Czy kiedykolwiek obalono władzę przy pomocy samych protestów? Moi oponenti twierdzą, że tylko siłą można osiągnąć w polityce pożądany cel. I to w dodatku przy sprzyjających zewnętrznych okolicznościach. Historia dostarcza przekonujących dowodów.

Nic zatem dziwnego, że wiele osób z góry rezygnuje z takich czy innych form protestów i zadawalają się jedynie nadzieją na pomyślne zmiany. Zwrot „miejmy nadzieję” jakże jest smutny, oznacza bowiem rezygnację. Z góry kapitulujemy. Przyznaję, że nie zgadzam się z taką postawą. Wolę moje uporczywe protesty w mowie i piśmie. Nawet jeśli nie przynoszą doraźnych rezultatów. Powtarzam: doraźnych! Bo nawet przegrana w proteście niesie zapowiedź przyszłego powodzenia. Oto najbardziej wyrazisty przykład: czy polscy Żydzi wywołując powstanie w warszawskim getcie mieli jakąkolwiek szansę na pokonanie całej potęgi Rzeszy Niemieckiej? Z pewnością nie. Ale jestem przekonany, że udowodnili światu, iż protest w słusznej sprawie jest wart nawet największych ofiar. Stanowi nieprzemijającą wartość. I wzorzec.

Pastor Martin Niemoeller, będąc więźniem obozu w Auschwitz napisał wiersz. Jakże mądry piękny. Pozwolę go sobie zacytować w tym miejscu.

„Kiedy przyszli po Żydów, nie protestowałem.
Nie byłem przecież Żydem.
Kiedy przyszli po komunistów, nie protestowałem.
Nie byłem przecież komunistą.
Kiedy przyszli po socjaldemokratów, nie protestowałem.
Nie byłem przecież socjaldemokratą.
Kiedy przyszli po związkowców, nie protestowałem.
Nie byłem przecież związkowcem.
Kiedy przyszli po mnie, nikt nie protestował.
Nikogo już nie było”.

Tę listę można byłoby dowolnie przedłużać. Myślę jednak, że nie ma potrzeby. Wystarczy jeśli zdamy sobie sprawę z faktu, iż nie wolno rezygnować z protestu. To bowiem nie tylko nasze prawo, lecz także obowiązek. Obowiązek zwykłego przyzwoitego człowieka wobec każdego innego potrzebującego człowieka. Krzywdzonego przez wojnę, niesprawiedliwe prawo, represyjne władze, pospolitych zbrodniarzy i niestety - jakże często - przez pseudo-wzniosłe hasła.

O jedzeniu i dietach

Od wielu lat obserwuję istny zalew wszelkiego rodzaju podręczników zdrowego jedzenia oraz najrozmaitszych diet. Postanowiłem i ja - choć nie jestem zawodowym dietetykiem - podzielić się z Czytelnikami swoimi doświadczeniami odnośnie odżywiania. Zacznę od tego, że jako dziecko byłem tzw. niejadkiem. Rodzice w trosce o zapewnienie mojemu organizmowi wystarczającej ilości pokarmu, uciekali się do najróżniejszych metod, aby przełamać moją niechęć do otwierania ust w czasie posiłków. Np. ojciec stawał na krześle i wymachiwał chorągiewką w narodowych barwach. (Czy nie było to patriotyczne wychowanie od niemowlęstwa?) A ja wówczas z podziwu otwierałem usta, zaś matka w pośpiechu wsadzała w nie łyżkę z kaszką.

Mając 12 lat zdałem egzamin do państwowego gimnazjum, ale nadal nie miałem apetytu. Abym po powrocie z lekcji zjadł obiad, matka musiała mnie karmić. Dosłownie! Czasem zniecierpliwiona straszyła, że powie kolegom o karmieniu gimnazjalisty jak małego dziecka. A wówczas oni będą się ze mnie śmiali. Na takie groźby odpowiadałem: „to przestanę w ogóle jeść!”

Kiedy wybuchła II wojna światowa, natychmiast zacząłem mieć apetyt. Tak właśnie było. Potwierdziło się stare porzekadło, że głód jest najlepszym

lekarstwem na brak apetytu. I tak już było przez wszystkie lata okupacji, a potem Powstania i obozu. Pamiętam do dzisiaj, że byłem nie tyle głodny ile stale „niedojedzony”. Ale i później w czasie studiów ciągle chciało mi się jeść, choć często posiłki w stołówkach były mało apetyczne.

Obfitość dobrego jedła nastąpiła dopiero kiedy mając 31 lat zostałem najmłodszym dyrektorem filharmonii w Polsce. Na szczęście apetyt mi pozostał i wraz z nim rosła moja waga. Pamiętam, że jako student ważyłem zaledwie 58 kg przy wzroście 172 cm. Ale jako dyrektor już po roku ważyłem aż o 5 kg więcej.

Rozpisałem się o tych „zamierchłych” czasach, aby wytłumaczyć Czytelnikom dlaczego teraz dużym zainteresowaniem darzę jedzenie. Musi być zarówno zdrowe, jak i urozmaicone. A także w miarę obfite. Ba, ale w najróżniejsze diety i tak nie bardzo wierzę. Wypróbowałem natomiast kilka reguł, których staram się przestrzegać. Oto niektóre z nich. Służą mi pomimo licznych chorób i tzw. podeszłego wieku.

Na śniadanie zjadam tylko ćwiartkę (!) dużego jabłka. I nic więcej. Około godz. 11 (o ile nie mam jakiegoś zebrania lub badania) zjadam dużą, by nie rzec wielką - porcję surówki warzywnej. Składa się z pomidora, sałaty, szczypioru, pora, zielonej pietruszki, koperku, rzodkiewki, oliwek. Oczywiście w odpowiednich proporcjach. Doprawiam wyłącznie niewielką ilością soli i oliwy. Około południa jem niezbyt obfity obiad złożony z zupy i tzw. drugiego dania: (mięso, ryba, pierogi, kluski, ziemniaki itd.). A po godzinie 14 słodki deser, który jest zarazem podwieczorkiem: niewielkie ciasteczko lub kilka łyżeczek konfitury. O godz. 18 kolacja, również niezbyt obfita: dwie kromki chleba z tosterem, sery, wędliny, domowa sałatka. I na tym koniec.

Tak wygląda moje codzienne menu. Podobnie mojej żony z niewielkimi odchyleniami. Aha, ponieważ od roku 1946 (to już niemal prehistoria!) nie piję kawy, od 1948 herbaty, a od 1955 alkoholu - jestem wolny od tzw. używek w codziennym odżywianiu. Czy jest ono zdrowe? Doprawdy nie wiem; mnie pozwala żyć i pracować.

Nie ruszać pomników!

Już przed kilkoma tysiącami lat władcy starożytnego Egiptu stawiali sobie pomniki. Imponującym przykładem są monumentalne posągi faraona Ramzesa II.

Rzymscy cesarze również zostawili po sobie wspaniałe pomniki: łuki triumfalne i posągi. Starożytni Grecy czcili zwycięzców igrzysk olimpijskich, wystawiając ich posągi wzdłuż drogi prowadzącej do Olimpii. Podobnie postępowali władcy następnych stuleci, choć w średniowieczu swoje podobizny

łączyli raczej z postaciami Chrystusa, Marii i świętych. Renesans i barok dały nam nieśmiertelne posągi Dawida i Mojżesza.

Po tej krótkiej wycieczce w odległe czasy, warto przypomnieć, że pomniki mają upamiętniać zarówno postacie, jak i wydarzenia. Przypuszczam, że nie ma takiego cywilizowanego kraju, w którym nie byłoby choć jednego pomnika. My w Polsce mamy ich ogromną ilość. Niektóre kojarzą się z obrazem danego miasta. Ba, stają się jego symbolem. Wystarczy przytoczyć przykład Kolumny Zygmunta w Warszawie. Nie jest piękna, a król Zygmunt III Waza nie był dobrym władcą. Jego jedyną zasługą było przeniesienie stolicy Polski z Krakowa do Warszawy. (Krakowianie nie uważają tego za zasługę, a przeciwnie, za haniebną decyzję!). My dzisiaj możemy przypuszczać, że to przeniesienie spowodowała chęć Zygmunta III, aby być bliżej Szwecji. A w naszej historii zapisał się fatalnie wciągnięciem Polski w niekończące się wojny z Rosją.

Również pomnik księcia Józefa Poniatowskiego kojarzy się wszystkim z Warszawą. A prawdą jest, że posąg nie ma nic wspólnego ani z księciem ani jego epoką. Rzeźbiarz zgodnie z ówczesną „modą” przedstawił go jako mężczyznę nagiego i raczej muskularnego. Na wzór włoskich posągów.

To nawiązanie do historii było mi potrzebne, aby zająć się tym, co obecnie dzieje się w naszym kraju. W ostatnich latach nastąpił istny „wysyp” pomników. I co najgorsze - przeważnie szpetnych. Co byśmy nie mówili o pomnikach z bliższej czy dalszej przeszłości - autorami ich byli przeważnie znakomici rzeźbiarze. To, co stworzyli, pozostało jako dzieła sztuki. Natomiast stawiane teraz pomniki są po prostu brzydkie. Wystarczy popatrzeć na pomniki papieża Jana Pawła II. Te, które znam z autopsji, bądź reprodukcji, są przejawem złego smaku i braku zdolności autorów. Przez litość nie podam żadnego przykładu. Tak samo jest z coraz liczniejszymi pomnikami prezydenta Lecha Kaczyńskiego. Czyżby nie było już w naszym kraju dobrych rzeźbiarzy?

Nawiązuję teraz do tytułu tego felietonu. Piękny czy brzydki - pomnik jest częścią istniejącej tkanki miasta. Należy go uszanować zarówno w obecnym kształcie jak i usytuowaniu. Nie wolno niczego zmieniać, choć często miało by się ochotę. Najprostszy przykład: jak wiadomo książę Józef Poniatowski nie ma nic wspólnego z urzędem prezydenta RP. To co, przenieść pomnik sprzed Pałacu Prezydenckiego pod „Pałac pod Blachą”, w którym zresztą książę mieszkał? Ewidentna bzdura!

Nie ruszać pomników, powtarzam! I piszę te słowa pod adresem pewnego wałbrzyskiego radnego, który przedstawia z uporem niewczesny pomysł dotyczący stojącego w dzielnicy Podzamcze Pomnika Niepodległości (sic!). Nie będę wdawał się w szczegóły, są całkowicie nieistotne. Liczy się tylko i wyłącz-

nie to, że pomnik powstał w roku 1988 z okazji 70 rocznicy odzyskania przez Polskę niepodległości. I nikt nie ma prawa tego pomnika ruszać! Aż dziwne, że radny nie rozumie czegoś tak oczywistego.

Dobra wiadomość

Prawdziwą satysfakcję sprawiła mi wiadomość, że Rada Miasta na sesji w dniu 30 listopada br. zdecydowała przyjąć przez aklamację uchwałę Wałbrzyskiej Rady Seniorów o ustanowieniu na dzień 28 maja Święta Wałbrzycha. Nie wdając się w szczegóły, pozwolę sobie przypomnieć dwa zasadnicze argumenty, przemawiające za słusnością tej decyzji.

Po pierwsze w różnych krajach od wielu lat większe i mniejsze miasta uroczyscie obchodzą swoje święta. Tak więc uchwała naszej Rady nie jest ani jakimś dziwactwem, ani tym bardziej rewolucją. Po prostu uznała, że należy czcić ważne wydarzenia z własnej historii. Poza państwowymi, religijnymi lub międzynarodowymi.

Po drugie właśnie Wałbrzych ma szczególne prawo do takiego święta. Jest w pewnym sensie wyjątkiem. Spróbuję to wyjaśnić. W dziejach Warszawy, Krakowa czy Poznania można wybrać liczne daty do świętowania. Przez setki lat te miasta pełniły rozmaite funkcje i były widownią historycznych, czasem tragicznych, wydarzeń. I - co ważne w tym kontekście - zawsze w połączeniu z polskością. Dłużej lub krócej były miastami rdzennie polskimi. Ba, i zawsze z przewagą polskiej ludności.

Zupełnie inaczej przedstawiają się dzieje Wałbrzycha. Mówiąc dobitnie, nigdy w historii nie był miastem polskim. Należał do magnackich rodów niemieckich lub ziemczonych czeskich. I nigdy - o ile wiem - nie nazywał się Wałbrzychem. Być może historycy znajdą jakieś ślady używania tej nazwy przez nielicznych górników ze Śląska. Miasto nazywało się bowiem Waldenburg, czyli (po polsku) Leśny Dwór lub Leśny Zamek. Niemieckie miasto Waldenburg zostało w czasie ofensywy w roku 1945 zajęte przez oddziały Armii Czerwonej. A potem władzę objął niewielki garnizon.

I oto w dniu 28 maja 1945 dowódca garnizonu przekazał władzę nad miastem przedstawicielowi polskiej administracji. To w tym dniu narodził się Wałbrzych. A tak, proszę Państwa! Polskie miasto Wałbrzych narodziło się 28 maja 1945 roku. Wielka to i piękna data. Powstało na mapie świata nowe polskie miasto - Wałbrzych.

W dawnych monarchiach ogłaszano po śmierci władcy: „Umarł król, niech żyje król!”. Z myślą o następcy. My możemy powiedzieć: „Umarła nazwa Waldenburg, niech żyje Wałbrzych!”.

Czy zgodzicie się Państwo ze mną, że wolno mi uważać dzień 28 maja 1945 za narodziny Wałbrzycha? Polskiego miasta o imieniu Wałbrzych? I czyż to historyczne wydarzenie nie jest godne uczczenia? Najwyższy czas, abyśmy uczcili je świętem. A jaką formę przybierze to święto, warte jest dyskusji nie tylko w Radzie Miasta, ale także w mediach. I przede wszystkim wśród mieszkańców. Ja także, obserwując święta w różnych miastach, mam własne pomysły. Ale to później. Na razie cieszymy się, że mamy już święto własnego miasta. Święto, które połączy nas, mieszkańców Wałbrzycha ponad podziałami pokoleniowymi, pochodzeniowymi, zawodowymi, światopoglądowymi, politycznymi, partyjnymi. Połączy, ponieważ wszyscy razem możemy obchodzić nasze Święto, Święto Polskiego Wałbrzycha. Radośnie i z dumą. MY, WAŁBRZYSZANIE!

Skutki uboczne

Z obawą decyduję się na napisanie tego felietonu, ponieważ w ciągu ostatnich kilku tygodni na temat ustawy o IPN, a raczej jej nowelizacji, opublikowano - jak sądzę - setki artykułów. Może to, co się stało, lepiej byłoby określić słowem - burza. I to nie tylko medialna, lecz także polityczna. Nie muszę chyba wyjaśniać o jaką ustawę chodzi. Pozwolę sobie zatem od razu podzielić się z Państwem swoimi refleksjami, opartymi o osobiste doświadczenia.

W roku 1956 po raz pierwszy mogłem wyjechać na tzw. Zachód. Odbywałem rozmowy w kilku krajach (także z Polakami na emigracji), m.in. w Niemczech wschodnich (NRD) i zachodnich (RFN). Oczywiście nie sposób było uniknąć tematów związanych z wojną, która skończyła się zaledwie przed jedenastoma laty. Rozmawialiśmy o milionach ofiar, zniszczonych miastach i o obozach koncentracyjnych. Dzisiaj, w roku 2018 (po ponad siedemdziesięciu latach!) zapewniam z całą odpowiedzialnością, że wszyscy rozmówcy do określenia „obozy koncentracyjne” nie dodawali żadnego dodatkowego przymiotnika. Nawet „niemieckie” lub „hitlerowskie”. Ani rzeczownika „śmierci” lub „zagłady”. Po prostu było to dla wszystkich jasne i zrozumiałe, że obozy koncentracyjne były stworzone i zarządzane przez III Rzeszę. Czyli niemiecką, hitlerowską. Innej nie było.

W ciągu następnych lat jeśli ktokolwiek w rozmowie użył określenia „polskie obozy”, to było dla słuchaczy zrozumiałe, że wyraz „polskie” oznacza tylko i wyłącznie geograficzne położenie na terytorium państwa polskiego. I nic więcej! I zapewne byłoby tak do dzisiaj, gdyby jakiś nadgorliwiec z IPN czy ministerstwa sprawiedliwości nie zaczął „kombinować”. I rozpętał „burzę”, której wszystkich szkodliwych skutków nie da się jeszcze przewidzieć.

Tutaj uwaga na marginesie. W ulotkach dołączanych do lekarstw, znajduje się ostrzeżenie o tzw. skutkach ubocznych (działaniach niepożądanych). Jak wiadomo, poza cennym działaniem terapeutycznym dla pacjenta, mogą być również wręcz szkodliwe. Tak samo jest z każdą decyzją polityczną. Jej skutki uboczne mogą być ekonomiczne, prawne, społeczne. I odwrotnie: decyzja o charakterze prawnym może mieć dalekosiężne „skutki uboczne”: polityczne, ekonomiczne itd.

Ci, którzy wymyślili ową nowelizację wykazali skrajną niekompetencję. Moim zdaniem powinni stracić swoje stanowiska. Natychmiast! Bez względu na to, kim są. Przecież wszyscy wiemy co się dzieje w Europie i Ameryce. Nastąpiła kompromitacja naszego kraju. I co jeszcze gorsze, pojawiły się podejrzenia, że skoro tak gorliwie się bronimy, to jednak coś tam mamy do ukrycia.

Pozwolę sobie przypomnieć fakty. Bezsporne, potwierdzone dokumentami. W czasie II wojny światowej zginęło 6 000 000 (sześć milionów!) polskich obywateli. To w stosunku do populacji procentowo najwięcej ze wszystkich krajów biorących udział w wojnie. I to, i tylko to powinno się liczyć. A nie, przepraszam za słowo - „wygibasy” przy głupiej, pozbawionej jakiegokolwiek sensu ustawie o IPN. Sejm i Senat, rząd, prezydent ośmieszają się - moim zdaniem - zajmując się w rzeczywistości drobną sprawą. Czy naprawdę nie ma ważniejszych dla obywateli problemów do rozwiązania? I to jak bardzo pilnych?

My Europa!

O Unii Europejskiej piszą u nas mądrzy ludzie, a także - przepraszam za słowo - idioci. W niektórych wypowiedziach UE nabiera cech wręcz przestępczej mafii, niszczącej wielką i pełną chwały tradycję naszego kontynentu. To ostatecznie skłoniło mnie do zabrania głosu.

Złośliwcy twierdzą, że Europa pod względem terytorium nie jest odrębnym kontynentem, lecz zaledwie półwyspem wielkiej Azji. (Wystarczy sprawdzić na globusie). Ba, ale ten „półwysep” przez tysiące lat panował nad niemal całym światem. Warto od tego zacząć nasze rozważania. To Europa stworzyła nieśmiertelną filozofię od Arystotelesa do Kanta, stanowiącą dzisiaj fundament współczesnego myślenia. I muzykę, którą codziennie wykonuje się na estradach i scenach całego świata. A literatura od Homera czy Szekspira wypełnia półki wszystkich bibliotek. Również, wymyślone w starożytnej Europie, matematyka i oparte na niej inne nauki jak geometria, fizyka lub biologia, po dziś dzień stanowią podstawę naszej wiedzy.

Poza Europą od czasów starożytnych powstały cztery zaledwie wielkie kultury, wzbudzające powszechny zachwyt: Mezopotamia, Egipt, Indie, Chi-

ny. A trzy ogólnoświatowe religie monoteistyczne: judaizm, chrześcijaństwo, islam - poza nieśmiertelnymi osiągnięciami - przyniosły ludzkości niewyobrażalne zbrodnie, tragedie, ofiary, cierpienia. I wszystkie narodziły się nie w Europie! Są - jak wiadomo - pochodzenia azjatyckiego!

Żeby być sprawiedliwym, muszę przyznać, że i nasze, europejskie sumienie obciążone jest haniebną przeszłością. I to już od starożytności. Rzymianie, słusznie szcząc się swoim prawem, wymordowali dziesiątki narodów. Zapoczątkowane w Europie tzw. krucjaty także mają nieczyste sumienie. To, co nazywamy kolonizacją doprowadziło do likwidacji całych krajów w obu Amerykach, Azji, Afryce i Australii. Niewolnictwo towarzyszyło człowiekowi od starożytności, ale zorganizowane przez europejskie państwa kolonialne przybrało monstrualne rozmiary. A w XX wieku to niestety Europa wywołała dwie światowe, najstraszliwsze wojny wraz z towarzyszącymi im zbrodnictwami totalitaryzmami.

Dość tych przerażających wyliczeń. Tego zła, które popełnili Europejczycy nie da się niczym usprawiedliwić. Ani wymazać z historii. Ale można zrobić jedno: stworzyć takie mechanizmy prawne, które uniemożliwią w przyszłości ich powtarzanie. Taką próbę podjęła Europa. Jako pierwsza w historii. W przeszłości powstawały niezliczone traktaty, układy, koalicje, porozumienia, ligi. Począwszy od „Pax Romana”. Ale wszystkie były oparte na hegemonii jednego, najsilniejszego państwa. Na zwycięstwie jednego i przegranej innych. Dopiero „ojcowie” Unii Europejskiej zmienili całkowicie zasady. Zrezygnowali z naśladowania czegokolwiek z przeszłości. Unia Europejska miała być czymś zupełnie innym. Czy ten eksperyment się udał - nie mam zamiaru osądzać. Zostawiam to naukowcom i ekspertom.

I jeszcze pozwolę sobie na przedstawienie kilku drobnych osobistych refleksji związanych z Unią Europejską. Wyjeżdżałem najpierw do krajów tzw. obozu socjalistycznego, a od roku 1956 także na Zachód. Nigdy nie zapomnę „ceremonii” na granicach. Uciążliwych i upokarzających. Kilkugodzinnych (!) nieraz postojów, rewizji, przepytywań. A przedtem uciążliwych starań o paszport. Pomimo dziesiątków wyjazdów za granicę, za każdym razem czułem się źle w kontaktach z funkcjonariuszami straży granicznej i służb celnych. Po prostu czułem się jako obywatel kimś gorszym niż umundurowany Reprezentant Państwa (duże litery to nie błąd druku!). Ci funkcjonariusze byli władzą a ja „biednym petentem”, którego mogli w każdej chwili zatrzymać na granicy.

Kiedy nasz kraj stał się członkiem Unii Europejskiej i po raz pierwszy w życiu nie musiałem czekać na granicy, poczułem się wolnym człowiekiem. Naprawdę! To poczucie dała mi nie transformacja ustrojowa w roku 1989, ale dopiero członkostwo Polski w Unii Europejskiej.

I jak mógłbym nie być zwolennikiem Unii, nie popierać jej, nie cenić i... po prostu nie lubić?

A jednak warto

Jedną z niewielu postaw, które mnie doprowadzają do furii, jest lenistwo tzw. decydentów w podejmowaniu mało efektywnych medialnie, lecz pracochłonnych inicjatyw. Ba, ale często także ryzykownych, ponieważ naruszają wygodne status quo. Na szczęście taką inicjatywą nie było zorganizowanie przed kilkunastu laty Ogólnopolskiego Konkursu Plastyczno - Literackiego „Świat bez Barier”. Konkurs zyskał poparcie i w tym roku odbyła się już czternasta edycja pod jakże pięknym, poetyckim hasłem „Wszystko się może zdarzyć, gdy głowa pełna marzeń”.

Przyznaję, że zetknąłem się po raz pierwszy z konkursem dopiero w tym roku po przeczytaniu książeczki informującej o osobach nagrodzonych i wyróżnionych. Lektura była wręcz frapująca. Wśród laureatów znajdują się zarówno małe dzieci przedszkolne, jak i osoby pełnoletnie. Zachęcam nauczycieli i wychowawców do zainteresowania się tym informacyjnym materiałem w Stowarzyszeniu „Bez Barier” w PSPzOI Nr 26 w Wałbrzychu. Moim zdaniem warto, ponieważ rezultat konkursu dowodzi, jak cenna była inicjatywa konkursu sprzed kilkunastu lat.

Przejdę teraz do omówienia nagrodzonych prac malarskich. Zaskakuje w nich własne widzenie przez malujących otaczającego nas świata oraz różnorodna tematyka obrazów. A w niektórych uderza wręcz bogactwo kolorystyczne. Szczególnie u zaledwie cztero-, pięcio-, czy sześciolletnich dzieci! Sugerowałbym organizatorom utworzenie objazdowej wystawy najciekawszych obrazów i prezentowanie jej nie tylko w szkołach.

Osobno chciałbym omówić prace literackie. Podobnie jak z obrazami, byłem zaskoczony poziomem tych prac. Tutaj uwaga na marginesie. Zapoznałem się z niektórymi najnowszymi książkami tzw. literatury współczesnej. I bez żadnej złośliwości stwierdzam, że lektura żadnej (co podkreślam!) nie sprawiła mi najmniejszej satysfakcji. O zachwycie nawet nie wspominam.

Natomiast czytając prace laureatów konkursu odniosłem jakże miłe wrażenia. Zarówno proza, jak i poezja napisane były bogatą polszczyzną. I znowu bez złośliwości dodam - w przeciwieństwie do renomowanych pisarzy, których wiersze i powieści wydaje się w formie książkowej.

Kilkunastoletni laureaci konkursu zaprezentowali oryginalne i pełne uroku poetyckie frazy. Znajdowali własne, nowe skojarzenia i przemyślenia. Nie waham się nazwać ich poetami. A autorzy prozy zaimponowali mi unikaniem

banalnych sformułowań i łatwizn językowych. Dlatego pozwoliłem sobie na stwierdzenie, że laureaci konkursu literackiego dysponowali, pomimo młodego wieku, bogatą polszczyzną. Bogatszą od wielu znanych pisarzy i publicystów.

Kończąc ten felieton, dziękuję organizatorom XIV konkursu za ich działalność i czekam z niecierpliwością na XV.

Święto Wałbrzycha

25 maja 2018 roku obchodziliśmy uroczystości Święto Wałbrzycha, pierwsze w historii tego miasta. Ważne to wydarzenie i warte upamiętnienia, ponieważ zapoczątkuje - mam nadzieję - nową, piękną tradycję.

Z tej okazji pozwolę sobie teraz na dwa, bardzo osobiste wspomnienia, związane z naszym miastem. Pierwsze sięga jesieni 1977 roku. Otrzymałem wówczas propozycję zorganizowania w Wałbrzychu 16-osobowego zespołu kameralnego. Odpowiedziałem, że przyjadę jedynie pod warunkiem utworzenia pełnej 60-osobowej orkiestry symfonicznej i jednocześnie całej instytucji o nazwie filharmonia. Ówczesne władze nowo powstałego województwa wałbrzyskiego przyjęły mój warunek.

Moi bliźsi i dalsi krewni, koledzy dyrygenci i znajomi w Warszawie, Krakowie, Wrocławiu mój pomysł przyjęli z dezaprobatą. Opinie brzmiały mniej więcej tak: filharmonia w takim (z lekceważącym akcentem na „takim”!) mieście, kto będzie chodził na koncerty symfoniczne, komu to potrzebne, chore ambicje nowej władzy itp.

Jak wiadomo filharmonia powstała, zainaugurowała działalność już w listopadzie 1978 roku. Tutaj pointa: wbrew ministerstwu kultury i sztuki!. W tym roku obchodzi 40-lecie. Stała się ambasadorem nie tylko Wałbrzycha, ale polskiej kultury muzycznej, występując w wielu krajach. Orkiestra grała, i to kilkakrotnie, w Paryżu czy Berlinie. A na estradzie wałbrzyskiej filharmonii gościli artyści dosłownie z całego świata, od Brazylii po Nową Zelandię, od Libanu po Japonię.

I drugie wspomnienie. Kiedyś, być może jesienią 1985 roku, powiedziałem publicznie, że jestem patriotą wałbrzyskim. I znowu wiele osób uznało moje słowa za szokujące. Mówiono zarówno w oczy, jak i za plecami: patriotyzm do takiego (z akcentem pejoratywnym na „takiego”!) miasta, to zbieranina przypadkowych nieraz migrantów, każdy chciałby stąd uciec, brak kultury, pijaństwo itd. Najsmutniejsze, że mówiło tak również wielu starszych i młodszych mieszkańców Wałbrzycha.

A ja naprawdę czułem się patriotą Wałbrzycha i wiedziałem dlaczego. To przecież w tym mieście stworzyłem nową instytucję, która służyła ludziom,

a przede wszystkim dawała muzykę dzieciom na specjalnych koncertach edukacyjnych, których było ok. 1000 rocznie. W tym mieście ożeniłem się w roku 1980 i do dzisiaj w tym szczęśliwym małżeństwie pozostaję. Tutaj urodziła się nasza córka. To w Wałbrzychu po przejściu w wieku 79 na emeryturę rozpocząłem regularną działalność publicystyczną.

Tak więc mój związek emocjonalny z Wałbrzychem jest głęboki i mam chyba moralne prawo uważać się za wałbrzyskiego patriotę. Dlatego ośmielam się używać zwrotu „moje miasto”, lub krócej, po prostu - mój Wałbrzych.



Pozostaje
w fotografiach

HYMNUS

J. W.

4/4 Andante, sostenuto quasi Adagio

Soprano (S), Alto (A), Tenor (T), Bass (B) vocal staves and Piano accompaniment.

Lyrics: do-re-mus

Lyrics: do-re-mus, A-do-re-mus

Godzina smutku

Wszystko jest ciemne, szare, dalekie
i wszystko płacze: miasto, niebo, ludzie...
Zapadł się kiedyś gwar uliczny -
- wszędzie jest cicho.

A drzewa co w ciszy tej wpadnie,
uderza też napięte struny.
daleko zadźwięcza, rozdzwonią się skarga
i płacz...

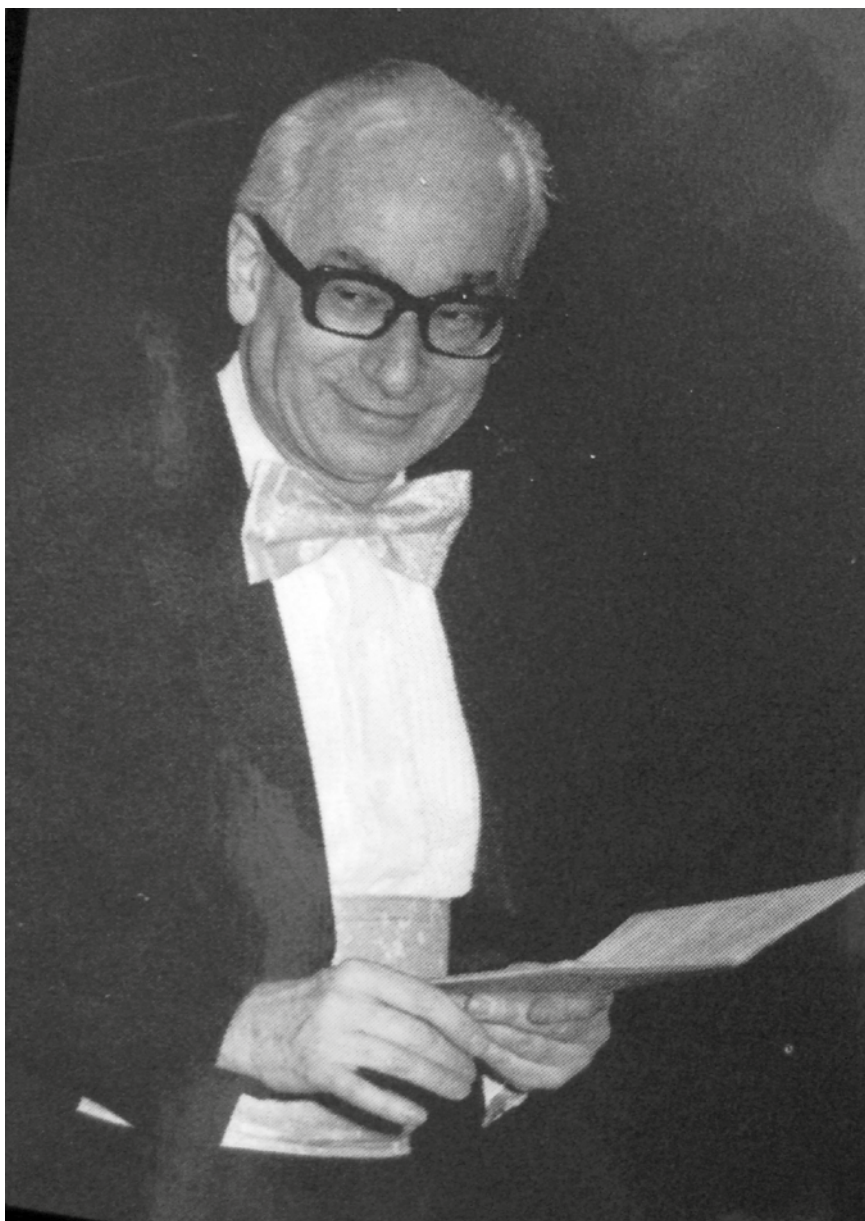
Nie śnił się słońce i szeleszczą wiatr,
zmarlieli ludzie, przepadł gdzieś świat;
jedynie smutek żalony bez stów
śpiewa swój pieśń.

Zmartwychwstanie

A kiedy uderzą Zmartwychwstania dzwony,
powstanie z grobu Pan.
Technikiem nadludzkim rozwali świątynie,
spośród gruzów wyplisze
wony, stonowany ludzom stwarzać Kościół.

Warszawa
2/III 1944

Rękopisy kompozycji oraz wojennych wierszy Maestro.



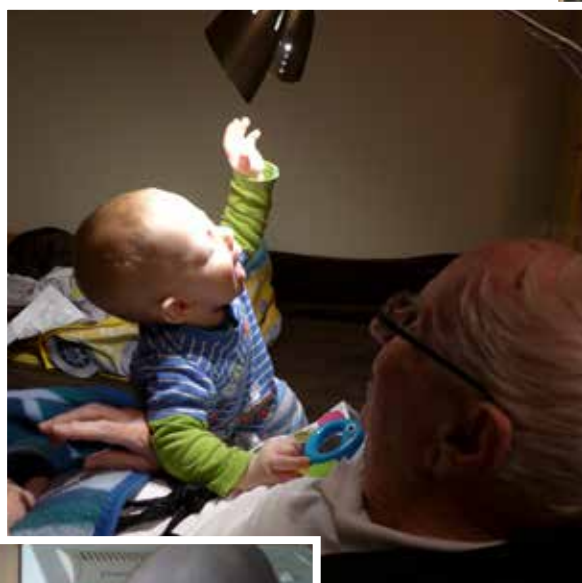
Józef Wilkomirski

Urodzony 15 maja 1926 roku w Kaliszu, zmarł 1 sierpnia 2020 roku w Wałbrzychu, pochowany na Cmentarzu Powązkowskim w Warszawie. Dyrygent, kompozytor, wiolonczelista, pisarz, publicysta, Powstaniec Warszawski, wielki patriota i wielki wałbrzyszanin. Uhonorowany najwyższymi odznaczeniami państwowymi, licznymi odznakami i medalami.



W gronie

Od góry, od lewej:
Maestro z małą córką
Wiosną, z żoną i cór-



rodzinnym

ką w Książu, z wnukiem Piotrem oraz z żoną Małgorzatą.

Fotografie: z archiwum Rodziny Wilkomirskich



Spotkania z siostrą Wandą Wiłkomirską

Od góry, od lewej: w Cafe Galerii Ogród Sztuki w Szczawnie-Zdroju (2010); podczas Festiwalu H. Wieniawskiego w Szczawnie-Zdroju (2013); w Kaliszu na inauguracji Roku Rodziny Wiłkomirskich (2015); ostatnie spotkanie z siostrą w domu w Wałbrzychu (2018).

Fotografie kolejno: Ogród Sztuki, Kazimierz Masiuk, Jakub Seydak, z archiwum Rodziny Wiłkomirskich



Uroczysta inauguracja Roku Rodziny Wiłkomirskich w Kaliszu, 2015

W 2015 roku Maestro otrzymał tytuł Honorowego Obywatela Miasta Kalisza.

Fotografie kolejno: Kazimierz Masiuk, Iwona Cieślak (UM Kalisz).



Maestro z Marią Popławską
i Ryszardem Kotłą



Szczecin - ważny dzień

Maestro podczas wielkiego koncertu symfonicznego „Witamy w domu” (2006), który odbył się dla uczczenia wmurow-

Fotografie: Ryszard Kotla



Maestro z Elżbietą
Penderecką



dla życia muzycznego miasta

wania kamienia węgielnego pod budowę nowej Filharmonii Szczecińskiej
wznoszonej na fundamencie przedwojennego Konzerthaus.



Maestro

Od lewej, od góry: 85. urodziny Maestro Filharmonia Sudecka uczuła odsłonięciem tablicy pamiątkowej i oryginalnym tortem; uroczyste obchody 25. lecia Filharmonii Sudeckiej; z solistką japońską Atsuko Setą; podczas warsztatów muzycznych z młodzieżą w Jedlinie-Zdroju.

Fotografie kolejno: Kazimierz Masiuk, z archiwum Rodziny Wilkomirskich, ze zbiorów Atsuko Sety, Aleksander Czajkowski.



i wydarzenia muzyczne

Podczas uroczystego koncertu z okazji 40-lecia Filharmonii Sudeckiej w Wałbrzychu.

Fotografie: ze zbiorów Filharmonii Sudeckiej - Dariusz Gdesz.



Autorskie spotkania i muzykowanie

Od góry, od lewej: otwarcie Filii; spotkanie z księdzem Adamem Bonieckim; muzykowanie z dziecięcymi „Wróbelkami” i Chórem Millenium; promocja autobiografii; spotkania autorskie na różne tematy, uroczyste chwile.



w Multimedialnej Filii Bibliotecznej na Podzamczu

Fotografie: ze zbiorów Biblioteki pod Atlantami



Autorskie spotkania

Fotografie: ze zbiorów Cafe Galerii Ogród Sztuki



w Cafe Galerii Ogród Sztuki w Szczawnie-Zdroju



Promocje

dwutomowej publikacji Józefa Wilkomirskiego pt. „Lata 1926 - 2006. Wspomnienia nie tylko muzyczne”. Zamek Książ (2010)

Fotografie: Kazimierz Masiuk



autobiografii Maestro

trzeciego tomu wspomnień Józefa Wilkomirskiego pt. „Minęło 10 lat... 2007 - 2016. w 90. rocznicę urodzin”. Klub Montownia w CNiS Stara Kopalnia (2016).

Fotografie: Elżbieta Węgrzyn



**KONCERT
RODZINNY**

dedykowany
Józefowi Wiłkomirskiemu
w 90. rocznicę urodzin

**BUDZIK
MUZYCZNY
PRZEDSTAWIA**

Muzeum Historii Przemysłu
Sala Fortepianowa
Opatówek / ul. Kościelna 1



90. urodziny

Uroczysta sesja Rady Miejskiej w Wałbrzychu, życzenia składają władze Wałbrzycha oraz Kalisza.

Koncert urodzinowy w Kaliszu - fotografie: ze zbiorów Fundacji Rodziny Wiłkomirskich w Kaliszu.



Maestro Józefa Wiłkomirskiego

Koncert Filharmonii Sudeckiej dla uczczenia 90. rocznicy urodzin Maestro.



Józef Wilkomirski podczas obchodów 75. rocznicy wybuchu Powstania Warszawskiego w Wałbrzychu - 1 sierpnia 2019 roku

Józef Wilkomirski

Godzina smutku

Wszystko jest ciemne, szare, dalekie
i wszystko płacze: miasto, niebo, ludzie...
Zapał się kędyś gwar uliczny –
- wszędzie jest cicho.
A dźwięk co w ciszę tę wpadnie,
uderza łez napięte struny.
Lekko zadźwięczą, rozdzwonią się skargą
I płaczą...
Nie świeci słońce i ścichnął wiatr,
zmartwieli ludzie, przepadł gdzieś świat;
jedynie smutek żałosny bez słów
śpiewa swą pieśń.

Zmartwychwstanie

A kiedy uderzą Zmartwychwstania dzwony,
powstanie z grobu Pan.
Tchnieniem nadludzkim rozwalą świątynie,
spośród gruzów wyjdzie
nowy, słoneczny ludziom stwarzać Kościół.

Warszawa

2 III 1944



Józef Wiłkomirski pozostaje wśród nas

Wydawca

Powiatowa i Miejska Biblioteka Publiczna
„Biblioteka pod Atlantami”
58-300 Wałbrzych, Rynek 9
www.atlanty.pl



Pomysł wydawnictwa

Dr Maciej Żak

Redaktor wydania, koncepcja merytoryczna

Elżbieta Maria Kokowska

Współpraca

Małgorzata Wiłkomirska

Projekt graficzny, skład

„TU SIĘ TWORZY” Sp. z o.o., Wałbrzych

Druk i oprawa

Drukarnia POLDRUK S.C. Józef Grzywa, Marek Kawka; Wałbrzych
www.poldruk.com.pl

Copyright

Powiatowa i Miejska Biblioteka Publiczna
„Biblioteka pod Atlantami”
w Wałbrzychu

Wydanie I

Wałbrzych 2021

Nakład

500 egzemplarz

ISBN 978-83-88257-37-7

Wydawnictwo sfinansowała Gmina Wałbrzych



Spis treści

Słowo od wydawcy	3
Słowo wstępne - Roman Szelemej, Prezydent Miasta Wałbrzycha.....	5
Słowo od Krystiana Kinastowskiego, Prezydenta Miasta Kalisza	8
Wojna i batuta - Paulina Urbańska, Muzeum Powstania Warszawskiego	10
Stowarzyszenie Polskich Artystów Muzyków - dr Katarzyna Janczewska-Sołonko	14
Słowo od Elżbiety Łaganowskiej, Dyrektor Filharmonii Sudeckiej im. Józefa Wiłkomirskiego	15
Pozostaje we wspomnieniach	17
Małgorzata Wiłkomirska; Kacper Birula; Aleksander Czajkowski; Wojciech Czepiel; Katarzyna Duda; Zygmunt Gefert; Jerzy Ignaszak; Katarzyna Christine Jezior; Przemysław Kajetanowicz; Paweł Kotla; Ryszard Kotla; Grażyna Lelito-Dąbrowa i Ewa Cichoń; Marta Ługowska; Danuta Marosz; Danuta Mika; Anna Motyka; Renata Nowicka; Liliana Osses Adams; Krystyna Pieczonka; Marek Pijarowski; Alina Poręba; Jacek Rogala; Maria Anna Romańska; Janina i Józef Sakiewiczowie; Atsuko Seta; Roman Szelemej; Andrzej Tyws; Wiktor Wawrzkowicz; Jan Miłosz Zarzycki; Stanisław Zydlik; Maciej Żak	
Pozostaje w publikacjach.....	95
In-formatka Mały Fanzine Biblioteczny	96
Dwutygodniczek	157
Pozostaje w fotografiach	185

Notatki





Maestro Witkomirski dyryguje po raz ostatni.
Koncert w Filharmonii Sudeckiej z solistką Katarzyną Dudą, 2013 rok

**UCHWAŁA NR XXIII / 558 / 20
SEJMIKU WOJEWÓDZTWA DOLNOŚLĄSKIEGO**

z dnia 29 października 2020 r.

w sprawie zmiany nazwy Filharmonii Sudeckiej w Wałbrzychu i nadania jej statutu

Na podstawie art. 18 pkt 20 ustawy z dnia 5 czerwca 1998 r. o samorządzie województwa (Dz. U. z 2020 r. poz. 1668), art. 13 ust. 1 ustawy z dnia 25 października 1991 r. o organizowaniu i prowadzeniu działalności kulturalnej (Dz. U. z 2020 r., poz. 194), uchwala się, co następuje:

§ 1. Zmienia się nazwę Filharmonii Sudeckiej w Wałbrzychu na Filharonię Sudecką im. Józefa Witkomirskiego w Wałbrzychu.

§ 2. Nadaje się Statut Filharmonii Sudeckiej im. Józefa Witkomirskiego w Wałbrzychu, stanowiący załącznik do niniejszej uchwały.

§ 3. Traci moc uchwała Nr XXIV/569/12 Sejmiku Województwa Dolnośląskiego z dnia 27 czerwca 2012 r. w sprawie nadania statutu Filharmonii Sudeckiej w Wałbrzychu.

§ 4. Wykonanie niniejszej uchwały powierza się Zarządowi Województwa Dolnośląskiego.

§ 5. Uchwała wchodzi w życie z dniem podjęcia.

Przewodniczący
Sejmiku Województwa Dolnośląskiego

Andrzej Jaroch
Andrzej Jaroch

Uroczyste pożegnanie Wałbrzych



Małgorzata Wilkomirska



Maestro Józefa Wiłkomirskiego

Plac Magistracki, 16 sierpnia 2020 roku



Dyrektorka Filharmonii
Sudeckiej w Wałbrzychu



Fotografie:
Filharmonia Sudecka
- Dariusz Gdesz

Maestro Józef Wiłkomirski został pochowany
w grobowcu rodzinnym na Cmentarzu Powązkowskim
w Warszawie 18 sierpnia 2020 roku.

Maestro pozostaje w muzyce publikacjach fotografiach we wspomnieniach

SONATA

na skrzypce solo
for violin solo

I

molto moderato e sempre quasi improvvisando

Józef Witkowski
(1875)

